KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 5/163 1961



• « La Culture » • Revue mensuelle •

K. A. JELEŃSKI : **O "KULTURZE MASOWEJ" INACZEJ**

J. F. KARCZ : **JESZCZE O AMERYKAŃSKIM USTROJU GOSPODARCZYM**

M. WAŃKOWICZ : **KOSYNIERZY**

SPIS RZECZY

ARCHIWUM POLITYCZNE

KRAJ

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

KRONIKA KULTURALNA

KSIĄŻKI



KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj – Mai 1961

INSTYTUT  LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Jerzy F. KARCZ, ur. w 1921 w Grudziądzu. Studia wyższe w Stanach Zjednoczonych. Doktorat w 1958 w Columbia University. Obecnie *Assistant Professor of Economics* na Uniwersytecie kalifornijskim w Santa Barbara. Autor pracy o cenach rolnych w Związku Sowieckim w latach 1928-1954.

◆

WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

J. i K. Różankowscy, Monachium (Niemcy) .... 50,00 NF

DZIĘKUJEMY

◆

W jednym z najbliższych numerów „Kultury" ukaże się opowiadanie Jana Rojewskiego pt. „Sześciu prosi o azyl", pisane w monachijskim więzieniu Stadelheim i w obozie dla cudzoziemców Zirndorf pod Norymbergą.

Imprimé en France.

O "kulturze masowej" inaczej

Odkryta przez Hegla, przez Feuerbacha wyprowadzona z przesądu religijnego, a przez Marksa z systemu własności, alienacja, rozszczepienie człowieka na ,,podmiot'' i ,,przedmiot'', coraz częściej jest dziś przypisywane zjawiskom związanym ze ,,społeczeństwem masowym'' i jego nadbudową — ,,kulturą masową''. Niejasna i niesprecyzowana świadomość tych zjawisk jest dziś szeroko rozpowszechniona, na równi z popularnymi wersjami marksizmu, psychoanalizy, egzystencjalizmu: ,,masowe środki przekazu'' — prasa, film, radio, telewizja są często same masochistycznymi wulgaryzatorami potępienia ,,kultury masowej''. Koncepcje ,,społeczeństwa masowego'' są swoistą interpretacją skutków rewolucji przemysłowej. Węższa dyskusja o ,,kulturze masowej'' udostępniona została polskiemu czytelnikowi w doskonałej antologii opracowanej przez Czesława Miłosza i wydanej przed dwoma laty przez ,,Kulturę''. Co mnie zastanawia w teorii, czy raczej w teoriach ,,społeczeństwa masowego'' to, że krzyżują się w nich paradoksalnie tradycje myśli prawicowej i myśli lewicowej.

Sowiecka krytyka amerykańskiego społeczeństwa przemysłowego jest całkowicie zrozumiała. Porzuciwszy tezę progresywnej pauperyzacji w krajach kapitalistycznych, przyznając wraz z Chruszczowem, że celem jest ,,dogonienie Stanów Zjednoczonych'', sowiecka ideologia zmuszona jest do odnowienia swej manichejskiej wizji świata. Jeśli robotnik amerykański nie staje się ani coraz biedniejszy, ani coraz bardziej niewolnikiem swej pracy, trzeba by stawał się przynajmniej coraz bardziej ogłupiały. Jako straszak — zamożny idiota zastępuje nędznego niewolnika. Ale jasne jest, że manipulacja umysłów środkami, którymi rozporządza społeczeństwo przemysłowe w celach politycznych nie jest bardziej niewinna, niż kiedy ma ona miejsce w celach komercjalnych: ,,Gwałt tłumów'' Czachotina jest po dziś dzień książką bardziej przerażającą od osławionych ,,Hidden Persuaders''.

Bardziej już godne zastanowienia, że współczesna krytyka zachodnia neo-marksistowska coraz rzadziej atakuje system własności i coraz więcej zwraca uwagę na zjawiska związane ze społeczeństwem masowym: przerost reklamy, nieuczciwość prasy i radia, wulgarność przemysłu rozrywkowego. Obserwujemy to we francuskich ,,Lettres Nouvelles'', w angielskiej ,,Left Review'', w amerykańskim ,,Dissent''. W Stanach Zjednoczonych zresztą, lewicę rozpoznaje się niemal wyłącznie po utożsamianiu Ameryki z abstrakcyjną formą ,,społeczeństwa masowego''. Ponieważ ta krytyka ,,kultury masowej'' wyrażona jest w języku zapożyczonym od młodego Marksa, z naciskiem na alienację, wydaje się związana z lewicową myślą polityczną. Warto może wobec tego przypomnieć, że krytyka ,,kultury masowej'' nie jest nowa i że u sedna jej tkwi punkt widzenia arystokratyczny, elitarny, katolicki. Ortega y Gasset, T.S. Eliot, Joseph Pieper, Karl Jaspers, Gabriel Marcel przywiązują wszyscy o wiele mniej znaczenia do ogólnego dobrobytu czy rozpowszechnienia wolności, niż do wolności ulubionej przez personalizm ludzkiej ,,osoby'' i, głównie, do możliwości harmonijnego i pełnego rozwoju niektórych osób w naszym społeczeństwie przemysłowym.

Ten rodzaj krytyki społecznej wynika z pogardy arystokraty dla ,,tłumu'' lub z tęsknoty do rzekomego ,,złotego wieku'' na zawsze utraconego. Pierwsze jej elementy łatwo rozpoznać w samym tytule książki Mathew Arnolda ,,Kultura i anarchia'', w średniowiecznych marzeniach Ruskina, przeklinającego przemysł. Dla Toqueville'a i dla Actona, wolność i równość były nie do pogodzenia: wolność to dla nich prawo każdego człowieka do różnorodności, równość zaś — potworne ujednolicenie. W tradycji myśli katolickiej raz po raz odnajdujemy, nie zawsze równie otwarcie wyrażoną jak u Joseph de Maistre'a — niechęć do równości, zagrażającej ,,harmonii'' i autorytetowi ,,zdrowego'' hierarchicznego społeczeństwa. ,,Masa'' jako termin socjologiczny pojawia się po raz pierwszy u Ortegi. Jego ,,Bunt mas'' pozostaje po dziś dzień głównym źródłem, z którego — mniej lub bardziej świadomie — czerpią swe argumenty krytycy kultury społeczeństwa przemysłowego. Ale jeśli Ortega trafnie uchwycił szereg negatywnych cech współczesnego życia, przypisywał on je faktowi, że ,,wykształcone elity'' utraciły ster władzy. ,,Społeczeństwo masowe'' to dla Ortegi społeczeństwo, w którym ludzie niekompetentni przywłaszczyli sobie prawo do wydawania sądów. Jest on otwarcie anty-egalitarny.

Istnieje co prawda prąd krytyki społeczeństwa masowego, wyprowadzony z pewnych przesłanek Marksa przez Webera i Mannheima: jest to ujęcie współczesnego społeczeństwa przemysłowego od strony jego cech biurokratycznych, monolitycznych. Według Mannheima, celem współczesnej organizacji społecznej jest czysta wydajność, a nie zadawalanie różnorodnych potrzeb człowieka. Wszystkie decyzje pobierane są u szczytu biurokratycznej piramidy pod kątem widzenia sprawności i wy-

dajności. Mannheim określa ten sposób podejścia do rzeczywistości jako „racjonalność funkcjonalną" w odróżnieniu od „racjonalności substancjalnej", która brałaby pod uwagę całość ludzkich problemów. Charakterystyczne, że polscy rewizjoniści operowali argumentami bliskimi myśli Webera i Mannheima, gdy szukali nowych rozwiązań problemów, jakie stawia forma społeczeństwa przemysłowego, w którym żyją. Rozrost biurokracji i jej coraz bardziej monolityczna forma jest prawdziwym problemem na Zachodzie, podobnie jak na Wschodzie.

Ale zachodni neo-marksiści gubią się coraz częściej w swej krytyce „społeczeństwa masowego", używając argumentów, których logiczne podstawy związane są z punktem widzenia elitarnym. W jednym z ostatnich numerów „Lettres Nouvelles", „lewicowy" socjolog amerykański C. Wright Mills nawoływał do solidarności intelektualnej „Nowej lewicy" zachodniej przeciw „grożącemu wzrostowi radosnego robota, technologicznego idioty". W swym notatniku w „Express" François Mauriac, z oburzeniem krytykując ten numer „Lettres Nouvelles", poświęcony oporowi intelektualistów przeciw nadużyciom władzy (pod pretekstem francuskiego „Manifestu 121"), w tym jednym punkcie entuzjastycznie przyklaskiwał Millsowi, mówiąc mniej więcej: „Opór intelektualistów przeciw nadużyciom władzy to bzdura, brońmy się raczej przeciw grożącemu nam zalewowi tępaków". W ten sposób krucjata przeciw „radosnemu robotowi" (który jest może po prostu człowiekiem zaczynającym się dopiero wyzwalać z prastarych więzów pracy i nędzy) daje sposobność do nieoczekiwanych aliansów.

Wszystko to skłania mnie do podejrzenia, że krytyka „społeczeństwa masowego" i „kultury masowej" wynika nie tylko z przesłanek intelektualnych, ale stanowi racjonalizację pewnych stanów psychologiczno-emocjonalnych. Czy nie wchodzi tu w grę słownictwo? Bez wątpienia, ci, którzy mówią nam o „atomizacji", „wykorzenieniu", „anonimowości", „wulgaryzacji" wywołują w nas uczucie niepokoju, gdyż pojęcia te odpowiadają istotnie pewnym współczesnym zjawiskom. Ale wystarczy zastąpić „atomizację" przez „indywidualizację", „wykorzenienie" przez „wyzwolenie z atawistycznych więzów", „wulgaryzację" przez „rozszerzenie dostępu do kultury", „anonimowość" przez „wolność życia prywatnego" — a otrzymujemy bardzo różny obraz naszej epoki. Podobnie, pojęcia takie jak „organiczność", „harmonijność", „humanizm", „osobowość", odpowiadające rzekomo temu cośmy utracili, wydają się bardzo nęcące, ale o ileż mniej jeśli podstawimy pod nie „totalizm", „jednostajność", „elitaryzm", „burżuazyjność".

Dwa eseje, które ukazały się ostatnio na ten sam temat perspektyw kultury w społeczeństwie przemysłowym, wydają się potwierdzać moje podejrzenie: „Pour entrer dans le vingtième siècle" przez Jean Duvignaud (Grasset, 1960) i „Eclisse dell' Intellettuale" (Zmierzch intelektualisty) przez Elemire Zolla (Bompiani, 1959).

Zolla i Duvignaud są w tym samym wieku — około czterdziestki. Czytali te same książki, lubią tych samych pisarzy: Kafkę, Prousta, zwłaszcza Musila. Łączy ich rzadko dziś różnorodna erudycja, z tym, że Zolla jest bodaj jednym z ostatnich wielkich ,,czytelników'', dyletantów i kosmopolitów w rodzaju Valéry Larbaud, podczas gdy socjolog Duvignaud przedstawia bardziej wyspecjalizowany typ współczesnej inteligencji. Co najdziwniejsze, niezależnie od siebie Francuz i Włoch napisali pozornie tę samą książkę. Najważniejsza część książki Zolli zatytułowana jest ,,Przemysł i literatura'', książki Duvignaud — ,,Literatura i cywilizacja przemysłowa''. Obaj zastanawiają się długo nad skutkami ,,planetaryzacji'' złożonej sieci informacji i mechanizmów rozpowszechniania myśli i wartości. Każdy z nich poświęca osobne rozdziały człowiekowi społeczeństwa przemysłowego wobec erotyzmu, wobec sposobów bycia ,,magicznych'', wobec styczności z ,,innymi cywilizacjami''. Obaj dochodzą często do stwierdzeń nowych i podobnych. Dla Duvignaud, na przykład, literaturę cywilizacji przemysłowej charakteryzuje zmysł ,,ryzyka'', podczas gdy dla Zolli architypem tej literatury jest typ ,,gracza''. Ale z podobnej analizy dwa różne układy psychologiczno-uczuciowe wyciągają wnioski przeciwstawne. ,,Gracz'' Zolli jest niewolnikiem hazardu i ,,czyny jego zależne są od maszyny i od masy i jego margines wolności ograniczony jest do przypadku''. Podczas gdy ,,ryzyko'' Duvignaud jest ,,symbolem woli w starciu ze światem rzeczywistym, przejściem nad tym co jest, aby zdobyć to co możliwe''.

Jak orzeł i reszka tej samej monety, książki te świadczą o nienawiści jaką do swej epoki czuje Elemire Zolla, o nadziei którą ta sama epoka budzi w Jean Duvignaud.

Zanotujmy najpierw, że Duvignaud unika terminu ,,społeczeństwo masowe' i woli mówić o ,,cywilizacji przemysłowej'', podczas gdy Zolla lubuje się w wyrażeniu ,,człowiek masy'' (*uomo massa*). Zolla tropi postępowania owego ,,człowieka masy'' przedzierzgając się kolejno w mitologa, psychoanalityka, socjologa. Zna on z góry wszystkie argumenty, które można by mu przeciwstawić i odgradza się od krytyków elitarnych i katolickich. Wie on dobrze, że niesposób iść pod prąd czasu, że tęsknoty ,,organiczne'' kryją często mentalność faszystowską, że ,,odmowa'' społeczeństwa przemysłowego do niczego nie prowadzi. Nienawiść, którą czuje do swojej epoki, nie jest zakłamana. Jedynie cytaty z ,,Antropologii negatywnej'', jednego z rozdziałów ,,Zmierzchu intelektualisty'' mogą dać o niej pojęcie:

,,Człowiek masy pamięta ze skuteczną pedanterią wszystko co ludzko zbyteczne, jego głowa to kosz na śmieci.

,,Człowiek masy dysponuje szerokim wyborem; może pójść do teatru, jeśli go woli od stadionu, może kupować książki, jeśli je woli od tygodników ilustrowanych, może chodzić na koncerty, jeśli je woli od grających szaf, ale w istocie wybór jego idzie za prawem Greshama: człowiek masy zawsze woli monetę fałszywą.

„Prawdziwą tajną zasadą człowieka masy byłoby: wiem, że jestem glistą, ale wszyscy muszą być glistami; gotów jestem nawet podziwiać inną glistę, byle przyznawała, że jest glistą i byle trafiała do mnie pod egidą tego co przewyższa świat wszystkich glist, Stworzyciela świata glist — Przemysłu.

„Zmysł kojarzenia nie jest bynajmniej upośledzony u człowieka masy, przeciwnie ulubione jego zajęcie polega na szybkiej klasyfikacji nieciekawych przedmiotów według bezużytecznych kategorii.

„Człowiek masy nie chce porozumienia, unika rozmowy, a jeśli jest do niej zmuszony, recytuje kalendarz przemysłu rozrywkowego lub banały".

A oto jak Duvignaud ocenia tę samą cywilizację:

„Wszystko dzieje się tak, jakby cywilizacja przemysłowa w swoim wzroście przełamywała czy dążyła do przełamania form starej kultury, która włada jeszcze nad wieloma umysłami. Gdy chodzi o nowe formy ekonomii, które nie są tylko abstrakcyjnymi prawami, ale odpowiadają głębokim przeobrażeniom, wpływającym na sam całokształt ludzkiej istoty i jej udział w świecie, gdy chodzi o nowe klasy, które ukazują się na ruinach starych zespołów i starają się przywłaszczyć sobie całe społeczeństwo, zawsze zresztą bezskutecznie, gdy chodzi o zmiany dokonane w naszej percepcji czasu i przestrzeni przez środki przekazywania rzeczywistości na powierzchni ziemskiej — zmiana stawia człowieka w obliczu nowych możliwości".

Jedynie intymna znajomość obu autorów mogłaby nam dopomóc w zrozumieniu jak doszli, z tych samych danych, opierając się na pozornie identycznych wartościach, używając tak podobnych środków analizy, do tak odmiennych wizji świata, w którym żyją. Wnioski Duvignaud wydają mi się bardziej prawdopodobne, choćby dlatego, że wszelkie ostateczne oceny „człowieka masy" są absurdalne, jeśli weźmiemy pod uwagę, że właśnie dzięki cywilizacji przemysłowej „masa" ma dostęp do kultury dopiero od jednego czy dwóch pokoleń. Skądinąd „kultura masowa" bynajmniej się nie ustala we wzrastającym konformizmie — jak dają do zrozumienia jej krytycy — przeciwnie, istnieje szereg wskaźników, że wytwarza ona sama swe własne odtrutki. Na poziomie „wyższej kultury" są to dzieła wyrosłe z przeżycia i uświadomienia sobie „kultury masowej", uwydatniające jej banał i brak autentyczności — Ionesco, Adamov, w Polsce Mrożek — a na mocy prestiżu czy snobizmu włączone po pewnym czasie w obieg masowy. Na poziomie społeczno-kulturalnym są to zjawiska takie jak amerykańscy *beatniks*, angielscy *angry young men*, paryscy czy warszawscy „egzystencjaliści" wyrażający marginesową, ale chciwie przez „kulturę masową" chłonioną formę protestu przeciw jednostajności cywilizacji przemysłowej. Na poziomie społecznym amerykańskie młodociane gangi, londyńscy *teddy boys*, francuscy *blousons noirs*, czy wschodni *stiliagi*, chuligani są w pewnym sensie odpowiednikiem dawnej „złotej młodzieży", groźniejszym o tyle tylko, że bardziej rozpowszechnionym, a za to o ileż mniej antypatycznym. Wystarczy wreszcie przejść się po paryskich bulwa-

rach, po Oxford Street czy Times Square aby zaobserwować wzrastającą wciąż różnorodność osławionej ,,masy''.

Możliwą interpretację nienawiści Zolli do ,,człowieka masy'' zasugerowało mi uderzające w wielu punktach podobieństwo między jego książką, a zwróconym przeciw Włochom pamfletem Jean-François Revela ,,Pour l'Italie'' (Julliard, 1959). Czy nie jest możliwe, że Revel — atakując pozornie kraj i Zolla — atakując pozornie epokę, celowali w tego samego przeciwnika: w pewien typ współczesnego włoskiego drobnomieszczanina?

Fakt, że książka Zolli ukazała się we Włoszech wydaje mi się znaczący również z innego punktu widzenia. Każda krytyka ,,społeczeństwa masowego'' związana jest z idealnym wyobrażeniem — nieraz nieświadomym — społeczeństwa ,,organicznego''. U podstawy tej krytyki tkwi swoiste zastosowanie dychotomii powtarzającej się w różnej formie w wielu współczesnych teoriach społecznych (,,tradycyjne-racjonalne'' u Webera, ,,organiczne-mechaniczne'' u Durkheima, ,,ludowe-miejskie'' u Redfielda, ,,sakralne-świeckie'' u Beckera, ,,wspólnota-społeczeństwo'' u Tonniesa). Otóż Włochy są jedynym krajem, w którym istnieją dane do krytyki ,,społeczeństwa masowego'' i w którym to rozróżnienie można zastosować nie tylko w płaszczyźnie historycznej, ale do warunków obecnych: tradycyjne, ,,organiczne'', ludowe ,,Mezzogiorno'' w przeciwstawieniu do reszty kraju: racjonalnej, miejskiej i mechanicznej. Jest to temat filmu ,,Rocco i jego bracia'' w którym Visconti rzutuje swą nostalgię do tradycyjnej wspólnoty organicznej w utopijną (komunistyczną?) przyszłość, odrzucając z niesmakiem współczesne społeczeństwo przemysłowe.

Trzeba przyznać, że ten kto widział Włochy w okresie dorocznego konkursu piosenek w San Remo, kto obserwował gorączkowe ogłupienie milionów dorosłych ludzi, przylepionych w każdym lokalu publicznym do ekranu telewizji, wykreślenie z rozmów nie tylko kultury, ale nawet polityki i ,,interesów'', na rzecz produkujących się przez tydzień piosenkarzy, odczuje pokusę przyjęcia niektórych wniosków Zolli. Pewien typ włoskiego drobnomieszczanina, który łączy w sobie narcyzyzm i konformizm, uzdolnienie i powierzchowność, sentymentalizm i oschłość, wkroczył rzeczywiście w świat ,,kultury masowej'' z pewnością siebie i entuzjazmem, których świadectwo dają ohydne *rotocalchi* (ilustrowane tygodniki, wobec których nie tylko świetny ,,Przekrój'', ale nawet ,,Paris Match'' jest arcydziełem dyskrecji i smaku) najwulgarniejszy w Europie program telewizyjny, plaże nad Adriatykiem w lecie. Być może, że typ ,,człowieka masy'' uwydatnia przejściowo najgorsze cechy przeciętnego Włocha, tak jak *bourgeois* uwydatniał najgorsze cechy Francuza, ,,żołnierz'' najgorsze cechy Niemca. Ale wystarczy zastanowić się nad skutkami ,,kultury masowej'' w innych krajach, aby zrozumieć że ,,Zmierzch intelektualisty'' ma charakter lokalnego pamfletu. Anglia, w której często bywałem w ciągu ostatnich dwudziestu lat, wydaje mi się najlepszym

przykładem. Kiedy tam przyjechałem po raz pierwszy był to kraj w którym mimo ogólnie wysokiego poziomu życia, wszystko co jest radością, przyjemnością, urozmaiceniem, zabawą, kolorem, wydawało się wyłącznie zarezerwowane na użytek „klas wyższych". Mimo wygodnych domów z łazienkami, mimo wysokich płac, robotnicy angielscy mieli na sobie piętno szarzyzny, nudy i smutku, czas wolny spędzali w koszmarnych „pubach", mówili „Sir" do każdego idioty o „dobrym" akcencie. Dzisiaj każde miasteczko angielskie ma popularne dansingi, wesołe kawiarnie i „Espresso-bars", młodzież robotnicza ubiera się kolorowo i z dużym smakiem, dziewczyny często na modłę amerykańską, chłopcy ze skłonnością do anachronicznej ekscentryczności. Nic dziwnego że są weselsi, przystojniejsi, że przestali szanować „gentlemana", że czują się wreszcie w swym kraju wszędzie u siebie: rewolucja dokonana przez „kulturę masową" w codziennym sposobie bycia nadała wreszcie prawdziwą zawartość dawniejszym reformom społecznym. Czytając Kisiela mam często wrażenie, że podobne przemiany zaszły również w Polsce i że zawdzięczać je należy „kulturze masowej". W Anglii wreszcie często w pociągu, czy w kolejce podziemnej można podsłuchać „ludzi masy", dyskutujących nad różnymi wykonaniami kantaty Bacha czy opery Monteverdiego. Zadają oni w ten sposób kłam Zolli, który poświęca kilka stron twierdzeniu, że „człowiek masy" zawsze niezawodnie woli muzyczny „kicz".

Książka Zolli sprowadza się właściwie do obszernego wyłożenia znanej tezy Dwighta Macdonalda o istnieniu trzech kultur („kultury wyższej", „kultury ludowej" i „kultury masowej") i zapożycza on nawet od Macdonalda zastosowanie do kultury prawa Greshama. Zjawiska, które wylicza, figurują w każdym podręczniku socjologii amerykańskiej. Nowość jego książki polega na zmyślnym zastosowaniu do cywilizacji przemysłowej i do „człowieka masy" metod badania zapożyczonych zarazem z mitologii i psychoanalizy, na sposób Junga czy może, ściślej, Roberta Graves.

Duvignaud przyznaje, podobnie jak Zolla, że przeobrażenia włączające literaturę i sztukę w system różnorodnych współczesnych technik komunikacji i rozpowszechnienia służą dziś w pierwszym rzędzie utworom miernym i raczej szkodzi „wyższej kulturze". „Tym niemniej — pisze on — tempo się wzmaga: Kafka czy Joyce mają dziś rozgłos ilościowo większy niż rozgłos Aischylosa kiedykolwiek".

Różnica między punktem widzenia Duvignaud i Zolli tkwi głębiej: klucz do niej daje tytuł książki Zolli. To co w „kulturze masowej" straszy Zollę, to „Zmierzch intelektualisty", groźba zawieszona nad europejskim mandarynatem. Duvignaud tymczasem wie dobrze, że zagrożony jest przywilej grupy, ale nie rozwój „kultury".

„Ta metamorfoza — pisze on — jest nie tylko techniczna, ale również głęboko społeczna i ludzka: dostęp do kultury milionów ludzi, którzy umieją

teraz czytać czy mogą za pomocą słuchu czy wzroku, uczestniczyć w wartościach będących dotychczas w wyłącznym posiadaniu grup uprzywilejowanych, jest przyczyną tej wielkiej przemiany. Starano się często przeciwstawić — od czasu gdy mechanizm rozpowszechnienia kultury tak się rozwinął — ,,kulturę wyższą" ,,kulturze masowej"; sądzę, że to przeciwstawienie jest również bezpłodne jak absurdalne, gdyż ruch, który wciąż powiększa liczbę ludzi mogących uczestniczyć w wartościach — choćby w formie tymczasowo zdegradowanej — gdyż rozwój technik którym to zawdzięczamy, stwarza nowy stan rzeczy, dominujący wiek, w którym żyjemy. Wydaje mi się bez znaczenia, że chłop z Middle-West'u czy Ju-Nanu wkracza do kultury za pośrednictwem ,,comicsów" czy dziecinnych jeszcze programów radio czy telewizji. Ważne jest to, że ma on wreszcie dostęp do tego ogólnego systemu znaczeń, którym dawna elita kulturalna żyła w grupie zamkniętej, rzutując go co najwyżej w przyszłość lub w abstrakcyjny uniwersalizm!".

Mimo, że Zolla przeczy temu na płaszczyźnie intelektualnej, przeciwstawiając słuszne argumenty nostalgiom D.H. Lawrence'a, T.S. Eliota, czy Céline'a, uważa on tym niemniej uczuciowo ,,społeczeństwo masowe", za ślepy zaułek, degradację dawnych cywilizacji, piekło. W tym piekle, jedynie sztuka byłaby dla Zolli nadzieją, ale ,,jak dojść do sztuki, mimo, że wydawałoby się, iż nie ma dla niej miejsca w społeczeństwie przemysłowym?". Droga do tego ostatecznego Graala jest według Zolli pełna przeszkód. Pierwsza rozbieżność: przyjmuje się świat przemysłowy lub go się odrzuca. ,,Przyjąć rzeczywistość przemysłową — oznacza stać się jej niewolnikiem, nieraz mimo woli". To los, zdaniem Zolli Whitmana, Apollinaire'a, futurystów, malarzy abstrakcyjnych. Druga rozbieżność: odrzuca się świat przemysłowy, ale zguba przychodzi w postaci marzeń o utraconej dawnej rzeczywistości: los Céline'a i Montherlanta marzących o rekonstrukcji wojownika, los Rilkego i Hoffmannstahla, marzących o rekonstrukcji pasterza. Jedyne wyjście to droga obrana przez Kafkę, Tomasza Manna, Prousta, Musila: przyjąć rzeczywistość, ale zachowując dystans:

,,Ironia lub potępienie pozwolą na kontynuację opowiadania, gdyż zakładają konieczny dystans między człowiekiem i rzeczywistością, w której żyje on obecnie. Nie ma miejsca na prostotę ducha w świecie zalanym przez technikę, dystans, który trzeba zachować między sobą samym i światem, osiągalny jest za pomocą potępienia moralnego i inteligencji".

Uderzające, że Zolla i Duvignaud przywiązują tę samą wagę do sztuki, a zwłaszcza do sztuki powieści w swych analizach społeczeństwa przemysłowego. Ale podczas gdy Zolla widzi tu jakby ostatnią i wątłą iskrę nadziei, dla Duvignaud artysta, powieściopisarz, są szczególnie czułym wyrazem świadomości uniwersalnej: wyrażają się nie *wbrew* cywilizacji przemysłowej, ale dzięki zapowiedzi wolności w tej cywilizacji zawartej.

,,Literatura" — pisze Duvignaud — ,,lepiej od filozofii przeczuwa głębokie przemiany życia zbiorowego... odpowiada ona wzrastającemu nasileniu wyzwania rzuconego przez cywilizację przemysłową, która jak się wydaje postawiła człowieka przed pytaniami najprostszymi i najbardziej

zasadniczymi, wymagając od niego, by odpowiedział na nie całym swym życiem".

Na związek pomiędzy powieścią i „kulturą masową" zwrócił ostatnio uwagę również Jean Bloch-Michel w marcowym numerze „Preuves", w eseju pod tytułem „Nouveau Roman et Culture de Masse" (z tym, że „Nouveau Roman" odnosiło się tu węziej do różnych Butorów i Robbe-Grilletów). Bloch-Michel przeprowadzał tam błędne — moim zdaniem — równanie między zniszczeniem wielkiej tradycji powieści rosyjskiej przez „ideologiczny brak autentyczności" sowieckich stereotypów i rzekomym zniszczeniem tradycyjnej formy powieściowej we Francji, które przypisuje on „głębokiemu brakowi autentyczności istot podległych presji tego co się nazywa masowymi środkami przekazu, tego co się nazywa również kulturą masową". Bloch-Michel daje przykłady. „Walczyli za ojczyznę" Szołochowa i „Planetarium" Nathalie Sarraute. Książka Szołochowa jest „zbiorem stereotypów narzuconych przez dominującą ideologię". W powieści Nathalie Sarraute zaś „postacie przemawiają tak, jak się mówi w filmach, w radio, w tygodnikach ilustrowanych". Otóż nawet jeśli przyjąć zestawienie braku autentyczności spowodowanego naciskiem stereotypów ideologicznych i braku autentyczności wywołanego stereotypami „kultury masowej" — strosunek Szołochowa i Nathalie Sarraute do tych dwóch form braku autentyczności nie tylko nie jest podobny, ale wręcz odwrotny. Szołochow sam, niestety, uczestniczy w ideologicznym braku autentyczności, to jego własny głos jest nie autentyczny. Czytelnik sowiecki jego powieści jest utwierdzony przez autora w swym braku autentyczności. Gdyby zaś przypadkiem stały czytelnik „Paris-Match" czy „Jours de France", nałogowy słuchacz „France I" wielbiciel filmów Duviviera zagłębił się w „Le Planetarium", doznałby niewątpliwie głębokiego szoku: być może, że odnalazłby się w tej książce, ale taki jakim jest, a nie taki jakim się widzi w rozlicznych lustrach „kultury masowej". W odmiennej formie dzieło Nathalie Sarraute podejmuje funkcję demistyfikacyjną dawniejszego wyzwania rzuconego społecznym banałom, jakim był „Dictionnaire des Ideés Reçues" Flauberta. Jest to w atmosferze ogólnego braku autentyczności jedna z możliwych form wyrazu autentyczności samej.

Ciekawe, że Zolla i Duvignaud obaj podkreślają wagę w naszej cywilizacji, jaką miałby nawrót do spontaniczności, do autentyczności. Zolla nie wydaje się w to zbytnio wierzyć i zahacza o ten problem jakby mimochodem, aby odpowiedzieć na argument imaginacyjnego przeciwnika, który by mu zarzucił, że nie warto stawiać tak groźnej diagnozy jeśli nie proponuje się żadnego lekarstwa:

„lekarstwo jednak jest gotowe: wystarczyłoby się dać przekonać, że nie potrzeba wychodzić z „Jaskini" Platona grupami, że można również wyjść samemu, a co najwyżej jak Lara Fiodorówna i Doktor Żiwago we dwójkę".

Cóż oznacza ten obraz, jeśli nie to, że tylko powrót do autentyczności, do spontaniczności, może przełamać anonimowy łańcuch zbiorowych i zbanalizowanych opinii?

Duvignaud widzi w autentyczności wyjście z epoki przejściowej, dwuznacznej, ale przecież bogatej w obietnice:

„Cywilizacja przemysłowa — utopijni myśliciele ubiegłego stulecia to przeczuli — wymaga od człowieka aby oderwał się od tego czym był i czym jest jeszcze. Jeśli walka z alienacją nie ma pozostać pozbawioną znaczenia rutyną, zwróconą przeciw rzekomemu kłamstwu mitów, musi być ona pojęta jako walka o autentyczność. Nie o żadną przyszłą autentyczność zależną od rewolucji, która ma nadejść i nigdy nie nadchodzi, ale o tę spontaniczność, która jedyna może sprostać doświadczeniu, rozgrywającemu się zarazem na płaszczyźnie rzeczywistości i na płaszczyźnie wyobraźni".

Trzeba by wyliczyć jedna za drugą różnice między obiema biografiami „człowieka wyobraźni" w ciągu ostatnich dwóch stuleci, które i Zolla i Duvignaud nakreślają w swych książkach, aby w pełni uchwycić to co dzieli pozornie tak podobne sformułowania. Człowiek, który interesuje Zollę to w pierwszym rzędzie indywidualność, której zagraża tłum, miasto, maszyna. Najczulej śledzi go on w książkach Melville'a, Poego, Thoreau. Dla Duvignaud symbolicznym miejscem spotkania, na którym literatura i społeczeństwo żywią się wzajemnie w ciągu zeszłego wieku to obok Pałacu, Fabryki i Kawiarni — Barykada. Śledzi on u Victora Hugo, Balzaka, Victora Serge, Malraux różne wysiłki człowieka walczącego o swoją wolność. Toteż rozwiązanie, które proponuje Zolla wydaje się bardzo literackie i abstrakcyjne, zwłaszcza u pisarza, który tak dobrze zna historię, ekonomię i socjologię: owoc nie tyle analizy intelektualnej, co indywidualnego marzenia.

Duvignaud nie jest już zafascynowany „Rewolucją, która ma nadejść i nigdy nie nadchodzi" i książka jego jest w znacznej części poświęcona demistyfikacji tego zbiorowego marzenia. Ale wie on nadal, że

„wolność zbiorowa, która spontanicznie toruje sobie trudną drogę poprzez wszystkie przeszkody, stawiane przez tradycję i potrzebę, jest stałą rewolucją, która zmienia struktury rozwoju różnych ludzkich historii".

Dla niego, to sam rozwój społeczny świata niesie w sobie obietnicę ożywienia u współczesnego człowieka źródeł wyobraźni, powrotu do spontaniczności i do autentyczności.

K.A. JELEŃSKI

Fragment z dziennika

Piątek

We Fragacie.

Zapytywałem ich: — Co ma robić człowiek — zwyczajny — gdy spotka człowieka uczonego? I gdy naukowiec osaczy go swoją wiedzą skoncentrowaną — besserwisser? Jakie zwykłemu człowiekowi pozostają środki obrony?

Nie wiedzieli. Objaśniłem ich tedy, że najstosowniejszym kontrargumentem będzie uderzenie — pięścią, lub nogą — w samą osobę specjalisty. I dodałem, że to się nazywa w mojej terminologii ,,osadzeniem w osobie'', lub ,,sprowadzeniem do osoby''. W każdym razie wytrąca z teorii...

I zapytałem, czy taki kuksaniec, lub kopniak, byłby do wymierzenia profesorowi przez ciebie, artysto? Pytanie nieprzyzwoite? Tak, ale naglące.

Jesteście może zdania, że nauka i sztuka powinny biec naprzód razem, z ręki do ręki przekazując sobie pochodnię, jak na biegu maratońskim? Zostawcie te biegi sportowcom. Przyszłość zapowiada się niepoczciwie, a nawet nielitościwie. Rozrzewniająca byłaby współpraca sztuki z nauką w imię postępu, ale poeta powinienby już wiedzieć, że w tym czułym uścisku profesor go zdusi. Nauka jest bestią. Nie wierzmy człowieczeństwu nauki, wszak nie człowiek na niej jedzie, a ona jego dosiada! Jeśli jesteście ciekawi, jak będzie wyglądało naukowe ,,człowieczeństwo'' człowieka w przyszłości, przyjrzyjcie się niektórym lekarzom. ,,Dobroć'' ich — ,,ludzkość''? Tak, ale jaka? Jakaś trochę dziwna, co? Taka niby dobra, a niedobra, ludzka a nieludzka... oto mi opiekuńczy anioł, oschły i zimny, jak diabeł, anioł-technik. Jemu szpital nie psuje śniadania. Chłód piekielny i *nieprawdopodobna obojętność...*

Nieprawdopodobna — to podkreślam, bo wszystkie przemiany naszej natury pod wpływem nauki mają znamię fantas-

tyczności, jakby wykraczały poza normalny bieg rozwoju. Jesteśmy u progu ludzkości niesamowitej. Rozum dokona na nas zabiegów, nie dających się dzisiaj przewidzieć. Ciągle musi iść naprzód, jego sylogizmy nigdy się nie cofają — nie wracają do punktu wyjścia.

Wydawałoby się może komuś różowo nastrojonemu, że jeśli nauka odrywa nas od naszego człowieczeństwa, to żeby do niego powrócić... i kiedyś wynaturzenia, zadawane przez rozum, doprowadzą z powrotem do ludzkiej natury... do człowieka szlachetniejszego, zdrowszego, potężniejszego... u kresu tej drogi bolesnej odnajdziemy siebie!

Nie! Nigdy niczego nie odnajdziemy! Nigdy do niczego nie powrócimy! Oddając się rozumowi, musimy pożegnać się z sobą na całą wieczność — on nigdy nie zawraca! Człowiek przyszłości, twór nauki, będzie radykalnie różny, niepojęty, bez związku z nami. Oto czemu rozwój naukowy oznacza śmierć... Umiera się takim, jakim się jest... na rzecz kogoś obcego. Człowiek, wiedziony przez naukę, porzuca siebie — w swym kształcie obecnym — raz na zawsze. Nie rozumiecie? Chcę przez to powiedzieć po prostu, że jeśli człowiek przyszłości będzie miał drugą głowę, wyrastającą mu z tyłka, to to — dla nich — już nie będzie śmieszne, ani obrzydliwe.

A sztuka? Cóż ona na to, ona, tak zakochana w dzisiejszym kształcie ludzkim, tak przytulona do naszej osoby? Nic przecież bardziej od niej osobistego, prywatnego, własnego, jedynego — koncerty brandenburskie, portret Karola V, *Les Fleurs du Mal*, jeśli stają się dobytkiem powszechnym, to tylko dlatego że na nich został wyciśnięty charakter jedyny i niepowtarzalny twórcy, niczym pieczęć stwierdzająca, że to do mnie należy, to moje dzieło, to jestem ja!

Jeśli zatem, jak się rzekło, nic tak nie osadza w osobowości jak kułak, lub kopniak — kiedyż, sztuko, zerwiesz z potulnością i zaczniesz tłuc?!

Poniedziałek

Nie jestem ordynus. Nie szukam bójki ulicznej. Ani w demagogicznym rozpędzie wrzeszczę, straszę, przesadzam — nie, ja nie przesadzam — ja zawsze szukałem siły w umiarkowaniu.

Nie tracę z oczu, że nauka (choć nieludzka) jest naszą nadzieją, że (choć paczy) wydobywa z tysiąca spaczeń, że, choć okrutna, jest także opiekuńczą matką. Że to przekleństwo nasze jest także naszym błogosławieństwem.

Namawiam sztukę do kopnięcia — łup! — ale nie po to aby profesor poczuł się kopnięty; po to jedynie, aby artysta poczuł się kopiącym. Nie pogrążenia nauki szukam, a przywrócenia sztuce jej własnego życia, w pełnej odrębności. Niechby ugryzł wreszcie pudel, wdzięczący się na dwóch łapkach! Po wysłuchaniu koncertu ,,nowoczesnego'', po obejrzeniu wystawy, po czytaniu dzisiejszych książek, robi mi się słabo od tej ich

słabości, jakbym znajdował się wobec kapitulacji i mistyfikacji jednocześnie. Po prostu nie wiadomo kto do ciebie mówi: poeta — czy „człowiek wykształcony, kulturalny, zorientowany i poinformowany"? Ten twórca, którego głos jeszcze niedawno boskim się zdawał, dziś tworzy, jakby fabrykował. I tworzy, jak uczeń. I jak specjalista. I jak nauczony. Dość skandalu!

Wtorek

W brzuch! Albo w zęby!

Środa

W mor...

Czwartek

Trrrrach! I jazda na całego!

Piątek

Pohamuj się, huligańska retoryko!

A jednak, artyści, cóż innego macie do roboty?

Wczoraj, w barze. Z pewnym socjologiem, czy psychoanalitykiem.

Byłem przed nim, jak przed okienkiem biurokraty — tam, za okienkiem, odbywało się księgowanie, sumowanie, katalogowanie, cały proces, mnie niedostępny, a mnie wyznaczający. Czułem się, jak w rękach chirurga, lub w rękach despoty. Wytoczyłem przeciw niemu moje racje, własnego chowu — ale cóż może moja racja pojedyncza, przeciw jego racji, którą wymózgowało trzysta tysięcy umysłów w ciągu trzech tysięcy lat, która jest górą powstałą z głów podporządkowanych i funkjonalnych?

Nec Hercules contra plures!

Ale kiedy kopnąłem go w kostkę u nogi, krzyknął! O, krzyk uczonego — jak to wyzwala!

Sobota

W ryja go!

Niedziela

Jednakże, artyści, mówiąc jak najpoważniej — trzeba uderzyć. Nie kułakiem może, tym bardziej, że między nimi zdarzają się chłopy krzepkie.

Ale naprawdę dobrze by było, gdyby poczuli waszą wrogość. Wtedy zrozumieją, że nie wszyscy oceniają ich wedle pożyteczności ich funkcji i towaru, jakiego dostarczają. Opowiem wam,

co mi się zdarzyło z moim dostawcą. Ten funkcjonariusz był wielce z siebie zadowolony, funkcja jego, jako dostarczyciela pieczywa, była społecznie pozytywna, wszyscy poważali go; sądził więc, że może sobie pozwolić na pewną kabłąkowatość postaci, płaskość gęby, nudę spojrzenia, ogólną nijakość i szarość, w połączeniu z zamazaniem i sporą dozą fragmentaryczności.

Musiałem więc zranić go dobrze, raz i drugi, aż do krwi, aby poczuł że ważniejsze jest *kim się jest* od tego, *co się robi.*

Wolno nauce gonić za pożytkiem. Sztuka niech pilnuje kształtu ludzkiego!

Wtorek

Że komunizm jest w teorii swojej naukowy — że te dwa światy, nauka i komunizm, są blisko spokrewnione — że więc i nauka ma tendencję komunizującą — ależ jasne, jak słońce! Tłumaczyłem niedawno profesorowi Teranowi (w Quequenie), że jeśli młodzież uniwersytecka lubi na ogół czerwień, to nie za sprawą agitatorów, a tylko wskutek swojej kultury naukowej. Czczą i wyznają wiedzę; komunizm ukazuje się im w aureoli scjentyzmu.

Pokrewieństwo — autentyczne — z przemożnym duchem nauki jest kartą atutową rewolucji w grze o podbój świata. Jeśli dopłyną do mety, to na tej naukowej fali, która wszystko zalewa. Dziwne natomiast jest zachowanie się sztuki w zimnej wojnie — jak mogła nie dostrzec, że jej miejsce po przeciwnej stronie barykady? To naprawdę dziwi — ma ona przecież we krwi tyle antykomunizmu — nieraz łapię się na tym, że choćbym dał się pociągnąć moim, czasem silnym, sympatiom do pewnych dokonań tam, za kurtyną, jako artysta muszę być antykomunistą, czyli, innymi słowy, że mógłbym być komunistą tylko rezygnując z porcji mojego człowieczeństwa, która wyraża się w sztuce.

Rzeczywiście! Jeśli sztuka jest ,,czymś najbardziej osobistym'', jeśli jest ,,własnością najbardziej prywatną, jaką można sobie wyobrazić'', jeśli sztuka to osobowość, to ,,ja''... Spróbujcież, wyznawcy kombinatów i kołchozów, powiedzieć Szopenowi, że sonata h-moll nie jest jego. Lub że on nie jest sonatą h-moll i to w sposób najbezwzględniejszy, najdzikszy. Och, wyobrażam sobie roztańczonego pajaca artyzmu uwodzącego, zakochanego, szalejącego, spragnionego wyższości i wszystkich luksusów, nie dającego się niczym okiełznać, ująć, określić — wyobrażam sobie tego duszka niepojętego a aroganckiego pod nadzorem waszych reglamentacji, wypełniającego potulnie i pożytecznie funkcje wyznaczone. Jakież to zabawne: szał sztuki, jej pożary, na tle statecznej, wyrozumowanej moralności i całego tego ,,uspołecznienia''.

Wymknęło się Marksowi, że sztuka jest jego nieubłaganym wrogiem i pozostanie nim zawsze, we wszystkich okoliczno-

ściach, niezależnie od tego, jakim systemem produkcji ją wykarmi. Czy za mało znał się na sztuce? I czy, jak wszyscy, co nie dość o niej wiedzą, nie doceniał jej elementarnego, wybuchowego charakteru? Sądził, że ona jest, lub może być — cywilizowana, normalna, pozytywna. Nie rozumiał, że jest wyładowaniem, eksplozją. I że w niej wydobywa się to właśnie, czego marksizm nie jest w stanie objąć. Zaliczyć trzeba na konto kornej prawomyślności świętych doktorów i akolitów czerwonego kościoła romans komunizmu ze sztuką, do dziś trwający, a tak groteskowo nędzny w swoich płodach.

Z drugiej strony wszakże — czyż fundusze, wydane na pielęgnację ,,produkcji artystycznej'' i kulturowa czułość pod adresem artysty nie opłaciły się sowicie? Dobrane, czy niedobrane było to stadło, zdołano przez dziesiątki lat stworzyć pozory wspólnego frontu. Mówiono sztuce: — Musisz iść z nami. W imię postępu! Moralności! Humanitaryzmu! Sprawiedliwości! Racji nie brakło. Zasypano ją racjami.

Artysta zaś dzisiejszy, który stracił instynkt, jest szczególnie wrażliwy na racje. Tak się dzieje z nim odkąd, zahukany nauką, utopił swój temperament w intelekcie, a kwiaty począł wąchać duszą, nie nosem. Czegóż wymagać od naiwnych, a zacnych skrupulatów ,,pracujących nad sobą'', doskonalących się, analizujących, konstruujących tę swoją moralność, drżących w obliczu swoich odpowiedzialności, cierpiących za całą ludzkość, tych badaczy, nauczycieli, przewodników, sędziów, inspektorów, inżynierów duchowych, męczenników wreszcie, nawet czasem świętych — ale nie tancerzy, nie śpiewaków... Sztuka wysmażana w laboratoriach... ależ czegóż wymagać od tych jaj na patelni, jakże ten omlet mógłby czemukolwiek się opierać?

Nie mam na myśli walki politycznej... Precz z polityką, sztuko! Bądź po prostu sobą. Pilnuj swojej natury, niczego więcej.

Czwartek

— Jak ci uwierzyć, gdy czynisz ze sztuki paladyna osobowości? Mówisz, że to ,,najbardziej własna wypowiedź człowieka'', że sztuka to ,,ja''? A ileż razy biadałeś, że człowiek nie może się nigdy w pełni wypowiedzieć? Twoje to słowa, że ,,być człowiekiem to znaczy nigdy nie być sobą'' — albowiem forma, w której się objawiamy, urabia się pomiędzy nami, a innymi ludźmi, jest nam narzucona... Twierdziłeś nawet, że jesteśmy ,,stwarzani'' przez innych, od zewnątrz... A sztuka? A artysta? Jakże możesz mówić, że ,,Szopen jest sonatą h-moll'', gdy tyle razy wywodziłeś, że dzieło tworzy się w dużej mierze same, własną swoją logiką, organicznymi swymi koniecznościami? Jak możesz czynić zarzut naukowcom, że nauka ich paczy, gdy według ciebie akurat tak samo sztuka paczy swoich ludzi, stwarzając się sama, poza artystą, narzucając mu formę?...

— Pozwól. Nie przeczę, sztuka też jest ,,pozaludzka'', albo ściślej ,,międzyludzka''. Ale artysta tym się różni od naukowca, że on chce być sobą... A czyż nie zapisałem już w tym dzienniku, że owo ,,ja chcę być ja'', to cały sekret osobowości, ta wola, ta żądza, decyduje o naszym stosunku do deformacji, sprawia, iż deformacja zaczyna boleć. Choćby mnie siły zewnętrze ugniatały, jak figurkę z wosku, pozostanę sobą póki będę nad tym cierpiał, przeciw temu protestował. W proteście przeciw zniekształceniu zawiera się nasz kształt autentyczny.

— I twierdzisz, że ludziom nauki obcy jest ten protest?

— Ależ tak! Oni — obiektywni — gotowi zawsze rozpłynąć się w swojej rzeczowej prawdzie... nie, oni nie są powołani do przeżywania rozdźwięku pomiędzy człowiekiem, a formą! Jeśli się tym zajmują, to naukowo — czyli bez cierpienia — czyli bez przeżycia...

— Więc myślisz, że ten ból, to przeżycie, może podjąć jedynie artysta?

— O, nie! To cierpienie powszednie, każdego człowieka; ale może bardziej natężone w tych, co oddali się z większą pasją sprawie wyrażania...



I zauważ, że inwazja nauki rokuje sztuce najpiękniejszą karierę.

W niej ujrzymy kiedyś jedynego naszego przyjaciela, i obrońcę. A nawet stanie się jedynym naszym dowodem tożsamości.

Rzeczywiście! Pomyśl tylko! Gdy budząc się pewnego poranku spostrzeżesz, że za przyczynieniem się bio-fizjologicznych metod wyrosła ci w ciągu nocy druga głowa z tyłka, gdy, widząc to, przerażony, stracisz głowę i nie będziesz już wiedział, która z tych głów jest twoją właściwą głową — cóż ci pozostanie jeśli nie krzyk grozy, buntu, protestu, rozpaczy... krzyk, że się nie zgadzasz!

Ten to krzyk znajdzie swojego poetę... i zaświadczy że wciąż jeszcze jesteś tym, kim byłeś wczoraj.

Co do mnie, oczekuję od świata nadchodzącego — naukowego — potwierdzenia tego co głosi ,,Ferdydurke'' o *dystansie do formy* i o *nieutożsamianiu się z formą*. Sztuka jutrzejsza wzejdzie pod tym znakiem, będąc sztuką ludzi zdeformowanych...

Będą oni świadomie stwarzać swoją formę (także kształt fizyczny). Ale nie będą się z nią utożsamiali.

Sobota

Nie dałbym trzech groszy, czy Skriabin nie doszedł do akordu kwartowego (zalterowanego) w Prometeuszu niezależnie

od Liszta. i potem — jakże wyśledzić dalszą drogę tego akordu u Debussy'ego, Mahlera, Dukasa, Ryszarda Straussa?

A co do akordu kwart-sekstowego, to pytam, czy kwinta, będąca u jego podstawy, naprawdę ,,gra'' uczuciowo — czy to nie konwenans, podtrzymywany kadencjami klasycznych koncertów (bardziej może tematem kodalnym)?

Niedziela

Niespodziewana wizyta Siegrista, który przesiaduje obecnie w Nowym Jorku, a dwa ostatnie lata spędził w Yale i w Cambridge. Przyszedł z J.C. Gomezem. Wydał mi się jakby ostudzony, w tym znakomitym mężu wygasł płomień, który go grzał za czasów La Troya. Swoim zwyczajem zabrał się do rysowania figurek na papierze, podsuniętym gościnnie przeze mnie.

Obaj twierdzą (ale to przede wszystkim opinia Siegrista), że osłabienie tempa najnowszej fizyki przypisać trzeba nie tyle wyczerpaniu się możliwości myślowych na terenie głównych, zapładniających, sprzeczności typu ciągłość-nieciągłość, makro-mikrokosmos, interpretacja falowa i korpuskularna, pole grawitacyjne i elektromagnetyczne etc., ile temu, że fizyka padła ofiarą pewnego systemu interpretacji, który wykształcił się w obcowaniu intelektualnym uczonych, w dyskusji. Mają na myśli polemiki typu Bohr-Einstein, Heisenberg-Bohr, wszystkie opinie wymienione ex re efektu Comptona, obcowanie umysłów, jak Broglie, Planck, Schrödinger, ten cały ,,dialog'', który, ich zdaniem, określił nieznacznie, stopniowo, a przedwcześnie i arbitralnie, kierunek problematyki i jej centra, stworzył przymus rozwoju po pewnej linii. To dokonało się samo przez się wskutek konieczności precyzowania. — Oto smutne konsekwencje nadmiernego gadulstwa — zauważył Gomez. — Powiedzieli odrobinę za dużo...

Kiedy pozwoliłem sobie zwrócić uwagę na niesłychaną skrupulatność większości tych uczonych w kontrolowaniu swego systemu interpretacyjnego i określaniu jego roli, oraz granic poznawczych, kiedy podałem jako przykład Einsteina, zauważyłem ze Siegrist notuje coś na papierze. Było to wypisane wielkimi literami słówko ,,MACH''.

Poniedziałek

Zjadłem smaczną rybę.

Poniedziałek

Zagadka ,,światła'' w Mozarcie. Ileż racji ma Gide, gdy mówi, że w jego muzyce dramat, prześwietlony inteligencją, duchem, przestaje być dramatyczny. Wspaniałość w rodzaju pierwszego allegro Symfonii Jowiszowej jest ukoronowaniem tego

wewnętrznego procesu: blask zwycięża i niepodzielnie panuje. Ale i w nim, i w Leonardzie da Vinci, widzę element perwersji, jakby nielegalnego uchylania się życiu — uśmiech Leonarda (w jego rysunkach zwłaszcza) i uśmiech Mozarta mają tę cechę, to tak jakby oni chcieli zabawy zakazanej, jakby chcieli bawić się i delektować nawet tym, czym nie wolno, nawet tym, co boli... delikatna a szelmowska gra, chytra, arcyinteligentna zmysłowość... ależ przecie już samo to zestawienie ,,inteligentna zmysłowość'' jest grzeszne... Czy gama wstępująca i zstępująca w ,,Don Giovanni'' nie jest dziwnym żartem, który wykpiwa się z piekła? Wysokie rejestry Mozarta nieraz zalatują mi czymś niedozwolonym, jakby grzechem.

Odwrotnością Mozarta byłby Szopen — tutaj bowiem afirmacja słabości, delikatności, przeprowadzona z niesłychaną stanowczością i uporem, daje w rezultacie siłę i możność spojrzenia w oczy życiu. On tak bardzo ,,upiera się przy swoim'', tak kategorycznie chce być kim jest, że to czyni go naprawdę istniejącym — a więc nieustępliwym, jako zjawisko, niezmożonym. W ten sposób, na drodze autopotwierdzenia, romantyzm szopenowski, zrozpaczony, zatracony, cierpiętliwy, poddany mocom świata jak słomka na wichrze, przeobraża się w surowy klasycyzm, w dyscyplinę, w opanowanie materii, w wolę panowania. Jakże wzruszający i podniosły jest jego heroizm, widziany od tej strony, a jak deklamacyjny, retoryczny i kiepski, gdy się go ogląda od strony ,,patriotycznej''. ,,Uchwycę się najsilniej tego we mnie, co najsłabsze'' — zdaje się krzyczeć jego dzieło.

Środa

Sznycel. Ananas. Dzień szary.

Come clean, ,,Gombrowicz''! *There are at least nine of you and you have written a masterpiece unawares*... Chciałbym, żeby kto mi przetłumaczył to zdanie, wyczuwam w nim jakieś wezwanie, ale co by to być mogło?... Kto mnie wzywa? I dlaczego nie umiem po angielsku? Dziś umieram na szaro. Kto mnie wzywa?

Piątek

Wymiana listów z Adamem Czerniawskim, a pośrednio z Czaykowskim, z powodu wydania angielskiego ,,Ferdydurki'', oraz lektura dyskusji o Wiadomościach i Kulturze w Kontynentach, naprowadza mnie na wątpliwość, czyby nie napisać obszerniej w dzienniku o tej grupie młodych pisarzy emigracji, tak zażartej w swoim polskim starcie na londyńskim ugorze. To by mnie przecież dużo nie kosztowało, a im mogłoby się przydać...

Zaledwie zamajaczyła mi się taka idea, wycofuję się z niej gwałtownie. Płoszy mnie wstręt do aspektu gremialnego literatury. Aj, grupy! Związki! Starty! ,,Pisarze'', ,,Młodzi pisarze'', ,,starzy pisarze'', ,,młode pokolenie'', ,,wschodzące wartości''!... Wystarczy abym kogoś zauważył w literaturze i zaczął go czytać, a już ten ktoś przestaje być dla mnie ,,pisarzem'', staje się Paskiem, lub Chestertonem *tout court*. Nie widzę w sztuce nic oprócz nazwisk.

Gdyby pomiędzy którymś z tych młodych, a mną, wystrzeliła iskra przymierza duchowego, ten ktoś w tej samej chwili stałby się dla mnie... sobą tylko... nie zaś literatem, ani młodym, ani startującym na obczyźnie. Ale iskra tak łatwo nie wystrzeli. Łatwiej mi o nią w styczności z młodzieżą w kraju, nie tutaj z tymi już ćwierć Anglikami, na pół zdławionymi obrożą nabytej kultury angielskiej. Ich angielskość tłumi, onieśmiela ich polskość. Ich polskość nie pozwala angielskości, by się w nich wszczepiła. NieposPolicie trudne jest ich zadanie, prawie karkołomne — tak skombinować te dwa bieguny, żeby z nich powstała elektryczność rozwiązująca język! (Przyszłoby im to łatwiej, gdyby pisali po angielsku, jak Conrad, jak Pietrkiewicz, wówczas ich polski najgłębszy egzotyzm uderzyłby im do głowy).

Dziwny ten krzew, wschodzący w naszym emigracyjnym ogrodzie — i na glebie tak niesprzyjającej. Gdybym był ogrodnikiem, podlewałbym go starannie rano i wieczór, bo dziwność czasami staje się cenna. Tylko że ja nie jestem ogrodnikiem.

Piątek

Co powiedział o mnie Śmieja w tej dyskusji, broniąc mego dziennika? ,,Może się nie podobać jego brutalność, jego egocentryzm i arogancja w stosunku do maluczkich po piórze...''.

Ależ nie! Źle mnie czyta! U mnie nie ma ,,maluczkich po piórze''. To znów punkt widzenia gremialny. Z gustem co prawda miażdżę czasem, dla żartu, moją szarżą, ale tylko takich co to się puszą swoimi epoletami. Nigdy z nikim nie przystąpiłem do pojedynku, jak tylko rozebrawszy się uprzednio ze wszystkich szarż i epoletów, w ogóle nigdy nie napisałem jednego słowa, jak tylko w stroju adamowym.

Sobota

Miewa się też pretensje do mnie, że mistyfikuję. Niedawno jedna kobieta doskoczyła do mnie w Domu Polskim: — Pan mistyfikuje! Nigdy nie wiadomo, czy pan na serio, czy dla paradoksu, dla pucu!

— Dudek — odrzekłem — niczego bardziej nie obawia się, jak żeby go nie wystrychnięto na dudka. Ten strach po niewczasie nie opuszcza go: a nuż mnie nabierają! Ależ, dudku, co ci

z tego, że będziesz wiedział, czy ja „szczerze", czy „nieszczerze"? Co to ma do słuszności wypowiadanych przeze mnie myśli? Mogę „nieszczerze" wypowiedzieć niebotyczną prawdę, a „szczerze" palnąć największe głupstwo. Naucz się oceniać myśl niezależnie od tego, kto i jak ją wypowiada.

Owszem, mistyfikacja jest zalecona pisarzowi. Niech zmąci nieco wodę wokół siebie, aby nie wiedziano kto zacz — pajac? kpiarz? mędrzec? oszust? odkrywca? blagier? przewodnik? A może on jest tym wszystkim naraz? Dość błogiej drzemki na łonie wzajemnego zaufania. Czuj duch!

Czuwaj!

I czołem, dudki!

Witold GOMBROWICZ

Jeszcze o amerykańskim ustroju gospodarczym

W listopadowym (11/157) numerze *Kultury* ukazała się, zarysowana z szerokim rozmachem, panorama amerykańskiego ustroju gospodarczego pióra T. Sołowija. Opracowanie to wywołało już pewną dyskusję na łamach *Kultury* w postaci artykułu kolegów A. Korbońskiego i B. Mieczkowskiego („Jeszcze o kapitalizmie amerykańskim" w numerze 4/161). Przedmiotem ich rozważań jest między innymi rozwinięcie „Uwag o kapitalizmie amerykańskim" przez sformułowanie dodatkowych kryteriów, którym — według opinii autorów — odpowiadać powinien ustrój gospodarczy. Wypada tu zresztą ostrzec niefachowego czytelnika, że pomimo dobrych chęci nie udało się autorom uniknąć operowania konceptami tzw. ekonomiki dobrobytu (*welfare economics*). Koncepty te skryły się tylko poza żywopłotami wysuniętych postulatów, a między innymi poza niewinnie na pozór wyglądającym, a faktycznie obciążonym założeniami etycznymi, zagadnieniem „zaspokojenia popytu". Dziedzina ekonomiki dobrobytu jest bardzo zawiła i kontrowersyjna; jak słusznie zauważył kiedyś Kenneth Boulding, *zagadnienia* jej odnoszą się do bardziej ogólnie ujętych problematów ekonomicznych w ten sam mniej więcej sposób, w jakim porównać można zagadnienia astrologii do przedmiotu nauki astronomii.

„Uwagi" kolegi Sołowija uzupełnić należy jednak i na bardziej przyziemnej płaszczyźnie. Przy dokładniejszym czytaniu okazuje się bowiem, że zawierają one szereg nieścisłości odnoszących się do funkcjonowania istniejącego dziś w Stanach Zjednoczonych ustroju gospodarczego, bez względu już na to czy odpowiada on takim, czy też innym, postulatom. Chodzi tu nie tylko o drobne omyłki w szczegółach, które można by sprostować w krótkim liście do redakcji, lecz także o bardziej zasadnicze kwestie dotyczące stosowania narzędzi polityki gospodarczej. Omawiając poniżej niedociągnięcia „Uwag" staram się uniknąć charakterystycznej wady ekonomistów, którzy (według E.E.

Witte, byłego prezesa Amerykańskiego Towarzystwa Ekonomicznego) ,,często z sardoniczną radością poświęcają sporą część swoich wysiłków na niszczenie zawodowej reputacji'' kolegów po fachu. Wydaje mi się jednak, że zagadnienia obecnego amerykańskiego ustroju gospodarczego zasługują na bardziej wiarogodne przedstawienie. Taki czy inny ideał może pozostać nieosiągalny dla naszego pokolenia, a w chwili bieżącej *c'est la réalité des choses qui commande*. Stąd też, a nie z profesorskiego zamiłowania do czerwonego ołówka, wynika obecna próba częściowego chociaż sprostowania i uzupełnienia ,,Uwag o kapitalizmie amerykańskim''.

•

Pracę kolegi Sołowija cechuje daleko idący optymizm, dotyczący skuteczności polityki pieniężnej jako środka ogólnej polityki gospodarczej, dążącej do stabilizacji koniunktury czy też przełamania depresji. Czytamy więc, że ,,(Franklin) Roosevelt... znakomitym środkiem działania kredytem na przebieg koniunktury, jaki posiadał w Systemie Rezerwy Federalnej, posługiwał się nieśmiało'' (str. 12). I dalej, energiczne stosowanie polityki drogiego pieniądza w latach 1958-59 ,,pozwala przewidywać, że dobra koniunktura potrwa przynajmniej do końca 1960 r.'' (str. 15).

Sam fakt, że gospodarka amerykańska osiągnęła szczytowy punkt dobrej koniunktury gdzieś w maju, lub czerwcu, 1960 roku, i że procentowy stosunek bezrobotnych w ubiegłym grudniu był najwyższy dla wszystkich powojennych grudni, świadczy tylko, że pomimo poważnych osiągnięć w dziedzinie przepowiadania koniunktury ten dział ekonomiki pozostaje ciągle w dużej mierze przedsięwzięciem artystycznym, a nie ściśle naukowym. Kryształowe kule w postaci wykresów i tablic, w które wpatrujemy się tak uporczywie, nie dają nam jeszcze niestety zadawalających odpowiedzi na bardzo zasadnicze pytania dotyczące przebiegu koniunktury. Rzecz zresztą nie w tym, że nie wiemy czego szukać; odwrotnie, główną przyczyną naszych omyłek jest brak dostatecznie aktualnych danych statystycznych, które często stają się dostępne (i to nawet ekonomistom pracującym w instytucjach państwowych) z kilkutygodniowym opóźnieniem. Nikt też nie ma za złe koledze Sołowijowi, że i jego kula kryształowa dała mu w tym wypadku zbyt optymistyczną odpowiedź.

Przytoczone wyżej cytaty pozwalają jednak przypuszczać, że choćby część optymizmu ich autora przypisać można wierze w skuteczność polityki ponięźnej zarówno w okresie kryzysu jak i dobrej koniunktury. Zagadnienie to jest zresztą bardzo ciekawe. Nie ulega bowiem wątpliwości, że o ile sprawa ogólnego rozwoju gospodarczego jest celem, który starają się dziś osiągnąć prawie wszystkie systemy gospodarcze (włącznie z systemami gospodarki planowej), o tyle kwestia złagodzenia wa-

hań koniunktury jest specjalnie ważna dla ustrojów rynkowych, do których w dalszym ciągu zaliczyć należy i ustrój amerykański. Zagadnienie to nabiera specjalnej wagi w odniesieniu do Stanów Zjednoczonych, które są przecież środkiem ciężkości gospodarki światowej poza żelazną i bambusową kurtyną. Nie bez powodu Kreml pokładał duże nadzieje w okresie powojennym w mającej się, jakoby lada dzień, pojawić silnej depresji amerykańskiej. Prawdą jest również, że w dziedzinie tej ma swoją rolę do odegrania i polityka pieniężna. Powstaje jednak pytanie czy mamy tu do czynienia ze ,,znakomitym'' środkiem oddziaływania na koniunkturę? By na nie odpowiedzieć, konieczne wydaje się krótkie omówienie zagadnień i narzędzi polityki pieniężnej na tle warunków i urządzeń amerykańskich. Ograniczając się z konieczności do rozmiarów podręcznikowych, nie wnoszę tu zresztą nic specjalnie nowego.



Streszczając w jednym zdaniu rolę polityki pieniężnej w oddziaływaniu na koniunkturę, powiedzieć można, że okresy taniego pieniądza sprzyjają pobudzeniu lub dalszemu rozwojowi życia gospodarczego i działają przychylnie na wzrost płac i cen (o ile nie mamy do czynienia z dużym bezrobociem), podczas gdy okresy drogiego pieniądza zbiegają się z innymi posunięciami polityki gospodarczej dążącej do zahamowania inflacji. Bezwzględne stosowanie polityki drogiego pieniądza może zresztą doprowadzić nie tylko do zahamowania wzrostu cen, lecz także do wstrzymania dalszego rozwoju dobrobytu, a nawet do przemiany dobrobytu w depresję.

Polityka pieniężna, to zasadniczo manipulowanie obiegiem pieniężnym i stopą procentową przez bank emisyjny. W warunkach amerykańskich mamy tu do czynienia nie z jednym bankiem emisyjnym w rodzaju Banku Anglii, ale z systemem banków emisyjnych w postaci Systemu Rezerwy Federalnej (popularnie zwanej ,,Fed''). Składa się on (zaczynając od dołu) z indywidualnych banków handlowych, z 12 rejonowych Banków Rezerwy Federalnej (będących zresztą własnością wymienionych banków handlowych) i z Rady Gubernatorów, liczącej siedmiu członków, mianowanych przez Prezydenta Stanów Zjednoczonych (za poradą i zgodą Senatu) na okres 14 lat (1). Terminy urzędowania poszczególnych członków Rady upływają zresztą co dwa lata, co uniemożliwia zapełnienie Rady przez ludzi przychylnych poglądom gospodarczym tego, czy innego, Prezydenta. Jak widać, organizacja Systemu Rezerwy Federalnej jest w dużej mierze kompromisem pomiędzy elementami prywatnymi, a państwowymi. Dzięki stosowanemu systemowi kompletowania Rady Gubernatorów (która decyduje o polityce Systemu) jest

(1) Dla przejrzystości opuszczam tu Federalny Komitet Operacji Wolnorynkowych (w którym większość stanowi Rada Gubernatorów) jak również i Federalną Radę Doradczą.

ona nie tylko *de iure* niezależna od rządu i Departamentu Skarbu. W wypadku radykalnej różnicy poglądów na zagadnienia polityki pieniężnej i gospodarczej istnieją teoretyczne możliwości konfliktu pomiędzy Systemem a rządem. Dość dużo atramentu zużyto w okresie ostatniej kampanii wyborczej na rozważanie praktycznych możliwości takiego konfliktu pomiędzy obecnym Prezydentem Kennedy a prezesem Rady Gubernatorów, p. Williamem McChesney Martin'em, który *nota bene* należy do tego samego stronnictwa. W tej chwili wydaje się, że przelew atramentu był bezcelowy, chociaż p. Martin odznacza się na ogół bardziej konserwatywnym podejściem do zagadnień polityki gospodarczej.

Pod pojęciem obiegu pieniężnego rozumiemy w Ameryce nie tylko monety i banknoty (emitowane częściowo przez Skarb, lecz głównie przez System Rezerwy Federalnej), lecz także indywidualne konta czekowe około 13,500 prywatnych banków handlowych. Konta te stanowią w chwili obecnej około 4/5 obiegu pieniężnego Stanów Zjednoczonych; rozszerzają się one i kurczą w toku normalnych operacji kredytowych banków handlowych.

Wpływ Systemu Rezerwy Federalnej na obieg pieniężny i stopę procentową polega między innymi na istnieniu tzw. kont rezerwowych, które należące do Systemu banki handlowe muszą utrzymywać w Bankach Rezerwy Federalnej. Wysokość tych kont określona jest w stosunku procentowym do ogólnej wysokości kont czekowych utrzymywanych przez klientów w danym banku handlowym. W chwili obecnej stosunek ten wynosi średnio około 15 procent, co znaczy, że każdy dolar na koncie rezerwowym umożliwia istnienie około sześciu i pół dolarom na indywidualnych kontach czekowych. Istniejące ustawy upoważniają Radę Gubernatorów do zmiany wymaganej wysokości kont rezerwowych w granicach od (mniej więcej) 9 do 20 procent. Załóżmy, że mamy do czynienia z sytuacją, w której banki handlowe są zupełnie zapożyczone, i że Rada Gubernatorów decyduje się na zmniejszenie wymaganej wysokości kont rezerwowych z 15 na 12 procent. Krok ten powoduje automatycznie powstanie tak zwanych niewykorzystanych kont rezerwowych, na podstawie których obieg pieniężny może się zwiększyć przez tworzenie nowych kont czekowych w bankach handlowych. W danym wypadku, maksymalny wzrost obiegu pieniężnego równać się może ośmiokrotnej wysokości niewykorzystanych kont rezerwowych. Odwrotnie, zwiększenie procentowej wysokości wymaganych kont rezerwowych powoduje zmniejszenie się, lub likwidację, niewykorzystanych rezerw (o ile takie istniały w momencie decyzji Rady), lub nawet absolutnym zmniejszeniem się obiegu pieniężnego (o ile banki handlowe nie posiadały zupełnie niewykorzystanych rezerw). Dodać należy, że zmiany procentu wymaganych rezerw działają momentalnie i w sposób niezwykle ostry: porównuje się je popularnie do ognia najcięższej artylerii Systemu Rezerwy Federalnej. Skutki takich zmian by-

wają zwykle łagodzone innymi środkami polityki pieniężnej, o których mowa poniżej.

System Rezerwy Federalnej może również tworzyć, lub likwidować, niewykorzystane rezerwy banków handlowych przez tzw. operacje na wolnym rynku, to jest przez kupno lub sprzedaż obligacji państwowych. Nabywając obligacje, System płaci za nie czekiem Banku Rezerwy Federalnej, który odbiorca deponuje w swoim banku handlowym. Gdy bank ten przedstawia taki czek do płatności w Banku Rezerwy Federalnej, uzyskuje on wówczas zwiększenie swego konta rezerwowego o odpowiednią sumę niewykorzystanych rezerw. Odwrotnie, sprzedaż obligacji na rynku powoduje wpływ czeków nabywców do Banków Rezerwy Federalnej, co powoduje zmniejszenie się wysokości kont rezerwowych banków handlowych, a co zatem idzie, zmniejszenie się lub likwidację niewykorzystanych rezerw. Jednocześnie, nabywanie obligacji (*ceteris paribus*) prowadzi do wzrostu ich cen, a zatem do spadku stopy procentowej, podczas gdy ich sprzedaż zniża ceny obligacji i podwyższa stopę procentową. W chwili obecnej jest to najczęściej używany sposób kontroli wysokości obiegu pieniężnego przez Rezerwę Federalną.

Niewykorzystane rezerwy mogą być wreszcie tworzone drogą dyskonta weksli w Bankach Rezerwy Federalnej za opłatą stopy dyskontowej ustalonej przez Radę Gubernatorów. W przeciwieństwie do obu wyżej opisanych sposobów wpływania na obieg pieniężny, inicjatywa akcji spoczywa w tym wypadku w rękach banków handlowych, które w amerykańskich warunkach starają się (na ogół) unikać poważnego zadłużania się w Bankach Rezerwy Federalnej. Wobec tego, zwiększenie lub zmniejszenie stopy dyskontowej jest tutaj raczej wywieszeniem na maszcie Systemu czerwonej, względnie zielonej, chorągiewki, oznaczającej, że System stara się prowadzić politykę drogiego lub też taniego pieniądza.

Używana często oraz skutecznie w Anglii jak i w Kanadzie metoda wpływania na obieg pieniężny drogą perswazji stosowanej przez bank emisyjny w stosunku do banków handlowych jest mało skuteczna w Stanach Zjednoczonych, głównie dzięki istnieniu tak dużej ilości indywidualnych banków handlowych.

Powyższe sposoby kontroli obiegu pieniężnego nazywamy ogólnymi lub pośrednimi, ponieważ odbijają się one (w teorii) na wszystkich dziedzinach życia gospodarczego. Bezpośrednimi metodami kontroli kredytu jest ograniczenie wysokości pożyczek (w stosunku do wartości całej transakcji) jak i długości ich terminu. W chwili obecnej System posiada podobne uprawnienia tylko w stosunku do pożyczek udzielanych na prowadzenie operacji giełdowych; widać tu jasno skutki smutnych doświadczeń 1929 roku. Podczas drugiej wojny światowej i wojny koreańskiej podobne środki kontroli stosowane były w stosunku do kredytu budowlanego i kredytu używanego na nabycie tzw. stałych dóbr konsumpcyjnych, to jest samochodów, lodówek, maszyn do prania, itp.

◆

Jak widać z powyższego opisu, narzędzia polityki pieniężnej działają na ogół w sposób asymetryczny. Z jednej strony, System Rezerwy Federalnej (jak i każdy inny bank emisyjny) jest na ogół w stanie opanować normalną sytuację inflacyjną: przez sprzedaż obligacji, zwiększenie stopy procentowej i dyskontowej oraz zwiększenie wysokości wymaganych kont rezerwowych, Rezerwa może doprowadzić do zatrzymania wzrostu obiegu pieniężnego, lub nawet do jego zmniejszenia. Z drugiej strony, w okresie deflacji, kiedy głównym zadaniem jest pobudzenie działalności gospodarczej, polityka pieniężna może doprowadzić tylko do zwiększenia się wysokości niewykorzystanych kont rezerwowych, na podstawie których banki handlowe mogą zwiększyć swe własne operacje kredytowe, a zatem i obieg pieniężny. Jednakże, i w tym właśnie sedno rzeczy, rzeczywiste zwiększenie się obiegu pieniężnego zależy nie tylko od dobrej woli Rezerwy i banków handlowych, lecz także i od zachowania się przedsiębiorstw i jednostek reflektujących na pożyczki. O ile nikt nie chce zadłużać się w bankach, to istnienie niewykorzystanych kont rezerwowych, sięgających nawet w miliardy dolarów, nie jest w stanie zwiększyć obiegu pieniężnego nawet o jednego marnego dolara. Można bowiem, przysłowiowo, doprowadzić konia do wodopoju, ale zmusić go do picia nie można. Innymi słowy, łatwo jest ściągać balonik na sznurku, ale popychanie go sznurkiem do góry może się okazać zupełnie beznadziejnym przedsięwzięciem.

Dodać wreszcie należy, że wzrost obiegu pieniężnego nie jest sam przez się wystarczającym warunkiem pobudzenia koniunktury. Jeśli jednocześnie nastąpi zmniejszenie się szybkości obrotu pieniądza, to nawet powiększenie jego obiegu może spalić na panewce.

Może, oczywiście, ale nie musi. Istnieją bowiem okoliczności, w których doprowadzenie konia do wodopoju i rozluźnienia sznurka od balonika okażą się zupełnie wystarczającymi pociągnięciami. Wystarczy po prostu aby koń był spragniony, a balonik nadal wypełniony lekkim gazem. Wystarczy więc aby w momencie załamania się koniunktury istniała w gospodarce grupa „nienasyconych amatorów pożyczek", którzy w momencie rozluźnienia polityki pieniężnej zgłoszą się momentalnie do banków reflektując na zadłużenie się i na dalsze puszczenie pieniądza w ruch. W takim wypadku, na który duży nacisk kładzie grupa ekonomistów wierzących w skuteczność polityki pieniężnej, odpowiednia i na czas przeprowadzona akcja Systemu Rezerwy Federalnej może okazać się równie skuteczna zarówno w okresie depresji jak i u szczytu dobrobytu.

Podobne postawienie sprawy prosi się jednak o dalsze pytania. Kim są owi „nienasyceni amatorzy pożyczek?" Czemu zawdzięczamy ich istnienie? Jeśli można ich znaleźć tylko w spe-

cjalnie ograniczonych warunkach, to trudno nam będzie dzielić optymistyczne podejście do zagadnienia skuteczności polityki pieniężnej, i trzeba będzie powrócić do bardziej pesymistycznych konkluzji.

Jak dobrze wiemy, amatorów pożyczek nigdy nie brak, i można ich na ogół zaliczyć do gatunku ,,niezaspokojonych''. W konkretnym jednak wypadku muszą oni odpowiadać w zupełności wymaganiom bankowym, co naturalnie poważnie ogranicza ich ilość. Mamy tu więc do czynienia z grupą ewentualnych dłużników bankowych, których od pobierania pożyczek w okresie poprzedniego dobrobytu odstraszył tylko ich koszt, czyli innymi słowy wysokość stopy procentowej. Jasne jest więc, że koniecznym warunkiem jest skuteczne i odważne prowadzenie polityki drogiego pieniądza w okresie poprzedzającego kryzys dobrobytu; polityka taka doprowadza bowiem do wysokiej stopy procentowej i zmusza banki do selektywnego udzielania pożyczek. Jest to jednak warunek niewystarczający. Niemniej ważne jest istnienie silnego i dającego się odczuwać popytu na końcowe produkty procesu gospodarczego. W przeciwnym bowiem wypadku, amatorzy pożyczek łatwo i z własnej woli zrezygnują z wątpliwego przywileju płacenia odsetek za nieprzynoszące dochodów pożyczki. Na koniec, ważny jest również brak zaburzeń giełdowych w okresie poprzedniego dobrobytu; podważają one bowiem zaufanie i wywołują niepewność na rynkach pieniężnych i kapitałowych.

Jasne jest więc, że polityka pieniężna jest ,,znakomitym'' środkiem oddziaływania na koniunkturę tylko w pewnych, ściśle określonych warunkach. Krótki rzut oka na gospodarkę amerykańską w latach trzydziestych pozwala stwierdzić, że żaden z wymienionych wyżej warunków nie został wówczas spełniony. I tak, wydatki konsumpcyjne spadły w okresie rządów Hoover'a niemal o jedną piątą, inwestycje prywatne brutto prawie o 90 procent. Trudno tu mówić o silnym popycie na produkty. Jednocześnie, choć brak miejsca nie pozwala na szczegółową analizę polityki pieniężnej w latach 1927-29, to niesposób twierdzić, że ówczesny dobrobyt został silnie utrzymany w ryzach przez System Rezerwy Federalnej. Jak wreszcie wiadomo, spekulacja giełdowa doszła w 1929 r. do niesłychanych rozmiarów. Gdy więc Roosevelt obejmował ster polityki amerykańskiej w marcu 1933 roku, warunki w których polityka pieniężna mogłaby być wystarczającym narzędziem nakręcania koniunktury, nie istniały zupełnie.

Co gorsze, zarzut ,,nieśmiałego posługiwania się Rezerwą Federalną, postawiony Roosevelt'owi przez kolegę Sołowija, wydaje się zupełnie nieuzasadniony. Pomijam już fakt, że amerykański Prezydent nie jest w stanie wydawać zarządzeń Radzie Gubernatorów. Dzięki jednak niemal nieprzerwanemu napływowi złota, jak również dzięki celowej polityce Rezerwy Federalnej, pieniądz w latach trzydziestych był niesłychanie tani. Wystarczy tu spojrzeć tylko na kilka zasadniczych danych sta-

tystycznych. Stopa dyskontowa Banków Rezerwy Federalnej spadła z 5-6% w roku 1929 do 3 i pół% w marcu 1933 roku i dalej do 1 i pół-2% w 1936-37, dochodząc wreszcie do 1-1 i pół% w roku 1938. Jednocześnie, stopa procentowa na pożyczki krótkoterminowe, która dochodziła do 6 % w 1929 r., spadła do 1,7% w 1933 r., zniżając się wreszcie poniżej 1% w latach 1936-46. Niewykorzystane rezerwy banków handlowych, wynoszące 40-50 milionów dolarów w roku 1929, a 200 milionów w ostatnim roku rządów Hoover'a, podniosły się szybko do 3 *miliardów* dolarów w roku 1936, a nawet po ostrym podniesieniu wysokości wymaganych rezerw nie spadły w żadnym miesiącu poniżej (średnio) 750 milionów dolarów. Spadek ten był zresztą bardzo krótki. Już w kwietniu 1938 roku niewykorzystane rezerwy przekroczyły z powrotem poziom 2 miliardów, i doszły w końcu do niebywałej sumy niemalże 7 miliardów w roku 1940 (2). Na koniec, obieg pieniężny podniósł się z 8 do 14 miliardów dolarów w latach 1932-1940.

Być może, że polityka jeszcze bardziej taniego pieniądza doprowadziłaby do szybszego podniesienia się koniunktury. Ponieważ ekonomika nie dysponuje metodą badań laboratoryjnych, nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Wydaje się jednak, że niesłychanie niski poziom stopy procentowej w latach trzydziestych pozwala stwierdzić, że polityka pieniężna doszła niemalże do kresu swych możliwości. W każdym jednak wypadku cyfry mówią za siebie. Trudno więc mówić o ,,nieśmiałej'' polityce pieniężnej w okresie rządów Roosevelt'a, bez względu już na to czy jest ona ,,znakomitym'', czy też tylko ,,względnie skutecznym'' środkiem oddziaływania na koniunkturę. Właśnie wtedy wytworzyło się panujące do dziś przekonanie, że bez pomocy innych narzędzi polityki gospodarczej (a więc przede wszystkim polityki skarbowej) polityka pieniężna nie może przełamać głębokiej depresji.



Pozostaje nam jeszcze rozważyć pytanie, czy polityka pieniężna jest ,,znakomitym'' środkiem oddziaływania na dobrą koniunkturę, to jest czy potrafi ona utrzymać *boom* w ryzach. Jak stwierdziliśmy poprzednio jest ona wtedy teoretycznie bardziej skuteczna. Chodzi jednak o to, czy jest ona wystarczającym środkiem dla powstrzymania wzrostu cen i przedłużenia okresu dobrej koniunktury. Duży nacisk kładziono na to zagadnienie w okresie rządów Eisenhower'a, kiedy polityką pieniężną posługiwano się dość ochoczo, z dużą dozą wiary w jej skuteczność. Przebieg wypadków wydaje się jednak przeczyć optymi-

(2) Goldenweiser, E.A., *American Monetary Policy*. New York, Mc Graw Hill, 1951, str. 340 i *Banking and Monetary Statistics*. Washington, D.C., Board of Governors of the Federal Reserve System, 1943, str. 370-372 i 441-442.

stycznej ocenie sytuacji i w tym wypadku: problem ,,pełzającej inflacji'' (wraz z poważnym i długotrwałym bezrobociem, deficytem bilansu płatniczego oraz zagadnieniami *distressed areas*) przekazano bowiem w testamencie politycznym rządowi Prezydenta Kennedy'ego. Dlaczego więc skuteczność polityki pieniężnej wydaje ograniczona i w okresie pełnego rozwoju dobrobytu?

Jak już wiemy, stosowanie hamulców polityki pieniężnej odbija się przede wszystkim na ogólnym poziomie kont rezerwowych i, dalej, na wysokości obiegu pieniężnego. Zmniejszenie się jednak obiegu pieniężnego może okazać się niewystarczające dla opanowania inflacji. Nowoczesny system finansowy może bowiem zareagować na kurczenie się obiegu pieniężnego przez przyśpieszenie obrotu pieniądza, negując w ten sposób, przynajmniej częściowo, hamujące zabiegi Rezerwy Federalnej.

Możliwości takiej reakcji istnieją między innymi dzięki polityce dużych przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych. W okresie wczesnego rozwoju dobrobytu, gdy koszta nie zdążyły jeszcze dostosować się do cen, przedsiębiorstwa takie dysponują zwykle poważnymi rezerwami kasowymi, inwestowanymi w krótkoterminowych obligacjach państwowych. Gdy w miarę dalszego rozwoju dobrobytu Rezerwa stara się przyhamować dalszy rozwój kredytu i zwiększyć stopę procentową, przedsiębiorstwa te likwidują swe portfele obligacyjne i są wówczas w stanie nie tylko finansować swe własne wydatki (jak na przykład finansowanie rozpoczętych programów inwestycyjnych), lecz także udzielać kredytu nabywcom swoich produktów. Dzięki temu nacisk na banki maleje i mogą one nadal udzielać pożyczek innym przedsiębiorstwom na bardziej szeroką skalę, niż byłoby to możliwe, gdyby pozostały one jedynym źródłem kredytu.

Podobne ograniczenia skuteczności polityki pieniężnej powstają na skutek zmian w portfelu banków handlowych, następujących po wprowadzeniu polityki drogiego pieniądza. Jeśli banki posiadają wystarczającą ilość obligacji państwowych (nabywanych zresztą w okresie poprzedzającej dobrobyt recesji dla zastąpienia zmniejszających się zarobków od pożyczek), to reakcja ich na politykę drogiego pieniądza przejawia się wówczas w sprzedaży obligacji i tworzeniu nowego pieniądza w postaci kont bankowych dla pożyczkobiorców. Ponieważ nabywcy takich obligacji posiadają zwykle nieaktywne, albo słabo aktywne, konta czekowe, skutkiem podobnych zmian w portfelu banków jest zamiana powoli obracającego się pieniądza na pieniądz obracający się szybko.

Wreszcie, szeroki rozwój krótkoterminowego rynku pieniężnego i tak zwanych instytucji finansowych (kasy oszczędnościowe, towarzystwa oszczędnościowo-pożyczkowe, itp.) zwiększył znacznie zdolność mobilizowania nieaktywnych funduszów przez system finansowy i możność przekazania ich bardziej czynnym elementom życia gospodarczego.

By potwierdzić, że nie mamy tu do czynienia tylko z teoretycznymi rozważaniami wystarczy spojrzeć na przykład na dane

dotyczące zachowania się obiegu i obrotu pieniężnego w okresie ostatniego dobrobytu, który rozpoczął się w drugim kwartale 1958 roku, a skończył się (jak się obecnie wydaje) w drugim kwartale 1960 roku. W okresie tym dochód społeczny (mierzony w cenach bieżących) wzrósł o 16.3 procent, zaś obieg pieniężny, pod wpływem ostro stosowanej polityki drogiego pieniądza od lata 1958 roku, wzrósł tylko o 2.1 procent. Jednocześnie szybkość (dochodowa) obrotu pieniężnego podniosła się o 14 proc.

Praktycznie rzecz biorąc, Rezerwa Federalna nie dysponuje właściwie żadnymi środkami pozwalającymi na przeciwdziałanie zwiększaniu się szybkości obrotu pieniężnego. Teoretycznie może ona ograniczyć jeszcze bardziej wysokość kont rezerwowych i zmniejszyć obieg pieniężny. Droga ta jednak najeżona jest niebezpiecznymi pułapkami. Dzięki niedoskonałościom rynku amerykańskiego, stosowanie ogólnych środków kontroli kredytu odbija się bardzo nierównomiernie na poszczególnych gałęziach życia gospodarczego. Tak więc, wzrost stopy procentowej i ograniczenie obiegu pieniężnego hamują szybko i skutecznie dalszy rozwój budownictwa (a szczególnie budownictwa mieszkaniowego) i odbijają się poważnie na wydatkach samorządów stanowych i lokalnych, jak również na wydatkach małych przedsiębiorstw. Wpływ ich natomiast na inwestycje stałe, jak również na inwestowanie w inwentarzach, wydaje się być bardzo ograniczony. Co gorsze, w wielu wypadkach skutki polityki drogiego pieniądza na inwestycje stałe przejawiają się dopiero po upływie dłuższego okresu czasu, co ogromnie zwiększa trudności pobierania odpowiednich decyzji przez Radę Gubernatorów. Zbyt ostre stosowanie hamulców, jak o tym uczą na kursach prowadzenia samochodów, wywołać może niepożądane skutki. W konkretnym wypadku, za ostre lub za wczesne podnoszenie stopy procentowej może doprowadzić do załamania się oczekiwań, zaburzeń na rynkach kapitałowych i przyczynić się poważnie do nieprzychylnego rozwoju koniunktury.

Pułapki te groźne są zresztą nie tylko w teorii. Tak więc na jesieni 1931 roku, pod wpływem odpływu złota spowodowanego załamaniem się funta szterlinga, Rezerwa Federalna zastosowała politykę drogiego pieniądza. Postąpiono tu w myśl przyjętych wówczas zasad bankowości emisyjnej, ale bez należytego dostosowania polityki pieniężnej do wymogów życia gospodarczego, które, jak się wtedy wydawało, zaczynało się wreszcie powoli rozwijać po krachu 1929 roku. Skutki były niemal natychmiastowe: stopa procentowa skoczyła dość ostro w górę, ceny akcji i obligacji spadły, a szereg banków zmuszonych zostało do zawieszeniu wypłat. Zamiast dalszego postępu odbudowy nastąpiło ponowne pogrążenie się w otchłań Wielkiej Depresji.

Nieprzychylne również skutki wywołało ostre podniesienie wysokości wymaganych kont rezerwowych w latach 1936 i 1937. Nominalnie można te posunięcia tłumaczyć koniecznością dostosowania się do nowo zaistniałych warunków; tym niemniej nie-

sposób rozgrzeszyć Rezerwę od pewnej odpowiedzialności za załamanie się koniunktury w roku 1937. W bliższych nam okresach zarzuca się Systemowi Rezerwy Federalnej zbyt długie opieranie się podmuchom inflacji w roku 1957, kiedy Rada Gubernatorów spowodowała podniesienie stopy dyskontowej w sierpniu, choć, jak obecnie wiadomo, szczytowy punkt koniunktury osiągnięty był o kilka tygodni wcześniej. Wreszcie, wielu ekonomistów twierdzi, że w okresie ostatniego dobrobytu Rezerwa zastosowała politykę drogiego pieniądza zbyt wcześnie (już w lecie 1958 roku), co nie obeszło się bez wpływu na stosunkowo wysoki poziom bezrobocia podczas dobrobytu i przyczyniło się w pewnym stopniu do stosunkowo wczesnego nadejścia kryzysu. Według tych obserwatorów, Rada Gubernatorów poświęcała ostatnio zbyt dużo uwagi niebezpieczeństwu inflacji, nie doceniając należycie zmieniającego się jej charakteru. Twierdzą oni, że mamy tu do czynienia z nowym procesem inflacyjnym, opartym o podnoszące się bez przerwy płace i ceny, kontrolowane przez producentów; wobec takiej inflacji, ogólne środki polityki pieniężnej stają się jeszcze bardziej bezradne.

Jak więc widzimy, bliższa analiza wykazuje, że polityka pieniężna nie jest na ogół ,,znakomitym'' środkiem oddziaływania na koniunkturę, bez względu na jej okres. Doświadczenia ostatnich lat doprowadziły niektórych ekonomistów do wysunięcia rewolucyjnych propozycji odebrania Rezerwie prawa dyskrecji regulowania obiegu pieniężnego i zastąpienia go przez stałe podwyższanie go o 3-4 procent rocznie. Według tych propozycji główną rolę w stabilizacji koniunktury odgrywać będzie polityka skarbowa. Inni ekonomiści domagają się stosowania zarzuconych ostatnio bezpośrednich środków kontroli kredytu, pozwalających wpływać na poszczególne przejawy życia gospodarczego, jak kredyt spożycia, budownictwo mieszkaniowe itd. Do tej pory, Rada Gubernatorów nie skorzystała z powyższych sugestii; należy się jednak spodziewać, że nacisk w tym kierunku zwiększy się znacznie w okresie obecnych rządów, wykazujących bardziej pragmatyczne i elastyczne podejście do istniejącego stanu rzeczy.

Zmiana postawy w stosunku do stosowania ogólnych środków polityki pieniężnej wydaje się również konieczna ze względu na istniejący od dziesięciu już lat deficyt amerykańskiego bilansu płatniczego, powodujący nieprzerwany niemal odpływ złota ze Stanów Zjednoczonych (jedynym wyjątkiem jest tutaj rok 1957, związany ściśle ze skutkami fiaska awantury sueskiej). Zagadnienie to Sołowij przemilcza zupełnie, choć z wielu powodów zasługuje ono na szersze omówienie w ramach ogólnej oceny amerykańskiego ustroju gospodarczego. Trzymając się jednak ściśle określonych na wstępie ram, należy dodać, że deficyt ten ogranicza poważnie możliwości stosowania ogólnych środków polityki taniego pieniądza w celu pobudzenia życia gospodarczego. Rzecz w tym, że krótkoterminowa stopa procentowa w Europie była i jest na poziomie wyższym od amerykańskiej. W takich wa-

runkach, ogólne obniżenie stopy procentowej w Stanach Zjednoczonych spowodować może dalszy odpływ kapitałów krótkoterminowych do Europy, co zwiększyłoby i tak już poważne rozmiary deficytu bilansu płatniczego. Dlatego też administracja Kennedy'ego, jak również i przekonana przez nią widocznie Rada Gubernatorów Rezerwy Federalnej, starają się obecnie doprowadzić do obniżenia długoterminowej stopy procentowej, przy pozostawieniu krótkoterminowej stopy na tym samym mniej więcej poziomie, który osiągnęła ona obecnie. Operacja to dość skomplikowana i wprowadzenie jej w życie wymagało zarzucenia przez Rezerwę stosowanej aż do lutego 1961 roku polityki operowania na wolnym rynku tylko krótkoterminowymi obligacjami.



Przechodząc do innych zagadnień omawianych przez kolegę Sołowija, trudno zgodzić się całkowicie z jego tłumaczeniem długotrwałości Wielkiej Depresji. Wydaje się bowiem, że przedstawiłby on nam znacznie wierniejszy obraz rzeczywistości, odpowiadając po kolei na trzy związane z sobą, ale odrębne, pytania: dlaczego dobra koniunktura załamała się w roku 1929, dlaczego okres depresji trwał do roku 1923/33, i wreszcie dlaczego odbudowa gospodarcza trwała tak długo i była właściwie niezadawalniająca? Większość elementów odpowiedzi znajdujemy zresztą w ,,Uwagach'', niestety nie zawsze na swoim miejscu. I tak, kwestia niedoboru spożycia (wzrost wydajności pracy przy stosunkowo stałym poziomie płac) znaleźć się powinien w odpowiedzi na pierwsze, a nie, jak to się zdarza w ,,Uwagach'', na trzecie pytanie. Przeinwestowanie w latach dwudziestych (szczególnie jeśli chodzi o budownictwo mieszkaniowe) ma swoje i to bardzo poważne miejsce w odpowiedziach na wszystkich trzy pytania; zagadnienia handlu zagranicznego i inwestycji zagranicznych dotyczą przeważnie tylko dwóch ostatnich. Wydaje się również, że autor ,,Uwag'' nie docenia należycie zupełnie wyjątkowej roli kryzysu giełdowego, kiedy wraz z cenami akcji wzięła w łeb cała sztuczna atmosfera ,,nowej ekonomiki'' epoki Charleston'a, bobrowych kołnierzy i prohibicji. Odpowiadając na drugie pytanie należałoby powiedzieć więcej o wpływie niespotykanego wprost kryzysu bankowości, skoro z 25 tysięcy banków handlowych otwartych w 1929 roku pozostało tylko 14 tysięcy w cztery lata później. W odpowiedzi na trzecie pytanie, dotyczące niezakończonej przed wojną i przewlekającej się odbudowy, nie znalazłem ani śladu niepewności wytworzonej rozmaitymi reformami *New Deal'u* i ich wpływu na decyzje inwestycyjne (nie ma to zresztą nic wspólnego z faktem, że reformy te były od dawna konieczne). A przecież jednym z głównym powodów szybkiej odbudowy gospodarczej Niemiec w tym samym okresie był powrót inwestycji *prywatnych* na poziom 1929 roku już w roku 1935, a więc o sześć lat

wcześniej niż miało to miejsce w Stanach Zjednoczonych. Skoro już mowa o odbudowie niemieckiej (w której, wbrew opinii kolegi Sołowija, dość trudno rozpoznać idee Keynes'a) — to pamiętać należy, że polityka Schachta podbudowana była przez cały prawie czas surową kontrolą płac i cen utrzymanych na niskim poziomie depresji, czego naturalnie w Stanach Zjednoczonych nie było.

Prawdą jest wreszcie, że teorie Keynes'a zastosowane były w Stanach Zjednoczonych ,,późno'', jak również prawdą jest (o czym Sołowij milczy), że polityka skarbowa stosowana była w sposób na ogół nieudolny, szczególnie w pierwszym okresie rządów Roosevelt'a. Pamiętać jednak należy, że *Ogólna teoria zatrudnienia, procentu i pieniądza* ukazała się dopiero w 1936 roku, kiedy Roosevelt wybierany był po raz drugi. Choć wiemy dziś, że pewne idee Keynes'a znane były wcześniej amerykańskim sferom rządowym, to trudno jednak te sfery winić o niezastosowanie teorii przed jej ostatecznym sformułowaniem. Zastrzeżenie to odnosi się szczególnie do tak rewolucyjnej (dla ekonomistów) teorii, jak właśnie teoria Keynes'a, która wymagała zresztą pewnych przeróbek i poprawek.

Opuszczając okres Wielkiej Depresji wypada poprawić kilka omyłek faktycznych, odnoszących się głównie do tego okresu. Tak więc, szczytowy punkt poprzedzającego depresję dobrobytu osiągnięty był w lecie 1929 roku, a nie w roku 1928 (str. 10). Wybory do Kongresu wygrane przez Partię Demokratyczną w okresie rządów Hoover'a odbyły się w roku 1930, a nie w 1931 (str. 11). Wszystkie amerykańskie wybory do izb ustawodawczych w skali narodowej, jak również i wybory prezydenckie odbywają się w latach parzystych). Gdy mowa o przedsięwzięciach etatystycznych okresu Roosevelt'a, to warto dodać, że było ich znacznie więcej niż wymienione w ,,Uwagach'' (str. 11) *Tennessee Valley Authority, Export Import Bank* i *Reconstruction Finance Corporation*. Ta ostatnia powstała *nota bene* jeszcze za rządów Hoovera (3) (co znowu umożliwia twierdzenie pewnych kół, że wszystkie odpowiednie posunięcia dążące do przełamania depresji przedsięwzięte zostały przez Partię Republikańską! i została zastąpiona w 1953 roku przez instytucję o znacznie bardziej ograniczonym zakresie działania. Faktem jest jednak, że poza dziedziną produkcji energii elektrycznej (gdzie nie można się ograniczyć tylko do *Tennessee Valley Authority*) (4) i finansowaniem eksportu oraz małych przedsiębiorstw, posunięcia etatystyczne miały raczej charakter przejściowy.

Sprostować również należy twierdzenie, że w roku ,,1939 zatrudnionych było 55 milionów... (a) w 1959 r. zatrudnienie (wzrosło) do 72 milionów (str. 15)''. Dane te odnoszą się nie do

(3) Kirkland, E.C., *American Economic History*. New York, Appleton-Century-Crofts, 1951, str. 606.
(4) *Ibid.*, str. 679.

cyfry zatrudnionych (których było *de facto* 46 milionów w 1939, a 66 milionów w 1959 roku), ale do konceptu siły roboczej, który jest sumą zatrudnionych i bezrobotnych (5). Dziwne jest też trochę posługiwanie się cyframi o nieporównalnej sile nabywczej przy porównywaniu inwestycji w okresach przed i po drugiej wojnie światowej (str. 15). Cyfry wyrażone w dolarach o jednakowej sile nabywczej są bowiem również łatwo dostępne (6). Stwierdzają one, że inwestycje ogólne w okresie 1946-59 przekroczyły średnio poziom 1939 roku o 30.4 miliardów dolarów, podczas gdy budownictwo mieszkaniowe wzrosło w tym okresie o (średnią) cyfrę 7.1 miliarda dolarów. Na marginesie dodaję, że dochód społeczny na głowę mieszkańca wynosił w przybliżeniu 1,445 dolarów w 1939 roku i podniósł się do 1,998 dolarów w 1946, a do 2,417 dolarów w 1959 roku. Mowa tu oczywiście o dochodzie społecznym obliczonym w cenach stałych (1954 roku).

Według kolegi Sołowija, Rada Gubernatorów (*Federal Reserve Board*) ,,wyzwoliła się spod dyktatu Skarbu... dopiero za czasów administracji republikańskiej Eisenhowera'' (str. 14). Chodzi tu jednak o tak zwaną ,,Ugodę marcową'' z roku 1951, zawartą (o ile można się tak wyrazić) na jedenaście niemal miesięcy przed opuszczeniem Białego Domu przez Prezydenta Trumana, który bardzo obraziłby się za nazwanie jego administracji ,,Republikańską''.

Na koniec wreszcie, nieprawdą jest, że ,,oparcie budżetu federalnego na wpływach z podatku dochodowego uruchamia prawie automatycznie politykę pieniężno-kredytową'' (str. 22). Jak już wiemy, stery polityki pieniężno-kredytowej spoczywają w rękach Rady Gubernatorów Systemu Rezerwy Federalnej, która do tej pory nie dała się jeszcze zastąpić żadnym automatycznym pilotem. Prawdą natomiast jest, że takie oparcie budżetu (jak również i system zapomóg dla bezrobotnych) wprawiają w ruch automatycznie pewne posunięcia stabilizacyjne. Wszystko to jednak ma miejsce w dziedzinie polityki skarbowej (*fiscal policy*), z którą Rezerwa Federalna nie ma bezpośrednio nic wspólnego. Dla celów stabilizacyjnych zresztą, pożądane byłoby uprawnienie rządu do zmiany stopy opodatkowania w małych nawet granicach; w chwili obecnej zmiany takie muszą być uchwalane przez Kongres, co zwykle uniemożliwia podwyższenie podatków jako środka antyinflacyjnego, i powoduje duże opóźnienie w ich obniżeniu dla pobudzenia życia gospodarczego.

•

Na zakończenie dodać pragnę jeszcze kilka uwag wychodzących poza narzucony sobie temat zagadnień ,,przyziemnych''

(5) U.S. Congress, Joint Economic Committee, 1960 *Supplement to Economic Indicators.* Washington, D.C., 1960, str. 30.

(6) *Survey of Current Business* (National Income Number), July 1960, str. 6-7.

w nadziei, że pomogą one czytelnikowi w wyrobieniu sobie własnego zdania na bardziej złożone problemy poruszane przez kolegów Korbońskiego i Mieczkowskiego. Zgadzając się z wieloma (choć nie ze wszystkimi) ich poglądami, pragnę podkreślić, że artykuł ich jest w znacznej mierze uzupełnieniem ,,Uwag'' kolegi Sołowija; podkreślane różnice zdań są w kilku zasadniczych wypadkach bardziej pozorne niż mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Tak więc zarzucono Sołowijowi niedostatecznie pełną definicją zadań ustroju gospodarczego, które określił on jako ,,wzrost dochodu społecznego przy najbardziej ekonomicznym wyzyskaniu środków produkcji''. Ujęcie to spotyka się z ostrą krytyką Korbońskiego i Mieczkowskiego: uważają oni, że ,,sama wielkość dochodu społecznego nie wiele znaczy'', zaś ,,najbardziej ekonomiczne wyzyskanie środków produkcji'' przyrównują z ideałem, który dopuszczają (i to niechętnie) najwyżej jako cel, do którego dążyć może polityka gospodarcza. Dalszy ciąg ich wywodów dowodzi jednak, że tak gwałtownie usunięte ze sceny postulaty powracają na nią bardzo szybko, w zmienionym tylko przebraniu. Nie mogło zresztą być inaczej. Jednym z określonych przez autorów kryteriów oceny ustroju gospodarczego jest ,,zaspokojenie popytu''. Bliższe określenie tego zagadnienia prosi się o dalsze uwagi; w każdym jednak razie trudno sobie wyobrazić zaspokojenie popytu rosnącego liczebnie społeczeństwa bez wzrostu dochodu społecznego. Wzrost ten jest wobec tego warunkiem nieodzownym (choć może niewystarczającym) dla zaistnienia postępu gospodarczego. (Jak zaznaczyłem na wstępie, zagadnienie podziału dochodu społecznego wprowadza nas szybko w dżunglę ekonomiki dobrobytu).

Podobnie rzecz ma się z ,,ekonomicznym wykorzystaniem środków produkcji''. Prawda, że idealne spełnienie tego warunku spotyka się tylko w podręcznikach teorii. Tym niemniej i ten postulat powraca szybko na scenę dyskusji, gdy autorzy wyraźnie (i słusznie) zajmują stanowisko przeciwne kartelom, administrowanym cenom, monopolom i oligopolom ze strony tak przemysłu jak i związków zawodowych. I znowu tak być musi. Systematyczne, a choćby nawet mało skuteczne, stosowanie miernika ,,ekonomicznego wykorzystania środków produkcji'' jest przecież racją bytu ekonomiki, a co zatem idzie i ekonomistów.

Różne drogi prowadzą jednak do Rzymu. Do pesymistycznych wniosków na temat ostatecznych możliwości ustroju kapitalistycznego doszło bardzo różnymi metodami wielu słynnych badaczy: wymienić tu należy wielkie nazwiska z tak zwanej ekonomiki klasycznej, a dalej Schumpetera i Hansena (pomijam tu Marksa ze względu na swoisty sposób tłumaczenia upadku kapitalizmu). W takim towarzystwie dałoby się powiesić wielu żyjących ekonomistów (włączając i niżej podpisanego), i trudno dziś oprzeć się wrażeniu, że zagadnienie zastoju (czyli stagnacji) coraz częściej spostrzec można poza przesłoną różnorodnych skąd inąd analiz amerykańskiego życia gospodarczego. Tym

niemniej podkreślić należy, że wiele z ostatnich osiągnięć w dzinie teorii wzrostu i zastoju gospodarczego (potraktowanych tak bardzo po macoszemu przez Oskara Lange w jego *Ekonomii Politycznej*), wskazuje, że z marazmu zastoju można się wydobyć przy większej ingerencji państwa w życiu gospodarczym.

Wydawać się więc może, że takie postawienie sprawy pozwala na bardziej optymistyczne zakończenie dyskusji teoretycznej i na przeniesienie jej na płaszczyznę możliwości praktycznych, gdzie na podstawie takiej czy innej oceny sytuacji dojść można do rozmaitych wniosków. Jak często jednak bywa, na scenie pojawia się w tym momencie zupełnie inne zagadnienie, niż to z którym mieliśmy do czynienia poprzednio. Ponieważ wydaje mi się, że pierwszym obowiązkiem ekonomisty, bez względu na jego osobiste skłonności, jest dokładne zidentyfikowanie wszystkich skutków pociągnięć polityki gospodarczej, nie wolno mi więc nie dostrzec tego problematu. W konkretnym wypadku chodzi o zadawalające rozwiązanie powstającego (a raczej już dziś istniejącego) konfliktu pomiędzy wolnością osobistą a dalszą ingerencją państwa w życie gospodarcze. Zaprzeczenie istnienia tego konfliktu nie sprzyja bynajmniej zajmowaniu bardzo liberalnej pozycji w stosunku do wielu zagadnień społecznych i gospodarczych, jak również nie pomaga w znalezieniu niewątpliwie bardzo złożonych rozwiązań. Rozważania na ten temat wybiegają poza rozmiary obecnej dyskusji. Stawiając sprawę otwarcie, wolno mi jednak na zakończenie wyrazić osobiste przekonanie, że mamy tu do czynienia z istotnym wyzwaniem Toynbee'go, przed którym stoi dzisiaj cywilizacja zachodnia, i którego przejawem tylko jest przeżywany przez nas obecnie konflikt Wschodu z Zachodem. W kierunku znalezienia odpowiednich rozwiązań tego zagadnienia powinien też pójść dalszy rozwój amerykańskiego ustroju gospodarczego. Wymaga to (jak słusznie podkreślają mniej lub więcej otwarcie zarówno Sołowij jak i Korboński i Mieczkowski) dużej elastyczności i chęci stosowania nowych i niewypróbowanych środków, dla których brak może jeszcze w tej chwili pełnego uzasadnienia. Możliwości osiągnięć są jednak olbrzymie, a skutki bezczynności nie dadzą na siebie długo czekać. Tym też chyba tłumaczyć sobie można owe podświadome jakby uczucie ulgi z jakim Zachód przyjął wybór człowieka, który wyraźnie zdaje sobie sprawę ,,o co właściwie chodzi'', na najwyższe stanowisko jakie zaofiarować może ustrój amerykański.

Uniwersytet Kalifornijski, Santa Barbara

Jerzy F. KARCZ

Nowe wiersze

OKNO NA OGRÓD

„Otworzy pan okno na ogród
A wszystko się samo napisze" —

Więc posyp się trawo na stole,
Nie spadajcie jeszcze, jabłka i gruszki,
Nie lękajcie się października, truskawki,
Pietruszki, rezedy, co jest tam jeszcze,
I wszystkie słowa wrogie i osrożone
Przejdźcie na moją stronę.

Zielona bibuła — trawa,
Beżowa lampa — jabłko,
Ach, tylko szybko, szybko
Niech mnie zarosną po uszy
Chochoły słomianą czapką
Niewidką.

Bo poza stołem demony,
Książki, litery, półki
I wyszczerbione zęby
I sufit, hiatus, paszczęka,
I wszystkie prawdy odlatujące
Jak z drutów spóźnione jaskółki.
Drży mi ręka.

Ale otworzę to okno,
Otworzę póki jeszcze zielone,
I sam przez nie wyjdę na ogród, w sad,
Trawy i drzewa zawołam na pomoc,
Ziemia to przecież mój owoc:
Jesień która jest moją rodziną,

Miłość która nie chce mnie minąć,
Ptak który wraca na moją stronę,
Prawdziwy,
Kłamliwy,
Dotkliwy
Ale jedyny
Świat.

JEŻE

Jeżyca ma pięć młodych jeżątek,
Nocą wychodzi na łowy, w dzień karmi je mlekiem
Na odsłoniętym podbrzuszu,
Skąd to się wzięło w tej szopie,
W podwórzu,
Skąd?
Stworzycielu, cóżeś znowu wymyślił
By mnie zadziwić, zachwycić
I wszystkie ważne sprawy
Odsunąć w kąt?

Samowiedna, skryta przyroda,
Kolcami nabita ciemność,
W malutkiej kuli przede mną
Bezgraniczną określa pojemność.

Pięć razy jeden jest ile
I pięć przez wszystkie miliony,
Stworzycielu, który się mnożysz
Nigdy nieobliczony?

Idę uważnie po trawie
By nie nastąpić na nie,
Ale gdzież tam!
Jeże pod matką skulone
Śpią nowo nam narodzone,
Szopa — Brama Niebieska.

WIERSZ O WÓDCE

Pędzą ją z pestek, z łup winogron,
Z jabłek, śliwek, agrestu,
A ja wam utoczę wódkę z niemowy
Moich traw ogrodowych,
Z szelestu.

Tylko połóżcie się tak jak ja,
Głowami w dyniach, rękami w grochu,

Wzdłuż pościelistych bruzd,
I pijcie szum ten i szelest życia
(I śmierci po trochu)
Z podziemnej ciemni,
Z tajemnej gorzelni,
Z roślinnych ust.

Wyszeleści się gleba szczęśliwa,
Wysłowi się krew jej, oliwa,
I wzejdą pędem samiczym
Pożywne wywary,
Warzywa.

Śmiertelnie miłosny alkohol,
Rozpaczliwe pijaństwo istnienia,
Przymus kosmiczny,
Biała patoka:
Połóżcie się tylko na ziemi,
Najbliżej dna, najbliżej korzeni,
Zobaczycie jaka to wódka,
Jaka czysta i
Jaka głęboka.

BALLADA O DWU GRABARZACH

Jeden — straszyciel. Nosi onuce.
Ręce ma oblepione gromnicą
I tłusty płaszcz od plam stearyny.
Dziki asceta. Nazywa się Bernard.
Żywi się korzonkami i żałobnicą,
Haruje bez przerwy do 6-ej godziny,
Potem kolacja i piernat.

Drugi — indywidualista.
Pan Wydra-Żazulski.
Miły facet, przystojny, wesoły,
Nie od razu się śpieszy do swego kominka,
Szybko strzepuje z rąk ludzkie popioły
I na Cmentarnej ulicy idziemy na drinka.

Gadu, gadu
O Chestertonie i świętym Franciszku,
(Syga i grzanka ze szpikiem),
Jak zwykle wieczorem
Przy kieliszku
Z byle kim
(Albo i z nikim).

O wiecznej ciemności,
O ciemnej wieczności
A potem, jak dawniej, za młodu,

Grosz do maszyny — i już gra sarabanda
(Pan Zazulski nie lubi swego zawodu):
Śmierć, panie — mówi — to granda.

Daje przykłady z życia i wierszy
I drwi ze świętego Franciszka
Że śmierć nazwał siostrą,
I gdy dochodzimy do ikstego kieliszka,
Zgrzytają drzwi, wchodzi ten pierwszy,
Zaczyna ostro.

Jak panu nie wstyd — powiada do Wydry —
Grabarze — klucznicy zaświata
I pierwsi od niego eksperci!
A pan co?
Z szumowinami się brata,
Pan nie czuje powagi śmierci.

I z czego pan żyje, mówmy otwarcie,
Ze śmierci, z ostatniej ludziom pomocy.
I to wszystko pan niszczy jak wandal.
Nie ma pan powołania,
Zamiast się skupić, pan chleje po nocy.
Grabarz — na nogach się słania,
Skandal.

I krzyczy tak i pyskuje
Aż go z knajpy kelnerzy wyrzucą,
I odchodzi w plamach po stearynie
I świeci znad buta onucą
Utytłaną w glinie.

Ale wieczór jest już popsuty.
Wychodzimy na wiatr, na ulicę,
Pod zakurzone, smutne akacje.
Chmury powoli do domu mnie wloką
I w nocy myślę głęboko
Kto z nich ma rację.

FIZYKA METAFIZYCZNA

Jest prawo przyciągania ziemi
I prawo przyciągania powietrza
I jest w tej mojej fizyce
Metafizyka wieczna.

Jest ogród, wzgórze, na wzgórzu topole
A za nimi już koniec świata,
Czasem tylko szumiącą strzałą
Samolot stamtąd wylata.

Skaczę wtedy z ziemi do góry,
Daję się wessać w pasmo lotu,
Ach, jakie szczęście, jaka potęga
Blasku, szybkości, łoskotu.

Ale to fikcja, zmyślenie, poezja,
Ta ziemia, powietrze, lot — cała trójca.
Jedno jest prawdą: że potem ze szczytu
Spada szczęśliwy samobójca.

PO ROZUM DO GŁOWY

Pójdę po rozum do głowy
Coraz dalej, coraz głębiej w las,
Między myśli trwałe jak drzewa,
Dogłębne, dorzeczne,
Arcylogiczne, nie do zbicia,
Myśli z dna, z granicy życia
I ostateczne.

I tam już wszystko porozstrzygam,
Poskładam razem i stanowczo,
Tutaj radości, tu rozpacze,
I z trzodą się pomieszam owczą
I odtąd mnie popędzą tłumem
I śmiać się będą gdy zapłaczę
Nad moim światem, nad miłością,
Nad utraconym bezrozumem.

POŻEGNANIE

Ręce, których nie można uścisnąć
Twarze, których nie można zapamiętać,
Pociąg, który odszedł za wcześnie
I tylko bufet kolejowy
I w tym bufecie na stojaka
Jeden i drugi ostry haust,
I jakaś rozmowa z pijakami
I znowu pusty plac przed dworcem
I tragarz woła na taksówkę
I nie wiadomo dokąd wracać
Bo przecież wszyscy wyjechali,
Zabrali bagaż i adresy,
Więc chyba wrócić do bufetu
Na jeszcze jeden ostry haust
Pożegnać się samemu z sobą.

PTAKI

Nikt nie krzyczy z radości, że się obudził
Tylko ptaki o świcie, ptaki za oknem,
Wszyscy się boją tego, co dzień im przyniesie,
Tylko my na gałęzi nie.

Nikt nie chce się wyrzec tego co posiadł
I w gęstej pościeli trzyma się resztek snu,
Wszyscy tak żyją jak gdyby żyć mieli wiecznie,
Tylko my na gałęzi nie.

ZAPISANY

Nauczcie mnie liści,
Nauczcie mnie drzew,
Jeszcze raz proszę,
W górach są pnie prostopadłe,
Wzrost i szyje wyniosłe
I karkonosze.

Mówicie: wiosna,
A ileż to pracy
Muszą wykonać lasy!
Zapiszcie mnie w słoju dębowym
Pomiędzy stare i nowe
Niewyczerpane czasy.

Zapiszcie na brzegu,
Nożem pod korą
W palimpseście istnienia:
Liście, góry i człowiek,
Wszystko, wszystko
Jest pochwałą stworzenia.

WYNAJMĘ SIĘ

Wynajmę się za białą laskę,
Znam drogę, towarzysze.

Wynajmę się za świętego Mikołaja przed sklepem,
Sprzedacie najwięcej.

Wynajmę się za krajobraz szwajcarski,
Wypełnię całe okno wystawowe,

Wynajmę się za noc nad światem,
Jestem pełen doskonałej ciemności
I mijam.

Kazimierz WIERZYŃSKI

Rosja - Niemcy - Ameryka (II)

Wizję polityczną mocarstw zachodnich (jeżeli słowo wizja ma w tym kontekście jakiś sens) można zredukować do oklepanego frazesu: pokój i bezpieczeństwo — ,,peace and security''.

Co to jest bezpieczeństwo? Bezpieczeństwo w dzisiejszym świecie to są nie tylko bazy i atomowe okręty podwodne, lecz przede wszystkim układ sytuacji. Bezpieczeństwo można osiągnąć tylko poprzez budowę korzystnych układów sytuacyjnych w węzłowych punktach globu. Budowa sytuacji wchodzi w zakres polityki a nie strategii.

Demokracje przyparte do muru zdobywają się na wielkie programy zbrojeniowe. Natomiast rzadko kiedy zdobywają się na wielkie programy w polityce zagranicznej. Wszystkie demokracje (z amerykańską demokracją na czele) ponosiły klęski nie na dalekich polach bitew, lecz przy urnach wyborczych. Jałta była klęską w perspektywie polityki zagranicznej, ale była ,,sukcesem'' w perspektywie polityki partyjnej i tylko to było ważne.

W prasie amerykańskiej ukazała się seria artykułów poświęconych książce prof. W. Rostowa pt. ,,The United States in the World Arena''.

Rostow jest demokratą — stoi blisko Kennedy'ego i trudno od niego wymagać by przeszedł na klasyczne ,,pozycje republikańskie'' i oświadczył, że Jałta była klęską. Z drugiej strony jest dziś oczywiste dla każdego, że Roosevelt pozwolił Stalinowi wyprzeć Amerykę z kluczowej strefy w Europie. Utrata Europy wschodniej, podział Niemiec, absurdalny status Berlina — permanentny kryzys grożący każdej chwili trudnymi do przewidzenia komplikacjami — to wszystko jest spadek Jałty. Mimo sukcesów wojskowych politvka amerykańska nie umiała zbudować w centrum Europy układu, który zapewniałby ,,peace and security''.

Analiza błędów popełnionych w przeszłości jest jedynym realnym studium polityki. Jeżeli brak umysłów, które z doś-

wiadczeń potrafią wyciągnąć właściwe wnioski — doświadczenia historyczne są marnotrawstwem ludzi, materiału i pieniędzy.

Wojskowi wszystkich epok wykazywali zawsze tendencję do traktowania polityki jako ubocznego produktu operacji militarnych. Ale doświadczenie wykazuje, że — powiedzmy przykładowo — Niemcy niepomiernie więcej zawdzięczali polityce Bismarcka niż swojemu słynnemu generalnemu sztabowi.

Rostow uważa, że Ameryka nie miała żadnej doktryny polityki zagranicznej. Brak doktryny zastępowała teoria kpt. Mahana, który głosił, że bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych musi się opierać na amerykańskiej przewadze na obu oceanach. Ponieważ kpt. Mahan był oficerem marynarki jego teoria stanowiła amerykańską wersję ,,Britania rules the Wawes''.

Niemcy były pobite. Ale istniała jeszcze Japonia, a nie istniała bomba atomowa. Lecz w niedługim czasie sytuacja wojskowa uległa radykalnej zmianie. Japonia skapitulowała, a Stany Zjednoczone przekształciły się w pierwszą na świecie potęgę atomową. Wówczas — zdaniem Rostowa — należało wygrać Jałtę. Jak wiadomo w postanowieniach jałtańskich znajdował się paragraf dotyczący wolnych wyborów w Polsce. Ameryka miała możliwości wymuszenia na Sowietach przeprowadzenia wolnych wyborów, a tym samym ustanowienia ustroju demokratycznego w kluczowym państwie Europy środkowowschodniej.

Brakło nie siły, lecz koncepcji. Wówczas był czas położyć fundament pod politykę koegzystencji. Sowieckiej, imperialistycznej koncepcji państw satelickich, sfer wpływów i ,,żelaznych kurtyn'' — trzeba było przeciwstawić konsekwentną politykę koalicyjną. Państwa obszaru środkowo-wschodnioeuropejskiego wyzwolone spod Niemców należało okupować łącznie wojskami sowieckimi i amerykańskimi. Gdyby w Polsce obok dywizji sowieckich znalazły się w identycznym charakterze dywizje amerykańskie — rozwój sytuacji potoczyłby się zupełnie inaczej. Gdyby przyjęto zasadę łącznej okupacji siłami koalicyjnymi — Amerykanie byliby sobie zachowali możliwość wpływu na rozwój sytuacji w tym jednym z kluczowych punktów świata.

Czy dziś jest rzeczą możliwą wydobyć się z klęski jałtańskiej? Nim odpowiemy na to pytanie należy podkreślić — że istnieją klęski polityczne progresywne. To znaczy, że suma ich ujemnych konsekwencji stale wzrasta. Jałta nie tylko była klęską ale z każdym rokiem staje się większą klęską. Jeżeli polityka amerykańska nie zdoła się przeciwstawić owej progresji — przyjdzie czas, że klęska przemieni się w katastrofę.

Jest w pewnej mierze paradoksem, że zrodzone z klęski Niemcy odziedziczyły wraz z ustrojem demokratycznym charakterystyczną impotencję w sferze polityki zagranicznej. Jest bez żadnego znaczenia czy to co głoszą wszystkie stowarzyszenia ziomkowskie ma jakiś sens, czy nie. Ważne jest tylko, że to jest masa wyborców, których żaden polityk nie może sobie zrazić.

I znów urna wyborcza staje się grobem polityki zagranicznej i tak system jałtański trwa w permanencji.

W Niemczech dzieją się różne „cuda" — nie tylko gospodarcze. Jednym z niepokojących „cudów" niemieckich jest NRD. Jest to jedyny kraj w Europie, którego ludność od wojny zmalała. Ale kurczy się tylko warstwa autochtonów tj. Niemców — przybywa natomiast Polaków, Czechów, Rosjan a nawet Chińczyków i Mongołów. W Związku Sowieckim istnieją republiki w których ludność autochtoniczna stanowi mniejszość. Jeżeli sytuacja w NRD rozwijać się będzie po obecnej linii — jeżeli przez furtkę berlińską uciekać będzie nadal po 500 Niemców dziennie — za kilkanaście lat w Niemieckiej Republice Demokratycznej Niemcy stanowić będą mniejszość.

Przemysł wschodnio-niemiecki przeżywa głęboki kryzys. Jak wynika z oficjalnych oświadczeń postanowiono zwinąć przemysł lotniczy. Obcięto również bardzo wydatnie program planu siedmioletniego 1958-1965. W artykułach w „Neues Deutschland" wskazuje się na brak specjalistów. Równocześnie specjaliści, zwłaszcza lotniczy, z fabryk w Dreźnie wyjeżdżają na korzystne kontrakty do Rosji.

Lecz dla rewizjonistów zachodnio-niemieckich ważniejszy jest Wrocław niż rodzone Drezno. Rząd w Bonn do pewnego stopnia zdaje sobie sprawę z rozwoju sytuacji w NRD, ale jest bezsilny.

Z punktu widzenia polityki ogólno-niemieckiej masowa i stała dezercja z NRD jest zdradą podstawowej racji stanu. Azyl powinien być przyznawany wyłącznie tym, którzy są zagrożeni na skutek działalności politycznej. Ale w praktyce tego rodzaju klasyfikacja uchodźców jest nie do przeprowadzenia. I dlatego rząd w Bonn musi tolerować masową dezercję z ziem rdzennie niemieckich.

W tej perspektywie należy rozpatrywać problem „furtki" berlińskiej. Granica pomiędzy zachodnimi a wschodnimi Niemcami jest najklasyczniejszym przykładem „żelaznej kurtyny". Zasieki pod prądem, wieże wartownicze, reflektory, psy, tłumy straży granicznej. Ale całe to urządzenie dzięki „furtce" berlińskiej nie spełnia swego zadania. Kilkaset osób dziennie przecieka bez większych trudności na Zachód.

Czyim interesom służy to dziwaczne urządzenie?

Jeżeli odrzucić całą propagandę i oprzeć się na analizie faktów i cyfr statystycznych — to wypadnie stwierdzić, że jałtańską „aparaturą berlińską" Chruszczow spycha Niemców na Zachód w tempie pół tysiąca ludzi dziennie. Dzięki wynalazkowi „furtki" berlińskiej odwrót spod Stalingradu, który zapoczątkował masowy exodus Niemców z europejskiego Wschodu — stał się *instytucją permanentną*.

Nie ulega wątpliwości, że Ulbricht walczy o zamknięcie „furtki" berlińskiej od lat. Nie ulega również wątpliwości, że masowa dezercja z raju komunistycznego jest referendum i plebiscytem odbywającym się codziennie — plebiscytem, który

nie reklamuje bloku wschodniego. A jednak w żadnej innej sprawie Chruszczow nie wykazał tyle elastyczności i cierpliwości. O podpisaniu odrębnego układu pokojowego z NRD mówi się w Moskwie od lat — o zakończeniu statusu okupacyjnego i ufundowaniu „wolnego miasta'' Berlina — mówi się również od lat. A „furtką'' berlińską jak płynął strumień Niemców na Zachód tak płynie nadal.

Biorąc pod uwagę straszliwą nieufność Rosjan do Niemców — biorąc pod uwagę fakt, że Związek Sowiecki stracił w czasie ostatniej wojny ponad 20 milionów ludzi — skłonny jestem przypuszczać, że proces „odniemczania'' NRD *idzie po linii życzeń rosyjskich.* Wszystko co zmierza do redukcji niemieckiego stanu posiadania w środkowo-wschodniej Europie leży w interesie sowieckim.

Na Zachodzie nie zdajemy sobie sprawy z charakterystycznego „dualizmu'' niemieckiego. Antoni Gołubiew czy Kisiel mogą perorować pod naszym adresem, że Polska leży nad Wisłą a nie nad Sekwaną czy Tamizą. Polak „wybierający wolność'' wybiera równocześnie obczyznę. Ale Niemiec „wybierający wolność'' przenosi się tylko z jednego niemieckiego miasta do drugiego niemieckiego miasta. Monachium czy Bonn nie są nic mniej niemieckie niż Lipsk czy Drezno. Innymi słowy Niemiec z NRD wybierający wolność nie staje się emigrantem.

Polak nie ma wyboru. Jest tylko Polska Ludowa, a poza jej granicami obcy świat. Niemiec może wybierać pomiędzy dwoma państwami niemieckimi, z których jedno jest kwitnącą demokracją, a drugie karykaturą socjalizmu. Żaden z przywódców komunistycznych w bloku wschodnim nie ma tak trudnej i beznadziejnej sytuacji jak Ulbricht. Gomułki i jego administracji nikt nie porównuje z Augustem Zaleskim czy Radą Trzech. Ulbrichta i wszystkie niepowodzenia jego administracji odmierza się fenomenalnym sukcesem rządu w Bonn.

Gdyby powiodło się z czasem przemienić NRD w państwo o dużym procencie mniejszości narodowych — szanse utrzymania Niemiec wschodnich w orbicie sowieckiej wzrosłyby proporcjonalnie. Niemcy są nacjonalistami i naturalnemu ruchowi scaleniowemu można przeciwstawić tylko mniejszości.

Sceptycznie nastrojony czytelnik zauważy w tym miejscu, że to są wszystko spekulacje i to spekulacje posunięte dość daleko. Możliwe. — Ale fakty pozostają faktami. Otóż niezależnie od jakiejkolwiek spekulacji faktem jest, że stały odpływ Niemców z wschodnich ziem niemieckich godzi w podstawowe interesy narodu niemieckiego. Czy Bonn powinno poprzeć Ulbrichta w jego rozpaczliwych dążeniach do zamurowania „furtki'' berlińskiej? Nie ulega wątpliwości, że likwidacja owej furtki położyłaby kres wędrówce niemieckich ludów. Ucieczki z NRD należałyby wówczas do rzadkości. Niemcy wschodni trwaliby na ziemi ojców — rozmnażali się i czekali lepszych czasów.

Problem Berlina jest interesującym przykładem konfliktu pomiędzy interesami ideologicznymi a narodowymi. Nie ulega wątpliwości, że biorąc pod uwagę czysto nacjonalistyczne motywy — rząd w Bonn powinien poprzeć Ulbrichta w jego usiłowaniach położenia kresu permanentnemu odwrotowi Niemców ze Wschodu. Oczywiście nie można porównywać ani warunków życia ani sytuacji materialnej w NRD z poziomem życia w Federalnej Republice. Ale w Niemczech wschodnich nikt nie głoduje i nikomu bezpieka nie wyrywa paznokci. Można by więc w imię interesów narodowych domagać się od Niemców w NRD by pozostali i wytrwali. Zwłaszcza, że ów masowy, niesłabnący odpływ stawia pod znakiem zapytania całą wschodnią politykę Niemiec, a program rewizjonistów wręcz ośmiesza. Śmiesznie jest roić o Katowicach i Wrocławiu w chwili, gdy Sowiety ewakuują Niemców z Drezna i z Lipska. I dokonują tej operacji niemieckimi rękami — bo szefem komisji ewakuacyjnej jest p. Ulbricht. To dzięki niemu przechodzi codziennie przez ,,furtkę'' berlińską kilkuset osobowy transport Niemców na Zachód. Należy przyjąć tezę, że Rosja nie zakończyła swoich działań wojennych przeciwko Niemcom, tylko wojnę prowadzi dziś innymi metodami.

Jest oczywiste, że żaden rząd zachodnio-niemiecki nie może ze względów zasadniczych przyzwolić na zamknięcie ,,furtki'' berlińskiej. Innymi słowy rząd w Bonn jest zmuszony niejako współuczestniczyć w ogałacaniu wschodnich Niemiec z ludności niemieckiej.

Niebezpieczeństwo związane z powyższą sytuacją polega na tym, że w końcu przyjdzie chwila, kiedy Niemcy zdadzą sobie sprawę z faktu, że z Rosją należy się ułożyć, by położyć kres temu odwrotowi, który jeśli będzie trwał dziesiątkami lat zakończy się katastrofą.

W moim przekonaniu problem niemiecki może być rozwiązany trojako: a) poprzez bezpośrednie porozumienie niemiecko-rosyjskie, b) poprzez neutralizację, c) poprzez porozumienie niemiecko-polskie.

W niniejszym artykule chciałbym przeanalizować możliwości ostatniego z proponowanych rozwiązań.

Lecz na wstępie z największym naciskiem należy podkreślić dwa punkty. Nie ma i nie może dziś być w stu procentach niezawisłej polityki niemieckiej — tak jak nie ma stuprocentowo niezawisłej polityki belgijskiej czy duńskiej. To wszystko jest w gruncie rzeczy sferą polityki amerykańskiej. Stany Zjednoczone nie mogą dopuścić ani do utraty Berlina ani do dwustronnego porozumienia rosyjsko-niemieckiego. Innymi słowy Ameryka nie może tolerować na dłuższą metę sytuacji, która mogłaby w przyszłości skłonić Niemców do szukania rozwiązań swych problemów na drodze polityki ,,odwrócenia sojuszu''. Polityka amerykańska musi dążyć do stworzenia takiego układu, który by ewentualne porozumienie rosyjsko-niemieckie jeżeli nie w pełni

wyłączał to w każdym razie prawdopodobieństwo tego koszmaru redukował do minimum.

I punkt drugi. Niemcy zachodnie są państwem demokratycznym. Każdy niemiecki mąż stanu jest zahipnotyzowany urną wyborczą. Hasła nacjonalistyczne w środkowej Europie liczyć mogą zawsze na najszerszy społeczny oddźwięk. Gdybyśmy na emigracji organizowali wybory żaden polityk nie mógłby publicznie oświadczyć, że świadomie rezygnujemy z Polesia, by utrzymać Śląsk. Nacjonalizm nigdy nie jest syty i zawsze dąży do terytorialnej ekspansji. Nie istnieją granice, które by zadowoliły nacjonalistów. Dotyczy to zarówno nacjonalistów polskich jak niemieckich. Demagogia nacjonalistyczna jest trucizną, która paraliżuje zdrowe funkcjonowanie ustroju demokratycznego. Dzieje Europy środkowo-wschodniej w okresie międzywojennym stanowią w tej materii klasyczny przykład. Dlatego przyjąć należy za pewnik, że niemieccy nacjonaliści pogodzą się z kompromisowym rozwiązaniem tylko na skutek nacisku z zewnątrz. A nacisk na Bonn może wywrzeć tylko Ameryka.

W poprzednim numerze ,,Kultury'' w pierwszej części tego szkicu starałem się wykazać, że rewizjonizm niemiecki jest ruchem potencjalnie anty-amerykańskim. Nacjonalizmowi niemieckiemu należy się oprzeć póki jest jeszcze czas — ponieważ nacjonalizm niemiecki wykazywał zdumiewającą zdolność odradzania się niszcząc demokrację, która była mu kolebką.

Ameryka winna uznać oficjalnie granice na Odrze i Nysie i tym samym cofnąć swoje poparcie dla rewizjonistów i nacjonalistów niemieckich.

Polska — jak słusznie zauważył Rostow — zajmuje kluczowe stanowisko w sowieckim systemie satelickim. Uznanie przez Waszyngton granicy na Odrze i Nysie, a tym samym definitywne odcięcie się Stanów Zjednoczonych od rewizjonizmu niemieckiego wywarłoby zasadniczy wpływ na sytuację w całym bloku wschodnim, a nie tylko w Polsce. Przede wszystkim uznanie przez Amerykę granicy na Odrze i Nysie umożliwiłoby po pewnym czasie reorientację polityki Niemiec zachodnich w stosunku do Polski. Dopóki Waszyngton nie uzna tej granicy poprawa stosunków polsko-niemieckich nie jest po prostu możliwa.

Czytelnik niemiecki (a na szczęście mamy i takich) zapyta w tym miejscu: ,,do tej pory obchodziliśmy się znakomicie bez porozumienia polsko-niemieckiego. W imię czego mamy się zrzekać ziem nad Odrą i Nysą? Gdybyśmy uznali tę granicę to wiadomo co na tym tracimy. Ale bynajmniej nie jest jasne co byśmy na tym zyskali''?

Moim zadaniem w niniejszym artykule jest odpowiedzieć na powyższe pytanie.

Dyskutujemy z Czytelnikiem niemieckim, który nie rozważa na dnie duszy możliwości ,,odwrócenia sojuszów''. Z tymi Niemcami, którzy nie wyłączają tej możliwości dyskusji oczywiście nie ma i być nie może. Dyskutować możemy tylko z

Niemcami, którzy stoją niezachwianie na pro-zachodnim stanowisku.

Chciałbym w tym miejscu sformułować pogląd, który naszemu niemieckiemu Czytelnikowi wyda się może brutalny. Niemniej jestem stuprocentowo pewien, że w tym wypadku racja jest po mojej stronie. Nadszedł czas, że trzeba wybierać pomiędzy pro-zachodniością a rewizjonizmem terytorialnym. W ramach polityki Zachodu i w ramach możliwości jakimi ta polityka dysponuje — Niemcy nie odzyskają nigdy ziem nad Odrą i Nysą. Gdybym był Niemcem nie żywiłbym cienia wątpliwości, że rewizja granicy na Odrze i Nysie — jeżeli w ogóle jest możliwa — to jest możliwa tylko i wyłącznie poprzez politykę ,,odwrócenia sojuszu''. Oczywiście w takiej sytuacji nie skończyłoby się tylko na ,,odwróceniu sojuszów''. Odwróciłoby się w Niemczech wszystko od ,,A'' do ,,Z''. Innymi słowy ceną za takie czy inne zyski terytorialne byłoby satelictwo.

Jeżeli Niemcy Zachodnie pragną utrzymać swoją wspaniałą gospodarkę, demokratyczne instytucje i prawdziwą niepodległość — muszą porzucić rojenia rewizjonistyczne. Rewizjonizm bowiem nie jest i nigdy nie będzie do pogodzenia z polityką świata zachodniego.

Ale istnieją inne metody i inne perspektywy. W poprzednim numerze ,,Kultury'' w swojej interesującej korespondencji Berlińczyk zwrócił uwagę na fakt, że stosunki kulturalne między Polską a Republiką Federalną układają się bez porównania lepiej niż między Polską a NRD. W gruncie rzeczy to jest naturalne i zrozumiałe. Mając przed sobą dwa państwa niemieckie, z których jedno jest komunistyczno-stalinowskie, a drugie zachodnio-europejskie — sympatie polskie instynktownie kierują się ku Niemcom demokratycznym. Wprawdzie te Niemcy wysuwają pod naszym adresem pretensje terytorialne, ale są krajem wielkiej zachodniej kultury, gdzie ukazują się w licznych przekładach czołowe dzieła współczesnej polskiej prozy. — Są krajem przynależącym do świata, od którego nas odcięto. Myślę, że żadne państwo niemieckie w historii nie miało takich potencjalnych możliwości pozyskania sobie Polaków jak Federalna Republika.

Czytelnik niemiecki powie w tym miejscu, że to wszystko być może jest prawdą, ale uznanie granicy na Odrze i Nysie wydaje się jednak wciąż zbyt wysoką ceną za zjednanie sympatii narodu polskiego.

Gdyby chodziło tylko o pozyskanie narodu polskiego proponowana cena istotnie mogłaby się wydawać wygórowaną. Ale w rzeczywistości chodzi tutaj o coś znacznie więcej. Kto wie czy nie jest to jedyna realna droga uratowania Wschodnich Niemiec.

Prasa amerykańska kilkakrotnie dawała do zrozumienia, że prez. Kennedy byłby skłonny zaoferować uznanie granicy na Odrze i Nysie wzamian za przyznanie Niemcom wschodnim prawa swobodnego wyboru zadecydowania o swoim losie. Bez

względu na to czy propozycja ta jest realną czy nie — jest niezmiernie charakterystyczna. Amerykanie zdają sobie sprawę, że jeżeli w ogóle można coś uratować to Lipsk i Drezno, ale nie Wrocław czy Gdańsk. I Kennedy uważa słusznie, że przysłużyłby się wybitnie narodowi niemieckiemu ratując dla Niemiec Lipsk i Drezno wzamian za pogodzenie się z utratą Wrocławia.

Ale w mojej opinii propozycja powyższa nie byłaby realna. To Polakom zależy na uznaniu granicy na Odrze i Nysie, a nie Rosjanom. Sowiety nie mogą również dopuścić bez kompromitującej ,,utraty twarzy'' do likwidacji reżymu Ulbrichta.

Ale choć propozycja amerykańska nie wydaje się w obecnej chwili realna — cele polityczne, które Amerykanie pragnęliby osiągnąć są podstawowej wagi. Zamiast deklamować o ziemiach nad Odrą i Nysą — zamiast wydawać krociowe sumy na propagowanie rewizjonizmu — Niemcy winni się zająć koszulą, która ciału jest najbliższa. Tą koszulą niewątpliwie jest NRD. W tej sprawie chodzi o bezspornie niemieckie ziemie, których rdzennej niemieckości nikt nigdy nie kwestionował.

Polityka rewizjonistyczna nie tylko utrudnia, ale uniemożliwia spowodowanie jakiejkolwiek zmiany w Niemczech wschodnich. Podstawowa przesłanka propozycji Kennedy'ego jest słuszna. Jeżeli się chce odzyskać Lipsk i Drezno trzeba zrezygnować z Wrocławia. Ci Niemcy, którzy nie mają odwagi zrezygnować z Wrocławia ryzykują, że nie odzyskają ani Wrocławia, ani Lipska ani Drezna.

Do czego prowadzą niniejsze rozważania? Chciałbym przekonać naszych Czytelników, a w pierwszej linii naszych przyjaciół w Niemczech — że uznaniem granicy na Odrze i Nysie i ustanowieniem przyjaznych stosunków pomiędzy Polską a Federalną Republiką — można by stworzyć nową sytuację w bloku wschodnim, a w szczególności w NRD. Gdyby Federalna Republika po uznaniu granicy na Odrze i Nysie nawiązała z Polską normalne stosunki dyplomatyczne, gospodarcze i kulturalne — gdyby stworzono w Warszawie niemiecki instytut — gdyby zaoferowano młodym Polakom stypendia — gdyby zadbano o podniesienie poziomu studiów germanistycznych w Polsce — sądzę, że po kilku latach zachodni Niemcy byliby najpopularniejszymi zachodnimi Europejczykami w Polsce. Dziś trudno w to uwierzyć — niemniej pewien jestem, że tak by było.

Dla polityki komunistycznej to byłaby klęska trudna do wymierzenia. Blok wschodnio-europejski straciłby jednego dnia charakter koalicji anty-niemieckiej, a przywódcy komunistyczni straciliby platformę, na której do tej pory łączą interesy partii z interesami narodowymi. Rosja przestałaby być jedyną ,,gwarantką'' — co w przyszłości mogłoby ułatwić przebudowę bloku satelickiego w luźniejszy związek państw (o czym powiemy więcej w następnym artykule).

Rosja nie może ponieść klęski ideologicznej — to znaczy nie może dopuścić do sytuacji, w której reżym Ulbrichta upadł-

by w 12 godzin. Ale Rosjanie są realistami i godzą się na ewolucyjne przemiany jeżeli nie mają innego wyjścia. Gdyby Niemcy wschodnie znalazły się pomiędzy Polską a Federalną Republiką do której Polacy odnosiliby się z sympatią — w NRD zaczęłaby powoli narastać nowa sytuacja. Niemcy zachodni nie zdają sobie z tego sprawy, ale niemniej faktem jest, że Bonn potrzebuje sprzymierzeńca by uratować Niemcy wschodnie. Jeżeli Niemcy zachodnie będą nadal bić w wielki bęben rewizjonizmu — nie tylko nie odzyskają ziem nad Odrą i Nysą, ale po kilkunastu latach znajdą się vis-à-vis drugiego państwa niemieckiego o wielkich mniejszościach narodowych wrogo nastawionych do Federalnej Republiki.

Załagodzenie sporu polsko-niemieckiego musiałoby z czasem wywrzeć formatywny wpływ na politykę reżymu wschodnioniemieckiego. W ramach bloku wschodniego NRD to są ci dobrzy, pokojowi Niemcy, którzy dobrowolnie uznali granicę na Odrze i Nysie i wyrzekli się wszelkiej rewizjonistycznej propagandy. Ów kontrast w porównaniu z Niemcami zachodnimi stanowi ich jedyną rację istnienia. Z chwilą gdyby się okazało, że Niemcy w Federalnej Republice są równie pokojowi i anty-rewizjonistyczni, jak w NRD, a równocześnie są demokratyczni i zachodni — sympatie Polaków, Czechów i Węgrów zwróciłyby się ku Bonn. W takiej sytuacji reżym Ulbrichta straciłby jedyną swoją rację istnienia i nie byłby do utrzymania na dłuższą metę nawet siłą.

W artykule jak niniejszy bardzo łatwo jest przekroczyć granicę dzielacą analizę od ,,pobożnych życzeń''. Dlatego chciałbym zakończyć ten artykuł suchym stwierdzeniem, że Federalna Republika uznając granicę na Odrze i Nysie nie tylko przełamałaby barierę oddzielającą Polskę od Niemiec, ale wytworzyłaby nową, obfitą w możliwości sytuację w bloku wschodnim. Tej nowej sytuacji reżymy komunistyczne nie zdołałyby zamrozić. Rozpocząłby się nowy rozdział po nowych liniach.

Niemcy muszą sami podjąć inicjatywę. Jeżeli Niemcy nie zrozumieją, że do rozwiązania ich problemów wschodnich konieczna im jest życzliwa postawa Polaków — jeżeli przez następne lata trwać będą w sporze z Polską — nie tylko nie odzyskają Wrocławia, ale pozostawią Rosji wolną rękę w sprawie NRD. Dopóki Polacy, Czesi, Węgrzy patrzą na Niemcy zachodnie jako na rewizjonistyczną wrogą potęgę — Rosja może spokojnie i powoli odniemczać NRD i przebudowywać ją krok po kroku w małe wielonarodowościowe państewko na wzór republik sowieckich.

Są sytuacje, w których trzeba się zrzec ,,A'' by uratować ,,B''. Jeżeli ktoś nie zrozumie tego na czas — traci jedno i drugie.

Juliusz MIEROSZEWSKI

"Niedorozwinięta" polityka

Aby nie było żadnych wątpliwości o czyją politykę tu chodzi, należy od razu powiedzieć, że o politykę świata zachodnego. Oczywiście nie o politykę w uniwersalnym znaczeniu, bo analiza tak olbrzymiego zagadnienia wymagałaby całych tomów, ale tylko o jej jeden wycinek, chociaż bardzo ważny, bo dotyczący zagadnienia kolonializmu. Sprawa ta dla państw kapitalistycznych nie jest bynajmniej rzeczą nową. Od kiedy przestał istnieć ustabilizowany układ stosunków tj. od rewolucji październikowej, dla imperiów kolonialnych powstało niebezpieczeństwo utraty zamorskich posiadłości. Do tej chwili wielkie mocarstwa kolonialne mogły się bać jedynie konkurencji pomiędzy podobnie rządzonymi państwami. Gdyby Rosja carska usiłowała szukać kolonii poza Euroazją lub, gdyby Niemcy miały dość siły i możliwości na utrzymanie lub poszerzenie swych zdobyczy afrykańskich, to dla Anglii, Belgii, Francji czy Holandii tego rodzaju akcje byłyby zjawiskiem polityczne nie różniącym się zasadniczo od własnych aktów zaborczości. Z chwilą jednak kiedy Lenin rzucił hasło emancypacji ludów azjatyckich, arabskich i afrykańskich, łącząc ideę zrzucenia jarzma kolonialnego ze sprawą proletariackiej rewolucji światowej — sprawy nabrały innego obrotu. Dla Lenina problem kolonialny był problemem pierwszorzędnej wagi. To, że w latach następnych Rosja Sowiecka, a zatem i międzynarodówka komunistyczna zrezygnowały z tego hasła, nie było zasługą mądrej polityki Zachodu, a jedynie rezultatem zmian, które zaszły w strategii i taktyce światowego ruchu komunistycznego podporządkowanego wówczas Stalinowi. Teoria i praktyka budownictwa socjalizmu w jednym kraju, uczyniły z akcji antykolonialnej sprawę wręcz absurdalną.

Dlatego jest kłamstwem twierdzenie propagandy sowieckiej, że to ZSSR był tym decydującym czynnikiem, który pchnął narody kolonialne na drogę walki wyzwoleńczej. Wielu publicystów komunistycznych i nie komunistycznych powtarza tego rodzaju teorie nie zastanawiając się widocznie nad ich sensem. A przecież w latach 30-tych — 40-tych, a więc za rządów Stalina, w parze z tępieniem kultur narodowych i całych elit komunistycznych np. w mahometańskich republikach azjatyckich, przyszedł upadek wszelkiej antykolonialnej polityki Rosji Sowieckiej. Nastąpił również upadek swego czasu szeroko rozbudowanych instytucji, których zadaniem było szkolenie specjalistów dla zagadnień kolonialnych.

Wystarczy wspomnieć o likwidacji komunistycznego uniwersytetu dla narodów wschodnich, całego szeregu katedr orien-

talistyki, czasopism zajmujących się sprawami kolonialnymi itd. W ogóle polityka zagraniczna, późnego okresu działalności Litwinowa, Mołotowa i Wyszyńskiego była epoką nawrotu do kontynentalnej polityki carskiej typu euroazjatyckiego. Okres przyjaźni z Hitlerem jeszcze bardziej zaostrzył ten kierunek polityki zagranicznej Moskwy, co się zresztą wyraziło w zbieraniu ziem dawnego imperium carskiego, a również w wojnie przeciwko Finlandii. W ówczesnej kampanii antyfrancuskiej, a szczególnie anty-angielskiej, którą prowadziła propaganda sowiecka używajac jej jako pożywki dla sojuszu z Hitlerem odpowiednią argumentację czerpano właściwie ze źródeł Rosji carskiej, z okresów przymierza rosyjsko-pruskiego, a więc koncepcji czysto kontynentalnej. O jakiejś walce z kolonialnym imperializmem Wielkiej Brytanii lub Francji w owym okresie nie było mowy i być nie mogło, bo było to sprzeczne z podstawowymi dyrektywami, które sekretariat Stalina przekazywał do Narkomindieł'u, zaś międzynarodówka, w której siedzieli Dymitrow i Manuilski zajmowała się faktycznie tępieniem ostatnich kadr komunistów nierosyjskich przebywających na emigracji w Związku Sowieckim.

Radykalna zmiana kursu w polityce zagranicznej spowodowana uderzeniem armii niemieckiej doprowadziła do sojuszu z państwami anglosaskimi. W ramach tego sojuszu zasadniczą rolę odgrywała przez długi okres czasu Wielka Brytania i choćby z tego już powodu Rosja nie zajmowała się ruchami antykolonialnymi, które musiałyby siłą faktu uderzać w imperium brytyjskie.

I otóż tutaj dochodzimy do bardzo charakterystycznego zjawiska, które w publicystyce komunistycznej jest przemilczane. Nie Stalin, nie Moskwa, i nie Komintern rozwiązany w 1943 roku, a więc w okresie kiedy się rozpadał system mocarstw kolonialnych, wzniecili pochodnię ruchów wyzwoleńczych, ale powiedzmy sobie bez ogródek: Niemcy hitlerowskie i militarystyczna Japonia. Nie chodzi nam tu o pobudki i moralną stronę opiekunów najrozmaitszych dywersji politycznych, marionetkowych rządów tworzonych na dawnych terytoriach kolonialnych Wielkiej Brytanii, Holandii, Francji itp., gdyż były one niewątpliwie tak samo „szlachetne" jak poparcie, które udziela dziś Chruszczow ludom kolonialnym w Afryce i Azji, ale po prostu o przypomnienie pewnych zjawisk i obalenie kłamstw propagandy sowieckiej. Japończycy, którym przyświecała idea wielkiej Azji pod egidą Tokio rozwinęli na szeroką skalę dywersję polityczną która w wielu wypadkach wyniosła na powierzchnię życia lub przyśpieszyła rozwój ruchów nacjonalistycznych. A cała propaganda wielkiego Muftiego prowadzona z Berlina też nie pozostała zupełnie bez śladów, jak i ów zamach stanu, którego dodokonał przeciwko Anglii w roku 1941 przyjaciel Niemców w Iraku, Raschid-Ali el-Gailani. Kiedy dodać do tego jeszcze propagandę, która miała za zadanie rozłożyć przeciwnika na terenach kolonialnych, pozbawić go surowców, ludzi i sympatii, to

obraz będzie jeszcze pełniejszy. Wprawdzie koalicja anglo-saska odniosła zwycięstwo na terytoriach afro-azjatyckich, ale zwycięstwo to zostało okupione wielką klęską kolonializmu.

Ale i później, kiedy pożar antykolonialny przerzucał się z jednych połaci kontynentów na drugie, polityka sowiecka w epoce późnego stalinizmu nie zdradzała nawet nikłego zainteresowania tym rewolucyjnym przełomem. Niestety nie pojęły nowej szansy i państwa zachodnie, a w danym wypadku jedyne mocarstwo, które było i potężne i niesplamione piętnem kolonializmu: Ameryka. Rosja Sowiecka nie miała od 1945 do 1956 roku nic do powiedzenia, bo stała nadal na pozycjach własnego kolonializmu, rozszerzonego z dawnych terytoriów na nowe posiadłości zdobyte w spuściźnie po Hitlerze. Okres polityki stalinowskiej nawet w stosunku do państw satelickich był niewątpliwie epoką neokolonialną, opartą na narzucaniu nie tylko cudzych wzorów rządzenia, ale i na wyzysku ekonomicznym. Ameryka nie wykorzystała w rozgrywce z Rosją w owym korzystnym okresie całego arsenału środków strategicznych i taktycznych, które powinny się były opierać na koncepcji antykolonialnej. Zaważyły na tym chyba dwa momenty: po pierwsze uległość w stosunku do własnych partnerów, którzy usiłowali ratować kolonie, które były nie do uratowania, po drugie tradycyjny rusofilizm, który powstał na bazie fałszywego pojmowania historii imperium sowieckiego i którego źródła tkwiły z jednej strony w roli emigrantów rosyjskich, jako ekspertów amerykańskiej polityki wschodniej, z drugiej niektórych dyplomatów Waszyngtonu, co swoją wiedzę o Rosji wynieśli, jak np. George Kennan z uniwersytetów niemieckich, gdzie hołdowano teoriom rusofilskim.

Na tle owego immobilizmu amerykańskiego trudno było wymagać od państw kolonialnych, jak Wielka Brytania, lub Francja, aby okazały głębie rozumu politycznego. Londyn przystąpił co prawda do samoistnej likwidacji kolonii, ale strategia i taktyka przechodzenia z pozycji kolonialnych na tory budowania Commonwealth'u, były akcją jedynie defensywną bez najmniejszych logicznych powiązań z jakąkolwiek ofensywą przeciwko kolonializmowi sowieckiemu. Nie było wskazane, by młodym Azjatom czy Afrykańczykom studiującym na wyższych uczelniach brytyjskich mówić otwarcie o uciemiężonych narodach Rosji, bo to wywoływałoby wówczas niemal automatycznie wysnuwanie bardzo nieprzyjemnych analogii i porównań. Zresztą dopóki Londyn stał na pozycjach kolonializmu, tego rodzaju akcja uświadamiająca miałaby tę samą wartość co poczyniania niektórych innych przedstawicieli świata zachodniego, którzy zgodni są co do tego, że należy zwalczać kolonializm u innych, a jednocześnie bronić za wszelką cenę własnego stanu posiadania. Anglicy jednak już krótko po drugiej wojnie światowej mieli po temu wszelkie warunki, aby wyjść z dawnej matni kolonialnej na nowe i wdzięczne pole walki ideologicznej. Ale ani socjaliści, ani konserwatyści nie zdali egzaminu z polityki

światowej. Ich krótkowzroczność udzieliła się z czasem wielu przywódcom samodzielnych obecnie państw azjatyckich i afrykańskich, które powstały na zrębach dawnego imperium brytyjskiego. Jest to zagadnienie wielkiej wagi, gdyż imperializm sowiecki żeruje (szczególnie obecnie) na tych właśnie faktach politycznej aberacji i wzorowanego na Anglikach oportunizmu, nakazującego niemieszanie się do wewnętrznych spraw tzw. socjalistycznego systemu światowego.

Dopóki Rosja Sowiecka nie prowadziła aktywnej polityki światowej to znaczy dopóki Chruszczow nie doszedł do władzy, można sobie było jeszcze na taki luksus pozwolić, ale począwszy od roku 1957 immobilizm świata zachodniego w stosunku do zagadnień kolonialnych staje się sprawą karygodną. Administracja Eisenhowera, Dullesa i Hertera odznaczyła się na tym polu nieprzeciętną indolencją. W ostatnich latach, każde dziecko polityczne mogło dostrzec, jak Rosja Chruszczowa, mimo że sama jest zaprzeczeniem wszelkich ideałów socjalistycznych i haseł proletariackich o samostanowieniu narodów, przy iście kuglarskim wykorzystywaniu fasady polityki narodowościowej wkracza na tereny Afryki i Azji. A tymczasem przeżarci rutyniarstwem i chorzy na brak wyobraźni politycznej urzędnicy uważali, że tej globalnej i niespotykanej dotychczas w dziejach świata ofensywie można przeciwstawić wypracowaną w okresie zimnej wojny, już przestarzałą, teorię o kolonializmie sowieckim jedynie w państwach satelickich. Głupota ludzi trzymających się uporczywie tej teorii jest przerażająca. Nie widzą oni nawet braku logiki w tym, że nie można Polsce gomułkowskiej dawać jedną ręką dolarów, a drugą pisać deklaracje o kolonialnym statusie tej samej Polski. Koloniami nowego typu sowieckiego w epoce chruszczowizmu nie są już państwa satelickie. Państwa te są już na pół samodzielnymi dyktaturami komunistycznymi, które nie straciły pewnych cech narodowych. W walce o jutro świata chodzi o to, aby państwom satelickim umożliwić przy zachowaniu pewnych niewątpliwie postępowych reform dzisiejszego ładu, zrzucenie supremacji sowieckiej i biurokratycznych rządów własnych dyktatur, a to drogą twórczych przemian socjalnych, kulturalnych i polityczno-ustrojowych. Koloniami zaś klasycznego typu sowieckiego, gdzie mamy do czynienia z wszystkimi formami ucisku i wyzysku narodowego, prześladowaniami przeszłości kulturalnej i historycznej, wysiedlaniami ludności itd. są nie-rosyjskie republiki ZSSR, począwszy od państw bałtyckich aż po średnią Azję. W walce o wolność ludów, obowiązkiem Ameryki powinno być podjęcie walki przeciwko neokolonializmowi sowieckiemu, a mianowicie w imię przywrócenia utraconych swobód, zahamowania dalszych eksperymentów imperialistycznych Moskwy i podjęcia wielkiej akcji międzynarodowej dla pomocy republikom, które ucierpiały na skutek wiekowej polityki kolonialnej Rosji carskiej i ostatnich dziesięcioleci Rosji sowieckiej. Szufladkowanie narodów tzw. systemu socjalistycznego na narody pierwszej, drugiej, a nawet

trzeciej klasy na podstawie teorii opartych o konserwatyzm historyczny i geograficzny, jest z punktu widzenia walki o jutrzejsze oblicze świata głupotą, która się już dziś mści. Jest to polityka *niedorozwinięta* w pełnym tego słowa znaczeniu.

Bohdan OSADCZUK

Kronika angielska

POST SCRIPTUM

Czaykowski i Sulik piszą, że...

O Przeciechciejskim Czaykowski i Sulik mówią, że...

Skłonny jestem przypuszczać, że za 50 lat kiedy londyńska, cmentarna ziemia już dobrze się uleży nad naszymi sfatygowanymi zwłokami — książka Czaykowskiego i Sulika będzie gęściej cytowana niż jakakolwiek inna książka wydana na emigracji. Nie ma co taić — jak się chce mieć historię to trzeba ją samemu napisać. Jest naiwnością przypuszczać, że historię piszą ,,następne pokolenia''. Dokumentacja historyczna jest rzeczą tak ważną, że tego dzieła nie można zlecać ani potomności ani w ogóle komukolwiek. Gdyby Cezar sam nie napisał swoich ,,Komentarzy'' — o jego wyczynach nie wiele byłoby wiadomo.

Można przejść przez życie wypiwszy kilkaset galonów whiski i poza tym nie dokonawszy niczego szczególnego — ale jeżeli zdołamy pozostawić po sobie interesujący pamiętnik wchodzimy w historię. A o iluż spartańskich postaciach, które ani whiski ani w ogóle niczego nie wąchały — spędzając życie na wiernym wykonywaniu obowiązków — historia pogardliwie i stuprocentowo milczy.

Można kląć na Londyn — można być nawet mackiewiczowskim anglofobem — ale przyznać trzeba, że Wielka Brytania była punktem startu naszej emigracji. Tu zjechaliśmy się wszyscy — z Brygady Karpackiej, z 2-go Korpusu, z obozów niemieckich — po klęskach, zwycięstwach i po przegranej wojnie. Tu był nasz prezydent i rząd — tu cofnięto nam uznanie, tu rozegrały się dramaty naszej politycznej niedojrzałości i niedołęstwa.

Jest rzeczą zabawną czytać własny nekrolog. Książka Czaykowskiego i Sulika jest w pewnej mierze historycznym nekrologiem polskiej emigracji na wyspach brytyjskich. To wszystko jest w czasie przeszłym i perspektywa tego obrazu już nie ulegnie zmianie. Za 50 lat PKPR, prezydent, rząd, rozłamy — wszystko to będzie równie historyczne jak dziś.

Co było właściwie naszą misją?

Koncepcja ,,państwa na obczyźnie'' z prezydentem, rządem, Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych — opierała się na przekonaniu, że

wrócimy. W czasie pierwszych emigracyjnych wilii łamiąc się opłatkiem życzyliśmy sobie nawzajem „następnych świąt w Polsce". Dziś emigranci jeżdżą do Polski na święta, ale po świętach wracają do Anglii, Francji czy Kanady.

Początkowo przez emigrację niepodległościową rozumieliśmy „państwo na obczyźnie", które było kontynuacją w sensie prawnym i tradycyjnym 2-giej Rzeczypospolitej. Byliśmy emigracją wojskową i ufaliśmy, że wrócimy zbrojnie do oswobodzonego kraju. Przez „wyzwolenie" rozumieliśmy restaurację 2-giej Rzeczypospolitej wraz z jej ustawą konstytucyjną i ustrojem.

Nasz kardynalny błąd polegał na tym, że nie umieliśmy się przestawić z emigracji wojskowej na emigrację cywilną oraz, że nie umieliśmy wypracować misji zastępczej w chwili, gdy okazało się, że nasza misja pierwotna jest nierealna. Na naszą obronę można powiedzieć, że trudno jest zrezygnować z roli historycznej, która w innych warunkach mogła być naszym udziałem.

Młodzi już tego nie zrozumieją — ale myślę, że nikt nie może być bardziej okradziony przez życie jak żołnierz, który po 6 latach poniewierki i walk na obcych ziemiach i kontynentach pozbawiony jest prawa złożenia swoich wojskowych maneli w rodzinnym kącie na ojczystej ziemi. Każdy nie-powrót jest smutny, ale nie-powrót żołnierza jest czymś niewysłowienie gorzkim. Tkwi w tym jakieś nieludzkie niedopełnienie. Bo w końcu biliśmy się tylko o jedno, to jest o możność powrotu do domu. My, byli żołnierze, jesteśmy emigrantami nie z wyboru, nie z przypadku lecz z klęski.

Z chwilą gdy stało się jasne, że nie wrócimy trzeba było przebudować zarówno nasze organizacje jak i politykę. Koncepcja „państwa na obczyźnie" miała tylko tak długo sens dopóki można było podtrzymywać teorię, że Polska jest okupowana. Polska jest okupowana i nie jest okupowana. Jest okupowana bo na jej terenie znajdują się wojska sowieckie. Nie jest okupowana, bo 60, a może 80 procent jej obywateli nie uważa Polski za kraj okupowany. W przedwojennej Galicji również nikt nie myślał, że Kraków lub Lwów są przez kogokolwiek okupowane. Ani Stefan Kisielewski, ani Antoni Słonimski, ani Jerzy Zawieyski, ani prof. Kotarbiński nie uważają na pewno Polski za kraj okupowany. Ci z nas na emigracji, którzy koncepcję polityki niepodległościowej zwężają do anachronicznych ram 2-giej Rzeczypospolitej — nie mają *de facto* za sobą nikogo ani w kraju ani na emigracji; tworzą dziś, odcięty od rzeczywistości, wspominkarski klub i na tym koniec.

Zmiana form organizacyjnych była koniecznością jeżeli nowoczesna polityka niepodległościowa miała nawiązać kontakt z krajem i inkorporować te przemiany społeczno-gospodarcze, które pozostaną nawet wówczas kiedy komunizm upadnie. Nie zdobyliśmy się na taki krok. Rada Trzech „pełni zastępczo funkcję prezydenta". Jakiego prezydenta? Oczywiście prezydenta w zrozumieniu ustawy konstytucyjnej 2-giej Rzeczypospolitej. August Zaleski jest również „prezydentem" 2-giej Rzeczyopspolitej. Innymi słowy choć 2-ga Rzeczpospolita w równej mierze należy do historii jak 1-sza Rzeczpospolita — mamy w Londynie cztery osoby zgłaszające pretensje do prezydenckiego tytułu.

Nie umieliśmy również wypracować nowej koncepcji politycznej. Początkowo liczyliśmy na wojnę i na powrót. Kryzys i załamanie rozpoczęły

się od chwili, gdy większość z nas na dnie duszy straciła nadzieję doczekania powrotu.

W kraju jest ,,praca organiczna". Ale na emigracji jest już tylko praca zarobkowa. ,,Rozbudowujcie i bogaćcie kraj" jest hasłem, które w Polsce zastąpić może ideologię, program i misję. Ale na emigracji hasło ,,bogaćcie się" oznacza przekształcanie się emigracji politycznej w Polonię.

Nie jesteśmy szczęśliwi, bo przez lata przywykliśmy służyć czemuś, co jest większe od nas. Większe od domu, konta w banku i dobrobytu. Polak, który buduje nowy warsztat, bogaci Anglię — ale jego przyjaciel Anglik, który buduje nowy warsztat bogaci swoją ojczyznę. Wplata swoje życie w coś co jest większe i ważniejsze od niego i co jego poczynaniom nadaje walor i godność.

Obóz wojskowy na obcej ziemi nie jest gettem. Ale skupisko cywilów-emigrantów jest gettem. Zachowanie polskości nie może być celem samo w sobie. Polskość danej grupy społecznej jest tylko wówczas cudna jeżeli służy nadrzędnemu celowi.

Z chwilą gdy stało się prawdopodobne, że nie wrócimy — należało zmienić kierunek. Z ruchu dośrodkowego ,,skupiania szeregów" — trzeba było przestawić się na działanie na zewnątrz poza murami getta.

Mały procent z tych co mieli możliwości w tej dziedzinie podjęło tę nową misję. Dziś wysiłki emigracji mierzy się jej osiągnięciami na zewnątrz — mierzy się stopniem oddziaływania na obce otoczenie. W obecnym układzie nastąpiło gruntowne przegrupowanie naszych sił uderzeniowych. W pierwszej linii frontu znaleźli się cywile — pisarze, redaktorzy, publicyści wydawcy, naukowcy — ludzie przydatni poza rejonem obozu wojskowego. Emigracja polityczna z ruchu masowego stała się ruchem elit.

Rabini wspominkarstwa za murami getta rzucają klątwy na grupy partyzanckie działające na zewnątrz. Ale wciąż mamy za wielu rabinów, za mało partyzantów na arenie międzynarodowej. Liczą się dziś nie zjazdy i akademie, nie koła i kółka — lecz akcje na polu międzynarodowym. Za przykład mogą tu służyć dziesiątki przekładów na obce języki dzieł, które pojawiły się np. w Bibliotece ,,Kultury", nasze oryginalne wydania obcojęzyczne, kontakty z ludźmi posiadającymi możliwości oddziaływania i *last but not least* łączność z krajem. Ale kraj potrzebuje ludzi działających poza murami a nie wewnątrz murów emigracyjnej Jerozolimy.

LIST Z AFRYKI

W bieżącym numerze ,,Kultury" drukujemy list p. W. Ledóchowskiego, który od wielu lat przebywa w Afryce. Sądzimy, że opinie naszego korespondenta są podzielane przez większość Polaków zamieszkałych na czarnym lądzie i dlatego chcielibyśmy poświęcić im nieco uwagi.

W. Ledóchowski zgadza się z nami, że ideałem do którego należy dążyć jest wielorasowe społeczeństwo. Równocześnie zarzuca Belgom, że zbyt wcześnie przyznali Kongu niepodległość, co doprowadziło do katastrofy.

Kongo jest klasycznym przykładem, który posłuży nam do jasnego sprecyzowania naszego poglądu w tej sprawie.

Belgowie celowo i z rozmysłem nie budowali w Kongu społeczeństwa

wielorasowego i gdyby im zezwolono na kontynuowanie ich kolonialnej polityki zapewne i w roku 2.000 byłoby za wcześnie na przyznanie Kongu niepodległości.

Co to znaczy budować wielorasowe społeczeństwo? Budować wielorasowe społeczeństwo oznacza m.in. udostępnienie szkół i uniwersytetów ludności tubylczej. Tego rodzaju polityka wymaga przyjęcia zasad demokratycznych, bo tylko w ustroju demokratycznym wszyscy obywatele bez względu na kolor skóry mają te same prawa i obowiązki. I odwrotnie, politykę kolonialną typu belgijskiego stosować można tylko za cenę odrzucenia podstawowych zasad demokracji. W praktyce więc budowa społeczeństwa wielorasowego możliwa jest tylko poprzez demokrację — to znaczy na drodze zrównania wszystkich obywateli w obliczu praw, obowiązków i możliwości życiowego startu.

Jeżeli ktoś utrzymuje, że na demokrację jest za wcześnie — to tym samym stwierdza, że i na budowę społeczeństwa wielorasowego jest za wcześnie. Cóż wtedy pozostaje poza bardziej lub mniej oświeconym kolonializmem?

W chwili ogłoszenia niepodległości, w Kongo liczącym 14 milionów mieszkańców, tylko 17 tubylców posiadało dyplomy uniwersyteckie. Wśród tych 17-tu absolwentów nie było ani jednego inżyniera i ani jednego lekarza. Przy przepisach jakie obowiązywały w Kongo i za 50 lat nie byłoby ani jednego czarnego lekarza i ani jednego czarnego inżyniera. Belgom nie zależało bowiem na budowie wielorasowej społeczności, lecz przeciwnie, pragnęli zachować uprzywilejowane stanowisko dla białej mniejszości.

Budowa systemu demokratycznego wymaga oczywiście wielu lat przygotowań, a przede wszystkim stworzenia warstwy miejscowej inteligencji. Niepodległość winna być ukoronowaniem tego ewolucyjnego procesu. Belgowie nie budowali Konga demokratycznego, a tylko do ostatniego dnia swoich rządów rozbudowywali Kongo kolonialne. Dlatego musiało się stać to, co się stało.

Nie ulega wątpliwości, że więź szczepowa — jak pisze W. Ledóchowski — odgrywa w Afryce zasadniczą rolę. Lecz problemów ludów kolorowych nie można w całości rozpatrywać w tej płaszczyźnie. Przez ileż to lat pisano o „szczepach" w północnej Afryce, które kochają Francję i romantykę Claude Farrere'a. A jednak te „szczepy" od 6 lat biją się z najświetniejszą armią Europy i biją się nie bez powodzenia. Biją się o cele narodowe i niepodległościowe. Był czas, że Ukraińcom odmawiano prawa do rangi narodu — o Indiach pisano jako o „mozaice szczepów i języków" — a za Oceanem do niedawna nie istniał *American nation* tylko *American people*. W sumie trzeba być ostrożnym z klasyfikacjami w tej dziedzinie — pamiętając, że choć nie każdy szczep staje się narodem, każdy naród był kiedyś szczepem.

Ale najistotniejszy jest aspekt międzynarodowy tego problemu. Wystąpienie Unii Płd. Afrykańskiej z Brytyjskiej Wspólnoty Narodów — potępienie *apartheid* na forum ONZ — to były historyczne wydarzenia. Kolonializm we wszystkich jego formach przestał być wreszcie sprawą wewnętrzną suwerennych państw i stał się problemem międzynarodowym. Pierwszy raz w dziejach Stany Zjednoczone głosowały z Sowietami w sprawie kolonii portugalskich. Delegat sowiecki głosował *de facto* przeciwko polityce sowieckiej, bo w imperium sowieckim obowiązuje również *apartheid*.

Podział Niemców na białych i czerwonych (czerwonych wbrew ich woli) — jest przeniesieniem zasady *apartheid* w sferę ideologii i polityki. Nie ma żadnej różnicy pomiędzy dyskryminacją rasową a dyskryminacją ze względów religijnych czy ideologicznych.

Zarówno *apartheid* rasowy jak i *apartheid* ideologiczny są sprzeczne z najelementarniej pojętymi zasadami demokracji. Demokracja bowiem zakłada budowę społeczeństwa wielorasowego i wielopoglądowego. W ustroju demokratycznym każdy ma prawo do koloru skóry z jaką się urodził i do poglądów, do jakich zgodnie ze swym sumieniem doszedł.

Nie mielibyśmy tytułu ani moralnego ani politycznego do zwalczania *apartheid* ideologicznego podtrzymując po tej stronie barykady *apartheid* rasowy.

Zniesienie niewolnictwa nie przyniosło w pierwszym okresie żadnych poważniejszych konsekwencji. Ale w następnych dziesięcioleciach stało się źródłem rewolucyjnych przemian na obu półkulach.

W swoim słynnym przemówieniu w Springfrield, Lincoln stwierdził: *I believe that this government cannot endure permanently half slave — half free.*

Potępienie *apartheid* na forum międzynarodowym może stanowić kamień milowy na drodze do powszechnego uświadomienia, że świat nie może być w połowie wolny, a w połowie niewolniczy.

CZY ZERWANIE PEKINU Z MOSKWĄ LEŻY W NASZYM INTERESIE?

Zdaniem prof. Zbigniewa Brzezińskiego — (którego świetne studium pt. ,,The Challenge of Change in the Soviet Bloc'' ukazało się na łamach ,,Foreign Affairs'') — deklaracja 81 partii komunistycznych ogłoszona w Moskwie 6 grudnia ub. roku stanowi zasadniczą datę w dziejach międzynarodowego komunizmu. Deklaracja powyższa jest bowiem punktem kulminacyjnym długiego procesu przemian od ,,Bloku Sowieckiego'' po ,,Blok Państw Komunistycznych''.

W żargonie dziennikarskim obu określeń używamy równocześnie, ale w rzeczywistości każdy z tych terminów oznacza coś zupełnie innego.

Zmiana obejmuje nie tylko stosunki sowiecko-chińskie ale niewątpliwie Chiny odegrały w tym procesie rolę zasadniczą.

Przystępując do analizy stosunków sowiecko-chińskich prof. Brzeziński niezmiernie trafnie zauważył, że spór pomiędzy wyznawcami tego samego światopoglądu jest zupełnie czymś innym od sporu pragmatycznych liberałów. Dodajmy od siebie przykład. Nie można porównywać intensywności sporu i zaangażowania dwóch wierzących katolików dyskutujących jakiś zasadniczy problem doktryny z dysputą dwóch agnostyków na ten sam temat.

Powyższy moment psychologiczny działa dwojako. Wyznawcom — jeżeli osiągną niezależność jak Chiny i jeżeli nie grozi im stos — trudniej jest zrezygnować z własnych interpretacji niż pragmatykom. Z drugiej jednak strony kardynalne postulaty doktryny działają zespalająco, budząc poczucie solidarności mimo różnic w pewnych punktach.

Sowiety ustami Chruszczowa zrezygnowały na cytowanej konferencji

z tytułu przywództwa. O 90 stopni odwróciły się również poglądy Moskwy na organizacje typu Kominternu czy Kominformu. Chruszczowowi odpowiadają lepiej konferencje przywódców partii komunistycznych, zwoływane w miarę potrzeby.

Przywódca musi mieć możliwości zapewnienia posłuchu dla swoich rozkazów i oczywiście ponosi odpowiedzialność za pionki podległe jego dyktatowi. Odpowiadać można tylko za kogoś, kogo się kontroluje. Sowiety nie mają możliwości kontrolowania polityki Chin w stosunku — powiedzmy do Indii.

Spór sowiecko-chiński na przestrzeni ubiegłych trzech lat ograniczony był trzema momentami w pełni uznawanymi przez obu adwersarzy:

a) Obie strony zdawały sobie sprawę z faktu, że pełny rozłam przyniósłby szkodę zarówno Rosji jak i Chinom — wskutek tego należy zachować jedność i zgodę.

b) Tak Moskwa jak i Pekin dobrze wiedzą, że przywódcy obu partii siedzą mocno w siodle. Innymi słowy tak czy inaczej Chruszczow skazany jest na Mao Tse a Mao Tse skazany jest na Chruszczowa. Obecny układ nie przypomina w niczym sporu sowiecko-jugosłowiańskiego z 1948 r. kiedy Stalin sądził, że zerwanie z Moskwą obali Tito.

c) Chińczycy — w każdym razie do tej pory — usiłowali zapewnić Moskwę, że nie jest ich zamiarem pozbawić Sowiety przywództwa bloku, a że chodzi im jedynie o zmianę wspólnej taktyki. Pekin zdaje sobie sprawę, że na obecnym etapie nie może Sowietom odebrać przywództwa bo nie ma środków do narzucenia tego typu polityki.

Czy zerwanie Pekinu z Moskwą leży w interesie Zachodu? To jest problem, który analizowało setki publicystów nie wyłączając polskich. Posłuchajmy co na ten temat ma do powiedzenia prof. Brzeziński:

,,Z punktu widzenia Zachodu przedłużająca się sytuacja formalnej jedności sowiecko-chińskiej (z pewnym stopniem rozbieżności) — jest zdecydowanie bardziej pożądana niż otwarte zerwanie. Całkowity rozbrat wróżyłby nieszczęście dla świata. Związek Sowiecki może sobie pozwolić na tolerowanie wewnątrz obozu dysydenckich, lecz samotnych Chin. Zerwanie w postaci wykluczenia z bloku mogłoby nastąpić tylko wówczas, gdyby Chiny były dostatecznie silne, by zagrozić przywództwu Sowietów i pociągnąć za sobą pokaźną cyfrę innych partii komunistycznych. Chiny zdolne do jednostronnej akcji mogłyby być bardzo niebezpieczne. Niebezpieczeństwo byłoby niemniejsze, gdyby Chiny poczuły się dostatecznie silne, aby opuścić blok z własnej inicjatywy. Przypuszczalnie podjęłyby taki krok tylko wówczas, gdyby chińscy przywódcy ufali, że potrafią podjąć akcję na własną rękę i wpłynąć na bieg wydarzeń bardziej skutecznie nie przynależąc do bloku niż będąc jego członkiem".

PRASA ŚWIATOWA O ,,KULTURZE"

Korespondenci prasy amerykańskiej w Warszawie wielokrotnie podkreślali rolę ,,Kultury" w kraju. Ostatnio dwa wielkie pisma zachodnio-europejskie, również w korespondencjach nadesłanych z Warszawy, poświęciły nam nieco cennego miejsca.

W londyńskim ,,Daily Telegraph" David Floyd zanotował, że... ,,the

famous Polish literary magazine ,,Kultura" published in Paris is now almost imposible to obtain here. It is said to have been easier to get it in the bad old days" (1).

Frankfurter Allgemeine Zeitung" w dłuższej korespondencji z Warszawy pióra Hansjacob Stehle stara się rozwikłać zagadkę ,,Kultury". Zagadkę pisma, które z jednej strony jest *verschlungen* (połykane) a z drugiej strony przez oficjalne czynniki zwalczane z bezprzykładną zaciekłością. Korespondent F.A. pisze, że Polacy w kraju często mogą kupować czołowe pisma ukazujące się na Zachodzie, ale nigdy ,,Kulturę". Na to by otrzymywać ,,Kulturę" trzeba mieć specjalne zezwolenie władz partyjnych. Jednak ,,Kultura" dociera i jest ,,połykana" (a jak dociera to jest nasza rzecz, która nie należy do tematu).

Zdaniem korespondenta wielkiego pisma zachodnio-niemieckiego ,,Kultury" nie da się zaszufladkować i to jest zasadniczą przyczyną nieufności i niepokoju czynników oficjalnych. ,,Kultura" często zajmuje w sprawach politycznych stanowisko, które różni się zarówno od oficjalnej linii Zachodu jak i od oficjalnej linii Wschodu. Jako przykład F.A.Z. przytacza nasze projekty neutralizacji Europy środkowo wschodniej, które znajdują żywy oddźwięk wśród Polaków w kraju.

Wiemy z kilku niezależnych źródeł (nie polskich), że ,,Kultura" odegrała znaczną rolę w częściowej likwidacji Paxu. Nasze artykuły w tej sprawie — ogłoszenie tajnych wytycznych, oraz przedstawienie Piaseckiego jako kompromitującego ,,sojusznika" i rewizjonisty — odniosły większy skutek niż mogliśmy oczekiwać.

Jaki jest cel powyższej notatki?

Nie reklama. ,,Kultura" jest w tej szczęśliwej czy nieszczęśliwej sytuacji, że reklamy nie potrzebuje. Nie potrzebujemy reklamy bo nie mamy żadnej konkurencji. Notatka ta jest zaadresowana do załamanych, względnie w połowie załamanych, inteligentów na emigracji, których niestety nie brak. Do tych, którzy uważają, że na emigracji nie warto jest wydawać, nie warto jest pisać, że nikt nas nie czyta, że na nic nie mamy wpływu, że w ogóle po co to wszystko, skoro żyjemy na unicestwiającym marginesie jeszcze żywi, ale już nieprawdziwi pasażerowie ,,martwej wizy".

Nie macie racji panowie.

LONDYŃCZYK

Przegląd niemiecki

REPUBLIKA ZWIĄZKOWA CZY ZWIĄZEK REPUBLIK

Latem ubiegłego roku, między rządem w Bonn, a krajami związkowymi, wynikł poważny spór w sprawie decyzji utworzenia ogólnopaństwo-

(1) Słynny polski magazyn literacki, ,,Kultura", wydawany w Paryżu, jest obecnie prawie tutaj nieosiągalny. Mówią, że łatwiej było go dostać w okresie starych złych dni".

wego programu telewizyjnego. W marcu rb. Trybunał Konstytucyjny przyznał słuszność oponentom. Zastrzeżona w Konstytucji Związkowej niezależność krajów w zagadnieniach kulturalnych, a więc także radia i telewizji, jest domeną niezależności poszczególnych członów Republiki Związkowej. Dlatego nie istnieje w Bonn wspólne dla całych Niemiec Ministerstwo Kultury (Wyznań i Oświaty). Marcowa decyzja Trybunału odświeżyła zapomniane nieco zagadnienie czym jest „Bundesrepublik Deutschland" — państwem związkowym, czy związkiem państw.

Zwolennicy centralizacji władzy, zżymając się na orzeczenie Trybunału, ukuli złośliwy dowcip, że zanim prezydent de Gaulle doczeka się swej „Europy Ojczyzn", będzie miał za Renem sąsiedztwo Związku Niemieckich Vaterlandów. Zgorzkniali, przedwojennego typu centraliści dodają, że co nie udało się zachodnim zwycięzcom — podział Niemiec na skłócone państewka — w piętnaście lat po wojnie Niemcy dokonują sami.

W rzeczywistości sprawy nie wyglądają tak dla Niemiec groźnie. Wprawdzie administracje krajowe, posiadając całkowitą niezależność od Bonn jedynie w dziedzinie kulturalnej, próbują rozszerzyć samodzielność i na inne dziedziny, ale są to tylko próby, nie mające żadnych widoków powodzenia.

Współzawodnictwo poszczególnych krajów w rozbudowie wyższych zakładów naukowych, łagodzone przez samorządową Konferencję Rektorów z całych Niemiec, na pewno nie może szkodzić ani wiedzy, ani studentom, sprzyja natomiast upowszechnianiu się wolnościowej zasady, że poszanowanie odmiennego zdania jest ważniejsze od doraźnego ujednolicenia poglądów. Nikomu też nie może szkodzić jakaś lokalna tradycja, jak na przykład jesienne rozpoczynanie roku szkolnego w Bawarii, podobno tylko dlatego stosowane, że pozostałe kraje rozpoczynają na wiosnę.

Na ogół separatyzmy niemieckie wymierają. Przede wszystkim jako skutek zaniku wielu uciążliwych imponderabiliów Rzeszy Hohenzollernów i okresu powersalskiego, a następnie w wyniku niezwykle intensywnego przemieszania ludności, jakie nastąpiło po wojnie. Objawia się to w stopniowym wygasaniu lokalnych ugrupowań partyjnych, jak „Bayern Partei" i dolno-saskiej „Deutsche Partei".

Partia Bawarska już w poprzednich wyborach nie wystawiała kandydatur do parlamentu związkowego w Bonn, a w sejmie bawarskim stale traci wpływy. Obecnie posiada zaledwie czternastu posłów na ogólną ilość 204. W marcowych wyborach komunalnych w Dolnej Saksonii „Deutsche Partei" otrzymała w swym głównym okręgu zaledwie 9 % głosów, co w porównaniu z 15 % w poprzednich wyborach jest bardzo wymowne.

W przeciwieństwie do zaniku separatyzmów narastają dążenia centralistyczne we wszystkich krajach związkowych. Przykładem są stałe ograniczania samorządów gminnych na rzecz wyższych szczebli organizacyjnych, oraz tworzenie licznych instytucyj ogólnopaństwowych.

Można by wyliczyć jeszcze wiele innych zjawisk dopełniających wrażenie, że krystalizujące się państwo zachodnio-niemieckie osiąga zwartość oddolnie i stopniowo; że ustala się jako republika związkowa (federalna), a nie jako związek państw; że jest na dobrej drodze do osiągnięcia celu, którego nie zdołały dopiąć ani *Sacrum Romanum Imperium Nationis Germaniae*, ani „Grosspreussen" Bismarcka, ani Trzecia Rzesza Hitlera: usta-

bilizowania spontanicznie zespolonego, jednolitego niemieckiego państwa *zachodnio-europejskiego*.

NIEPODZIELNOŚĆ I DWA PAŃSTWA?

Stwierdzenie, że zachodnio-niemieckia państwowość ustala się jako republika związkowa, nie wyjaśnia zasięgu tej państwowości. Gdy w 1949 roku Ameryka, Anglia i Francja umożliwiły zorganizowanie ze swych stref okupacyjnych państwa o nazwie „Bundesrepublik Deutschland", już sam tytuł wskazywał na szersze plany niż granice.

Polskie tłumaczenie „Niemiecka Republika Federalna" nie jest dokładne. Właściwie należałoby pisać „NIEMCY — Republika Związkowa", gdyż dopiero ta nazwa oddaje pełną treść niemiecką i ułatwia zrozumienie tezy rządu w Bonn, że podmiotem prawa międzynarodowego są Niemcy w granicach z 31 grudnia 1937 roku i że Bundesrepublik Deutschland jest *jedynym* państwem sukcesyjnym przedwojennej Rzeszy, z prowizoryczną stolicą w Bonn, działającym powierniczo w imieniu wszystkich Niemców aż do zjednoczenia całych Niemiec.

Wychodząc z takiego założenia, Bonn nie stwarza zachodnio-niemieckiego obywatelstwa, natomiast uznaje ogólno-niemieckie. Dlatego uciekinierów z sowieckiej zony przyjmuje jako zwykłych obywateli, mających pełne prawo osiedlania się w *każdej* części Niemiec.

Konsekwencją tezy Bonn jest nieuznawanie ustanowionej przez Związek Sowiecki „Niemieckiej Republiki Demokratycznej" i tak zwana doktryna Hallsteina, ustalająca uznanie suwerenności NRD za akt wrogi, powodujący zerwanie stosunków z państwem uznającym NRD.

Dalszym skutkiem tezy jest przestrzeganie odpowiedniej nomenklatury, a więc: nie należy używać nazwy NRD, — chyba że w cudzysłowie lub z dodatkiem „tak zwana" — trzeba używać: „Sowiecka Zona Okupacyjna", albo „Niemcy Środkowe" (Mitteldeutschland); ziemie na wschód od Odry, z Kłajpedą włącznie, należy nazywać „Niemcy Wschodnie czasowo pod polskim (ewentualnie sowieckim) zarządem", lub w skrócie „Niemcy Wschodnie"; istnieje „Linia demarkacyjna", a nie „granica" między Bundesrepublik Deutschland i Zoną Sowiecką; itd.

Tak wygląda teoretyczny fundament „Bundesrepublik Deutschland". W praktyce prowizoryczne państwo trwa już dwunasty rok, szybko konsoliduje się wewnętrznie i zdecydowanie zwraca się na Zachód.

Polityków trzeźwo oceniających trwający stan rzeczy jest dużo, a głosy zalecające rewizję sztywnych tez oficjalnych pochodzą nie tylko od wybitnych uczonych i publicystów. Wśród osobistości urzędowych także można spotkać się z krytyką tkwiących w przeszłości zasad i z próbami znalezienia nowych dróg niemieckiej polityki wschodniej. W trosce o losy enklawy berlińskiej padały już słowa o pierwszeństwie w o l n o ś c i przed j e d n o ś c i ą z ust bardzo wysokich dostojników państwowych. Jednocześnie niezłomni teoretycy niepodzielności państwa w granicach z 1937 roku posiadają jeszcze dostateczne wpływy, by skutecznie przeciwstawiać się herezjom — w ich pojęciu równym zdradzie stanu — dopuszczającym uznanie *de iure* granicy na Odrze i suwerenności NRD.

W postawie niezłomnych można doszukiwać się pewnej analogii z na-

szą sytuacją w 1920 roku, kiedy społeczeństwo polskie nie zrozumiało układu Piłsudskiego z Ukrainą i ,,po majątki na Podole — pułk dwunasty ruszał w pole''; gdy Jan Dąbski i prof. Stanisław Grabski, ignorując federacyjną ideę układu polsko-ukraińskiego i odrzucając ofertę Joffego, umożliwili stworzenie kadłubowej sowieckiej Republiki Białoruskiej; gdy później prof. Stanisław Grabski wielokrotnie głosił z katedry Uniwersytetu Lwowskiego, że polskie — nie federacyjne lecz polskie — granice na wschodzie sięgają tam, gdzie polonizacja może być dokonana w ciągu 15 — 20 lat.

Odmienność obecnej niemieckiej sytuacji polega przede wszystkim na braku koncepcji przypominających układ polsko-ukraiński z 1920 roku, i na braku warunków umożliwiających wymarsz po majątki na tereny za Odrą. Ale na razie ,,niezłomni'' działają i dostarczając Kremlowi i Warszawie świetnego argumentu propagandowego — straszaka nowej niemieckiej agresji — wmawiają nam, emigrantom, prokomunistyczną działalność z powodu jednomyślności z Warszawą w żądaniu uznanej *de iure* granicy na Odrze i odmowy przehandlowania Szczecin-Wrocław za Wilno-Lwów.

Jak długo potrwa w Bonn obecny impas, to znaczy sztywne pozornie, lecz chwiejne w rzeczywistości podtrzymywanie tezy o niepodzielności sukcesji po Trzeciej Rzeszy, oraz brak nowej zdecydowanej wschodniej koncepcji — trudno przewidzieć, można jednak już dziś dostrzegać, że zrealizowanie zasady niepodzielnej sukcesji i zjednoczenia całych Niemiec, włącznie z zaodrzańskim ,,Ostdeutschlandem'', jest dla większości polityków niemieckich sprawą negatywnie przesądzoną.

Głosy twierdzące, że w ciągu dwóch-trzech lat Niemcy Zachodnie będą zmuszone uznać NRD za cenę utrzymania wolności Berlina, słyszy się dość często. Politycy, przepowiadający bliskie uznanie NRD a w następstwie konieczność współdziałania z Polską, jako przeciwwagą niechybnego ciążenia Wschodnich Niemiec ku Rosji — też nie są wyjątkami. Mocne są także (choć o tym się nie mówi) obawy wzrostu obciążeń podatkowych, zwiększenia braku rąk i głów do pracy, oraz innych kłopotów gospodarczych w wypadku zjednoczenia.

Trudno bawić się dziś w przepowiednie. Można jedynie stwierdzić, że obecny stan rzeczy długo trwać nie będzie i że ustabilizowanie się dwóch równoległych sukcesyjnych państw niemieckich jest bardzo prawdopodobne.

S.W. KOZŁOWSKI

Nowy kraj - nieznany kraj

Sentymentalna tradycja powrotu-przyjazdu do dawno niewidzianego kraju została obalona w wieku odrzutowym. Nie ma wzruszenia, nie ma łez. Przelot Amsterdam — Warszawa trwa trzy godziny, urozmaicone kawą, lunchem, rozmową. Pasażerów jest bardzo mało i obsługa KLM ma w tym wypadku wyraźnie *personal touch.*

Megafon zapowiada, że za chwilę przekroczymy — podniebnie, w chmurach — granicę Polski nad Darłowem. Ta plątanina ziemi ornej, jeziorek i rzeczek pod nami — to Polska. A w geografii serdecznej? Oczy nie mogą się zamglić, bo trzeba odczytać instrukcję o przekraczaniu granicy polskiej: nie wolno fotografować niczego, najlepiej nie mieć w ogóle aparatów na wierzchu. Aparaty idą do torby.

Za chwilę lądowanie. Opowiadano nam, że jeszcze samolot nie stanął pewnie na ziemi, a już wysuwa się milicyjna ręka po papiery. To nieprawda. Ale u wyjścia z samolotu jest zator — już są milicjanci, już coś oglądają. Deszczyk siąpi. Jesteśmy zaskoczeni — na żadnym z lotnisk ceremonie przyjazdowe nie odbywały się pod gołym niebem, choćby było ono, jak dotąd, słoneczne. Owczym pędem zatrzymujemy się, powiększając zator; ale to tylko nieporozumienie — każą nam przejść do budynków lotniska. Mniejsza o to, że po fantastycznie nowoczesnych lotniskach New Yorku, po schludnym w Amsterdamie, po niespodziewanie dobrze zorganizowanym we Francji — Okęcie wygląda nader obskurnie. Atmosfera też jest inna — według naszych standardów, z którymi zdążyliśmy się zżyć w ciągu lat na Zachodzie. Za nami jest Paryż, gdzie celnicy machali tylko ręką na granatowy paszport z napisem ,,Canada'', nie oglądając, przepuszczając z uśmiechem. Tu są dwa okienka — w jednym paszport znika, z drugiego się wyłania. Kontrola celna przechodzi nadspodziewanie sprawnie — wypełniona po drodze (w myśl przepisów) — deklaracja prezentów i pieniędzy zostaje przyjęta bez kwestii. Tak samo będzie w drodze powrotnej. Podobno mieliśmy szczęście, podobno nieraz dochodzi

nawet do rewizji osobistej, zwłaszcza gdy są to transporty wodne słynnego ,,Batorego''. Ale wina w tym może nie tylko władz, ale i turystów — kochani rodacy-Polacy przywożą i wywożą najbardziej nieprawdopodobne ilości rzeczy, łakomych po obu stronach oceanu, napełniają kryształami ,,nie ważone'' torby lotnicze itp. Celnicy kanadyjscy w porcie w Montrealu tylko chodzą i niby po polsku pytają ,,nie ma wodka? — jest wodka?''.

W Polsce odmienne są zresztą przepisy celne dla turystów zagranicznych i miejscowych — krajowi szczęśliwcy, którym udało się wyrwać zagranicę, pomijając niezliczone kłopoty paszportowe, muszą bardzo ściśle wyliczyć się z rzeczy i pieniędzy wywożonych i wwożonych, nie łatwo jest trafić na pobłażliwego celnika.

Już na lotnisku na Okęciu zarysowuje się wyraźnie ten paradoks, który będzie nam towarzyszyć w ciągu kilkotygodniowego pobytu w kraju. Jesteśmy turystami we własnym kraju. My, ludzie, w którymś roku oficjalnie pozbawieni obywatelstwa polskiego i pozbawieni go powtórnie przez fakt przyjęcia innego (poddaństwa — jak ku naszej wściekłości powtarzają za Mackiewiczem zwłaszcza starsi) — jesteśmy w kraju ludźmi pierwszej kategorii, klasą uprzywilejowaną we wszystkim i na każdym kroku. Nasze przywileje to ten obcy paszport, który daje nam możność odwrotu — wyjeżdżając odetchniemy z ulgą, gdy koła samolotu oderwą się od ziemi, gdy będziemy wiedzieć, że już jesteśmy pod flagą Królowej. Przykre, cyniczne może, ale prawdziwe. Nasze przywileje — to dolary, które sprawiają, że w naszym ongiś kraju stać nas na luksusowy urlop — pierwszorzędne hotele, restauracje, rozbijanie się taksówkami — to wszystko co nie jest naszym chlebem codziennym w rzekomo łatwym i beztroskim życiu kanadyjskim. Mimowoli stwarzamy wciąż pozory nieposiadanego bogactwa. My obliczamy obiad na pięć osób, jako równoważnik pieniężny posiłku na jedną osobę w Kanadzie, nasi goście liczą go, jako jedną trzecią miesięcznego zarobku. Dostrzegamy z samokrytycyzmem przepaść pomiędzy naszym stylem życia w czasie krótkiego pobytu w Polsce, a ogólnym standardem życia krajowego. Zaczynamy rozumieć dlaczego niektóre osoby wracają z Polski zachwycone. Można łatwo spędzić parę miesięcy w Polsce i niczego nie zrozumieć. Ludzie, którzy nie zapuścili korzeni w kraju zamieszkania, którzy wciąż jeszcze uważają go za miejsce tymczasowego pobytu, wracają olśnieni Polską. Ci, których nie zapędzi się na koncert czy do teatru w Anglii, Francji, Kanadzie czy Stanach, zachłystują się kulturą polską. I kawiarniami zawsze pełnymi i ludźmi, którzy nie zamęczają się pracą. Zapominają, że ich Polska była Polską od święta.

Rozumiemy też teraz i przestajemy się dziwić dziennikarzom zagranicznym, że rzadko mogą dotrzeć do prawdy o Polsce. Nie wiele jej widać z najwyższego krzesełka barowego. Hotele ,,Orbisu'', przydzielony tłumacz, zorganizowane auta i wagony sypialne, rozmówcy, których jedyną podstawą do udzie-

lania informacji jest znajomość języka obcego (plus nieraz odpowiednie „odgórne" instrukcje). Cóż więc dziwnego, że piszą potem: „Nikt w Polsce nie jest źle ubrany, bo Polska ma najlepszych krawców na świecie" (amerykańskie pismo „Holiday", lipiec 1960). Dodajmy: chyba najtańszych na świecie — dla turysty zagranicznego, skoro kostium czy garnitur można uszyć za marne 5-7 dolarów. Jakiż jednak z tego pożytek dla człowieka w kraju, skoro dobra wełna kosztuje 500-800 złotych za metr, a całość wydatku odpowiada dwumiesięcznej pensji?

Dziennikarz z „Holiday", tak jak wielu innych, na pewno nie rozmawiał z młodą lekarką na dwu posadach; jej wytchnieniem po pracy jest... prywatny szpital w domu: trzy osoby w wieku 65-75 lat, wymagające ciągłej opieki lekarskiej; oczywiście w malutkim mieszkanku. Mówi ona: „Jedno czego pragnę w życiu: cztery ściany, samotność, żadnej rodziny". To niemal ilustracja doń *Je vous haïs, les familles,* André Gide'a.

Ale i my sami nie byliśmy na Polskę przygotowani. Trudno jest zdefiniować co spodziewa się znaleźć w kraju człowiek, który przebywał 10-20 lat poza jego granicami. Nawet ten, kto śledzi pilnie prasę krajową i emigracyjną, nawet ten, kto jest teoretycznie *au courant* zachodzących przemian. Niewątpliwie nikt nie łudzi się, że zastanie dokładnie tę Polskę, jaką wyniósł w pamięci wychodząc z kraju w roku 1939, 1944 czy później. A jednak mimo tej świadomości czeka nas niejeden szok.

Najbardziej chyba drastyczne było zobaczenie nowej Warszawy. Obraz jaki wynieślimy ze sobą w nasze nieznane, to były ruiny i zgliszcza października 1944. Nie było już Warszawy gdy ją żegnaliśmy. Czytaliśmy potem o odbudowie, oglądaliśmy plany i fotografie, słuchaliśmy opowiadań tych co pojechali wcześniej. A jednak...

Żadne zdjęcie, opis, nie przygotują na przeżycie jakim jest wyjście na MDM — Marszałkowską Dzielnicę Mieszkaniową, na zbieg Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej. Mieliśmy w oczach łzy bezsilnej wściekłości: zabrano nam nasze miasto, zabrano nam to, co było naszą przeszłością i młodością.

Można obiektywnie przyznać, że urbanistycznie i architektonicznie to jest lepsze, bardziej nowoczesne. Że nie ma po co żałować brzydkich kamienic. Że podobałoby się to nam w innym, świeżo poznanym mieście. Ale chodzi o Warszawę, niemądry sentyment bierze górę i jedno tylko wiemy: to nie jest nasza Warszawa, to jest inne miasto — obce miasto. Omijaliśmy potem skrzętnie MDM, by zapomnieć że istnieje. Uciekaliśmy w kręte uliczki Starego Miasta, takie same, swojskie, z pietyzmem odbudowane. Podziwialiśmy znaki cechowe nad sklepami i piękne latarnie. Szliśmy Krakowskim Przedmieściem i Nowym Światem, bo to była Warszawa naszej pamięci. Powiedzieliśmy wtedy: gdyby już przyszło koniecznie mieszkać w Polsce — to nie Warszawa; wybór padłby na Gdynię, rozbudowaną, ale nie tak skrajnie odmienną od tej, która rosła z nami w okresie Niepodległości; na odbudowany z gruzów Gdańsk; na Wrocław, miasto nowe

dla nas, a piękne w połączeniu zabytkowości z nowoczesnością; na miasta nie obarczone bagażem sentymentu i wspomnienia.

Kiedyś młody naukowiec, który przyjechał do Kanady z kraju na paromiesięczne studia, powiedział: ,,Dużo o tym kraju słyszałem, ale na jedno nie byłem przygotowany: warunki mieszkaniowe''. *Mutatis mutandis,* mogliśmy powtórzyć to samo przybywszy do Polski. Mimo wszystko cośmy słyszeli, rzeczywistość odrapanych klatek schodowych, nigdy nie odnawianych mieszkań, mrocznych, przeładowanych ludźmi i meblami, była dla nas wstrząsem. Nawet w mieszkaniach nowoczesnych, świeżo wybudowanych, z każdego kąta wyziera słowo: metraż — prawda o stłoczeniu czterech osób w mieszkaniu dobrym dla bezdzietnego małżeństwa. Nie przygotowani byliśmy na to, że szczęściem jest posiadanie kawalerki na peryferiach miasta, kawalerki bez bieżącej wody, z kuchenką wtłoczoną w jakąś wnękę. I przypominały się nam raz po raz słowa z opowiadania Tadeusza Nowakowskiego: ,,Czy pan wie, co znaczy dla młodej kobiety nie mieć łazienki?'' W Warszawie buduje się dziś dużo mieszkań, ale na każde czeka co najmniej 100 osób — według danych prasy krajowej.

W tej samej prasie pisze się, że w ostatnich latach jest w Polsce duży postęp w dziedzinie towarów konsumpcyjnych, m.in. materiałów, ubrań. Mówi się też o tym na miejscu, w kraju. Jakoby kilka lat temu ulice miast wyglądały szaro, bezbarwnie, a teraz widać znaczną poprawę. Jakoby łatwiej jest o zdobycie ubrania a w związku z tym jest mniejsze zapotrzebowanie na rzeczy używane przesyłane z zagranicy (1) — jedynie towar naprawdę dobry ma zbyt. Gdy przeglądaliśmy przed wyjazdem pisma krajowe, a w nich artykuły o modzie i fotografie, mieliśmy wrażenie, że ludzie stanowczo nieźle się ubierają, ba, nawet, że moda w Polsce jest zupełnie zbliżona do kanadyjskiej.

Czy ulica mogła być bardziej szara niż dziś? Czy to się nazywa postęp? Widzi się z radością typ podlotka, zjawisko o którym niemal zapomnieliśmy. Widzi się niewątpliwie wiele ładnych, przystojnych, uroczych kobiet i dziewcząt. Ale kobiety wypielęgnowane, eleganckie, szykowne? Zjawisko niezmiernie rzadkie, nawet w dobrych lokalach. Wypielęgnowanie na co dzień, staranność wyglądu zewnętrznego na użytek biurowy — to praktyki nieznane: jeśli się wystroić, ubrać, umalować — to na niedzielę, na wieczór, do teatru. Dla oka przyzwyczajonego do *good grooming* przez siedem dni w tygodniu, ta niedzielna elegancja jest już czymś niemal egzotycznym.

Zdaje się też, że wydarta została Warszawie palma pierwszeństwa w dziedzinie stroju kobiecego — nieliczne kobiety dobrze ubrane widzieliśmy raczej w Gdyni, we Wrocławiu, czy nawet w Krakowie, niżeli w stolicy. Gdynia jest zresztą lepiej

(1) W chwili gdy to piszę stosunek do rzeczy używanych uległ dalszej rewizji ze względu na nałożenie jednakowego cła na rzeczy nowe i używane.

niż inne miasta zaopatrzona w różne towary ze względu na bliskość portu i większe możliwości ,,kombinacji''.

Zdajemy sobie sprawę, że to małostkowe, a jednocześnie wiemy, że trudno nie zauważyć na ulicy... pospuszczanych oczek w pończochach; dawno nie widzieliśmy ich w takiej ilości. Miejscowe ,,stylony'' nie są oczywiście trwalsze od stale ,,lecących'' nylonów, a cena 150 złotych stanowi znacznie większy wyłom w budżecie niż nasz dolar. Istnieje więc zapomniana już na amerykańskim kontynencie instytucja podnoszenia oczek i panie w kraju proszą o przysyłanie tych, które u nas się wyrzuca...

W sąsiednich Węgrzech istnieje cały przemysł przerabiania zniszczonych nylonów z paczek, mozolnego prucia i snucia na specjalnych maszynach. A w chłodnym wyjątkowo wrześniu polskim ostatniej jesieni niezliczone kobiety obywały się bez pończoch — oszczędność.

Fotografie w ,,Przekroju'' ukazywały nieraz pantofle-szpilki, pantofle o spiczastych nosach. Czy nosi je kto w Polsce? Chyba jedna kobieta na tysiąc, bo wystawy są zarzucone obuwiem o okrągłych nosach, niewątpliwie wygodnym — ale dziś wyglądającym jak stara, pożółkła fotografia. Mówią, że może gdy się skończy wyprodukowany zapas, produkcja przestawi się na te spiczaste... Pewno my wtedy będziemy nosić kwadratowe czy jakieś inne podyktowane nam cudactwo...

Podobnie jest ze wszystkim: wypuszcza się na rynek jakiś typ towaru, wzoru, i sprzedaje się go do nieskończoności, do obrzydzenia, aż się nie wyczerpie. Tak jest z butami. Kapelusze natomiast bardziej przypominają zachodnią modę — przynajmniej te na wystawie, na głowach widzi się je bardzo rzadko. Z innych dodatków stroju kobiecego torebki nawet z imitacji skóry są poza granicami przeciętnego zarobku, przyjęło się więc chodzenie z małymi torbami czy koszyczkami gospodarczymi z plastyku — widzi się je bez przesady wszędzie i o każdej porze dnia. Spełniają też one zadanie funkcjonalne — zawsze można trafić na ogonek, w którym sprzedaje się coś, czego nie będzie jutro, czy nawet za godzinę, co trzeba kupić natychmiast, póki jeszcze jest w sklepie.

Pokolenie starsze i średnie, wychowane na wełnie która była po prostu wełną i niczym innym, nie może się przyzwyczaić do nowej nomenklatury: ,,setka'', ,,osiemdziesiątka'' i ,,zerówka'' — to procent wełny zawartej w materiale. A młodzież dumnie obnosi ładne na oko materiały, w których nie należy... siadać.

Na rynkach Warszawy, Wrocławia, Szczecina gromadzą się ludzie w poszukiwaniu ,,ciuchów''. Przesyłki zagraniczne, jakieś domowe resztki dawnej świetności idą na pół-legalny rynek typu niezapomnianego warszawskiego Kercelaka. Ktoś trzyma futro na ramieniu, ktoś inny ma odbiornik radiowy. Tak jak u wschodniego sąsiada po rewolucji i długo potem. Młoda kobieta wszedłszy na stół mierzy pantofle. Nasz aparat fotograficzny budzi niezdrowe zainteresowanie i propozycje.

Zaczynamy wierzyć: jeśli kulturalnie Polska wciąż jeszcze należy do orbity zachodu, cywilizacyjnie nastąpiło przesunięcie na wschód.

Posiadaczki towaru zagranicznego obnoszą go dumnie, choć jakość nabytków nieraz pozostawia dużo do życzenia. Opowiadano nam o kimś kto przysyła z kontynentu amerykańskiego piękne suknie popołudniowe, które w warunkach polskich nie mają prawie zastosowania — widzieliśmy jedną taką toaletę, która od paru już lat spełnia zadanie ,,modelu'' do reprezentacyjnych fotografii.

Jeśli jeszcze kobiety radzą sobie jako tako przy pomocy tanich krawcowych i dużej pomysłowości, o tyle strój mężczyzn przyjął bardzo demokratyczny wygląd. Czarne berety, brak krawatu, nawet przy temperaturze wołającej o nierozchełstaną koszulę. Nawet w pierwszorzędnych lokalach mężczyzna w białej koszuli i krawacie zwraca uwagę; podobno nie tylko kwestia produkcji, ale i mydła do prania.

Pokolenie młode, wychowane w Polsce wojennej i powojennej nie wierzy rodzicom (klasowo: inteligencja pracująca, najgorzej dziś finansowo sytuowana), gdy opowiadają, że przed wojną można było wszystko kupić, towaru było więcej, ceny niższe wszystko bardziej dostępne. Słuchają tego tak jak nasze pokolenie opowiadań o tym, że przed pierwszą wojną światową wszystko, łącznie z klimatem, było lepsze. A tymczasem i oni i starsi oglądają z zapartym tchem każdy drobiazg zagraniczny. Podziwiają ,,złote'' korki kosmetyków Maxa Factora, plastykowe butelki, pasty do butów — nie wierzą, że te wszystkie misterne i przemyślne opakowania wyrzuca się po zużyciu zawartości. W kraju gdy zwraca się butelki po mleku, trzeba wypełnić szereg formularzy, jeszcze trochę, a zapytają o świadectwo szczepienia ospy...

O ile jeszcze w większych miastach łatwiej jest z kupnem ubrania, materiału, bielizny, o tyle w małych miasteczkach na wsi wygląda to niemal beznadziejnie. Tak beznadziejnie, że Cyganie wykupują materiały w miastach i w swych licznych podróżach sprzedają je po wsiach za podwójną cenę, jako... niebywałą okazję.

Nie na głuchej wsi, ale w miastach widzieliśmy dzieci, które nie wiedzą jak wygląda banan... Na szczęście w tym roku obrodziły miejscowe owoce i były rzeczywiście bardzo tanie, nawet jak na polskie stosunki. Ale w składach gniły jabłka i śliwki, a soki owocowe są rzadkością na rynku: niekiedy można dostać import z Chin. Nie tylko o produkty spożywcze importowane jest trudno — te kupuje się głównie w ,,delikatesach'' i pochodzą z paczek zagranicznych. Z zaopatrzeniem w produkty miejscowe jest równie ciężko. W Szczecinie narzekają na nadmiar wołowiny, we Wrocławiu wieprzowina wszystkim gardłem wychodzi. Polskie wędliny, sery, to już sen przeszłości, wyjątkowo tylko można dostać naprawdę dobre; podobnie z szynką, która idzie na eksport (i wraca... w paczkach

PKO, razem z czekoladą Wedla) i do hoteli „Orbisu". Zakupy gospodarcze to wieczna loteria — nie można planować posiłków, nie można kupować na zapas, bo nie ma lodówek. Planuje się z dnia na dzień, z godziny na godzinę, zależnie od tego, co można w danym dniu dostać w sklepie. Dołącza się do tego drobna szykana poniedziałkowych „dni bezmięsnych".

Widzieliśmy w jednym domu lodówkę-unikat. Podobna do kanadyjskiego Astrala, w cenie odpowiadającej dwumiesięcznemu dobremu zarobkowi. W tych warunkach przestaje dziwić paradoks pozorny utrzymania się służby domowej w kraju — pracująca pani domu nie jest w stanie wystawać w ogonkach, uganiać się za żywnością, tym więcej, że pomoc domowa nie stanowi zbyt wielkiego wyłomu w budżecie — praca jest w Polsce tania, a warunków mieszkaniowych jakie na zachodzie daje się służącej, w kraju nie mają na ogół panie domu.

Przy niskich zarobkach cała energia przerzucona jest na to żeby dobrze zjeść, ewentualnie wypić i jako tako się ubrać. Ci którzy mają potrzeby kulturalne mieszczą w budżecie teatr, koncert, nawet kupno książki — te rzeczy są dość dostępne. Na piękno i estetykę życia codziennego nie starcza pieniędzy i nie ma na nie miejsca w warunkach życiowych. Pisze się w prasie krajowej o dekoracji wnętrz, o nowoczesnych meblach, o polskich tkaninach i ceramice. Te rzeczy są, ale w sklepach Dessa, Cepelii, w mniejszych sklepach spółdzielczych przemysłu ludowego. Widzieliśmy piękne i na nasze warunki bardzo tanie tkaniny meblarskie, narzuty, materiały na zasłony. Ceny ich są poza przeciętnymi możliwościami polskimi. Poza tym nie ma miejsca na estetykę wnętrza w mieszkaniach zatłoczonych ludźmi i gratami, w mieszkaniach, które przestały być domem a są tylko miejscem chwilowego pobytu pomiędzy jednym a drugim dniem pracy.

Mówiono nam przed wyjazdem: nie porównywujcie stopy życia w Polsce i Kanadzie, pamiętajcie o zniszczeniach i trudnościach. Na miejscu dodawano: spółdzielczość, brak inicjatywy prywatnej, brak konkurencji. Ale trudno nie porównywać nie tylko z tym, co jest naszym dniem codziennym — Kanadą, ale i ze stopą życia przedwojennego.

Poprawa na odcinku gospodarczym, o której dużo pisze się i mówi w kraju, jest niewątpliwie widoczna, gdy się ją obserwuje od wewnątrz, gdy się śledzi jej postępy z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc. Trudno jednak ją dostrzec oczami kilkotygodniowego turysty. Owszem produkuje się więcej. Ale trudno jest dostać nawet za ciężkie pieniądze to czego się chce, określony gatunek, kolor. Ceny nie pozostają w żadnej proporcji do zarobków. Trudności zaopatrzenia to nie tylko braki produkcji, ale i organizacja sprzedaży, rozprowadzenie towaru po kraju. Dołączają się też stałe remanenty w czasie których sklep jest zamknięty na szereg dni, rzucanie na wystawę towarów, które w sprzedaży będą za tydzień itp.

Nie ulega wątpliwości, że nastąpiła duża poprawa poziomu

życia wsi, sposobu mieszkania robotnika. Nastąpiła przewartościowanie klasowe jeśli chodzi o stopę życiową na wyraźną niekorzyść wolnych zawodów i inteligencji pracującej. To jest wyraźne dla przybysza z zagranicy — przybysza, którego natychmiast każdy wytypuje, jako obcego: po płaszczu, kapeluszu, kroju obuwia, ba nawet po fasonie okularów.

Obserwujemy i notujemy te fakty, a jednocześnie i inne zjawisko. Ustosunkowanie się ludzi do nich. Występują tu dwa pozornie sprzeczne objawy. Z jednej strony ,,drobne'' niewygody dnia codziennego są czymś do czego ludzie się przyzwyczaili, zwłaszcza jeśli chodzi o młode i średnie pokolenie. Młodzi — bo nie znają innego stylu życia, średnie pokolenie, bo ma jeszcze pewne zasoby umiejętności przystosowania się, a jednocześnie bierze ono udział w różnych aspektach odbudowy kraju i poczuwa się do pewnej odpowiedzialności za stan istniejący i jego przemiany — przynajmniej jeśli chodzi o sytuację gospodarczą. Ludzie ci właściwie nie narzekają na warunki bytu. Po powrocie, gdy w jakimś liście opisywaliśmy dzień powszedni człowieka w Polsce, odpisano nam ,,nareszcie dowiedzieliśmy się jak tam jest, oni nie piszą, bo nie mogą''. Nie, ,,oni'' mogą pisać, mogą mówić, ale już nie zdają sobie sprawy jak bardzo niski jest standard życia w Polsce. Przyzwyczaili się do istniejącego stanu rzeczy, cieszą się z nowych towarów na rynku, z potencjalnej przynajmniej możności kupna. W ciągu pięciu lat wojny wydawało się już czasem niemożliwością wspomnienie, że przed tym można było wszystko kupić, bez kartek, bez ogonków. Dla tych którzy w Polsce pozostali, ten stan przeciągnął się poza lata wojenne, ten stan trwa i nic nie wskazuje na to by miało nastąpić radykalne polepszenie.

A jednocześnie drugie zjawisko: jeśli już coś krytykuje się w Polsce, to właśnie warunki gospodarcze, ale raczej w sensie szerszym, nie od strony kuchennej. Około tych zagadnień obraca się dowcip gazetowy, pisma humorystyczne, teatrzyki satyryczne i rozmowa ludzi znajomych i przygodnie spotkanych. Najbardziej czuli na tę stronę życia są taksówkarze: wielu z nich pracuje jeszcze na własną rękę, nie należąc do spółdzielni. Są też oni ostatnimi bastionami prywatnej własności; przy ciężkiej pracy mogą sobie pozwolić na stosunkowo wyższy standard życia a nawet mogą oszczędzać; są też gnębieni gospodarczo na każdym kroku. Jeśli ktoś z rodziny chce przysłać z zagranicy auto, sprawa upada — cło jest płatne po 50 zł od kilograma, lepiej więc się opłaca kupić ,,Warszawę'' czy sowiecki model; opłaca się — ale w razie kupna zaczynają się dłuższe perypetie z urzędem podatkowym, któremu trzeba udowodnić stosem papierków skąd się wzięło pieniądze na tak poważną inwestycję.

Jest jeszcze trzeci aspekt ustosunkowania się do warunków życia, do przymusowo obniżonej stopy życiowej. Nazwijmy go brawurowo-propagandowym. Występuje on rzadko w samym kraju, znacznie częściej natomiast u osób przyjeżdżających do

nas na krótkie wizyty. Syntezą tego stanowiska jest wypowiedź młodej, wykształconej, a czupurnej osoby, która po kilku tygodniach pobytu w Kanadzie zdecydowała: „Wy tu pracujecie na wasze lodówki, a my dla Polski". Brzmi to wprawdzie bardzo po polsku, ale jednocześnie i bardzo naiwnie; niski standard życia można ewentualnie uznać za zło konieczne, przesadą natomiast jest czynić z niego ideał, czy wzór do naśladowania.

Tak jak taksówkarze, tak niemal wszyscy w kraju psioczą na stosunki. Ale, zaznaczmy: na stosunki gospodarcze, ewentualnie na stosunki w pracy. Jeśli powtarza się raz po raz zdanie „nie dają żyć", to znaczy to: nie pozwalają (zawsze ci mityczni „oni") na pomyślniejszy rozwój ekonomiczny, na podniesienie stopy życiowej, lub sprzyjają atmosferze intryg i „wygryzań" w pracy. Skarżą się na to wszyscy, nawet, o ironio, członkowie partii. Inteligenci pokolenia średniego i starszego sarkastycznie mówią o „awansie społecznym" — nie tyle o podniesieniu poziomu gospodarczego wsi, ile o wejściu wsi do życia kulturalnego, społecznego, politycznego; narzekają na to specjalnie ci, którzy będąc na placówkach kulturalnych, wydawniczych itp. w codziennej pracy stykać się muszą z ludźmi o pośpiesznie zrobionych dyplomach i całkowicie niewystarczającym przygotowaniu do powierzonej im pracy.

A krytyka ustroju politycznego? Powiedzmy sobie uczciwie: właściwie nie istnieje. Nie dlatego by ludzie się bali, nie ze względu na ograniczoną swobodę wypowiedzi. Owszem, mówią dużo i chętnie, nawet niespodziewanie szczerze o ucisku w okresie, który się nazywa „minionym", w epoce stalinowskiej. Inteligencja pokolenia średniego często używa z wyraźnym przekąsem terminu „w naszej Polsce Ludowej"; niektórzy mimochodem wzmiankują o nacisku na wstąpienie do partii, jako warunku wykonywania zawodu, ale dziwnym trafem bliższe wniknięcie w sytuację wykazuje pod podszewką różne mętne sprawy łapówkowe i inne. Nawiasem mówiąc tych spraw jest bardzo dużo i z przerażeniem można śledzić potworne wpływy jakie pozostawiła na psychice ludzkiej wojenna edukacja. Ale w dziedzinie, którą można nazwać systemem policyjnym, panuje wyraźnie pragnienie by utrzymany został *status quo* — pewna swoboda, rozluźnienie obroży, byle tylko nie wróciły potworne „minione lata". Ale jeśli chodzi o ustrój polityczny w pełnym słowa znaczeniu, nastąpiło jeśli nie otępienie, to zdecydowane przystosowanie się do sytuacji. Czy się nam to podoba czy nie, czy pokrywa się z emigracyjnym spojrzeniem na zagadnienie, w Polsce panuje powszechne i zdecydowane przekonanie, że współpraca z Rosją jest jedynym możliwym rozwiązaniem, zwłaszcza wobec niebezpieczeństwa niemieckiego grożącego Ziemiom Odzyskanym. Przejścia ostatnich lat dwudziestu przytłumiły polski butny romantyzm, ustępując miejsca realizmowi w ocenach politycznych. Jest w tym też i niewątpliwy efekt polityki reżymowej; truizmem jest, że człowiek głodny nie buntuje się — w Polsce nie ma wprawdzie ludzi głodnych, z wyjąt-

kiem może rencistów, ludzi starszych i najbardziej finansowo upośledzonych. Ale reszta, choć nie jest głodna, jest tak zaabsorbowana sprawami życia codziennego, kłopotami mieszkaniowymi, gospodarczo-domowymi, że na problemy szerszej natury nie starcza już energii.

Dołącza się do tego zagadnienie młodzieży wychowanej po wojnie, która zna tylko jedno życie: w Polsce Ludowej, w jej trudnościach ekonomicznych. Młodzież ta bardziej może jeszcze niż rodzice pragnie nie tylko pokoju i spokoju, ale jakiego takiego unormowania warunków życiowych i lepszej przyszłości — w ramach istniejącego ustroju. A przyszłość ta wygląda bardzo niewesoło. Nie poprawia sytuacji wzajemny stosunek ludzi do siebie, atmosfera podejrzliwości i nienawiści, zarysowująca się najwyraźniej w stosunkach w miejscach pracy. Polska zdolność do wygryzania i podgryzania w warunkach powojennych doszła do granicy, którą określić można tylko jako *homo homini lupus est;* intrygi, ,,kumoterstwo'' (poparcie udzielone krewnym i przyjaciołom) to chleb powszedni człowieka pracującego. Opowiadań o stosunkach w tej dziedzinie na Zachodzie ludzie w kraju słuchają jak baśni. Przeniesienie ich do kraju wymagałoby przeorania całej psychiki narodowej, spaczonej dodatkowo przez lata wojenne i to co nastąpiło potem.

W ustosunkowaniu się do emigracji, jako zagadnienia, nastąpiły dość duże przemiany w ostatnich latach. Mam oczywiście na myśli szarego człowieka, a nie linię oficjalną. Zrozumiano wreszcie, że emigracja nie może stanowić wyobcowanych grup w społeczeństwach, w których żyje, ale musi w nie wchodzić, zlewać się nawet, jeśli chodzi o młode pokolenie.

Zdaje się, że ożywiony ruch turystyczny z krajów Zachodu wyprostowuje pewne pojęcia. Że dzięki niemu emigracja przestała być jakąś abstrakcją i mitem, została przybliżona poprzez kontakt z żywymi ludźmi, poprzez wymianę myśli i zdań.

Ożywiony ruch turystyczny, to osobny rozdział. ,,Polska jest nieprzygotowana na turystów'' — to zdanie słyszy się w Polsce na każdym kroku, a przede wszystkim od taksiarzy, którzy są zawodowo w stałym kontakcie z przybyszami spoza granic Polski. Dodać jeszcze trzeba: Polska jest w szczególności nie przygotowana na turystów indywidualnych. Na indywidualizm w Polsce współczesnej nie ma miejsca, nawet gdy chodzi o gości z zagranicy.

A przybyszów tych jest dużo. Znaleźliśmy się w kraju w okresie posezonowym, we wrześniu, kiedy minęła już główna fala wycieczek ze Stanów i Kanady oraz z zachodnio-europejskich krajów. Mimo to roiło się od ościennych turystów — Rumunów, Bułgarów, Węgrów, Czechów. Jakaś wycieczka czeska szła nam po piętach od Wrocławia poprzez Kraków do Warszawy; gubiliśmy ją na dzień-dwa, gdy zbaczaliśmy z utartego szlaku, by w najbliższym hotelu ,,Orbisu'' rozpoznać te same twarze, te same rozchełstane kolorowe koszule, ten sam hałaśliwy sposób bycia.

Portier w „Grand Hotelu" warszawskim zagadnięty o wycieczkę czeską mruknął tylko z rozpaczą: „Gdyby to tylko jedna". W Krakowie czekać trzeba było przeszło godzinę na dostanie się do sali restauracyjnej, niedużej i nieobliczonej na tak gromadną publiczność. A co się musi dziać latem?

W innym hotelu „Orbisu" trzeba było pół godziny przebijać się przez satelickie tłumy, by dostać się do stolika recepcyjnego i — w konsekwencji — do zamówionego (na szczęście) pokoju.

Nic więc dziwnego, że jest wyraźny odcień różnicy w ustosunkowaniu się do tego typu wycieczek i do „prywatnego" turysty i to z kraju tak atrakcyjnego w opinii polskiej jak Kanada; na najniższym nawet szczeblu docenia się „indywidualność" zwłaszcza popartą napiwkiem.

Hotele „Orbisu" to niewątpliwie jedno z najważniejszych dokonań dla wygody turystów z zagranicy. Urządzenie korzystne dla obu stron. Jak wiadomo ceny „orbisowe" są skalkulowane na zasadzie oficjalnej wymiany 24 złote za dolara. Tubylcy, przyjaciele i znajomi oburzali się na zdzierstwo, na niesamowite ceny płacone przez nas za pokój hotelowy. Ale powiedzmy sobie szczerze: turysta korzystający z udogodnień „Orbisu" nie jest pokrzywdzony, można by natomiast kwestionować konieczność oficjalnej wymiany dolarów „na wydatki hotelowe" dla tych, którzy z hoteli nie korzystają. Turysta kanadyjski czy amerykański, płacąc w rzeczywistości siedem czy osiem dolarów za podwójny pokój, ma w nim te wszystkie wygody, do których jest przyzwyczajony i za które na pewno nie zapłaciłby mniej na swoim kontynencie.

W warunkach polskich hotele „Orbisu" są oazą luksusu — a za luksus trzeba płacić. Zdarzyło się nam w ciągu naszej podróży mieszkać w hotelu miejskim — taniej i odpowiednio niewygodnie i w domach prywatnych na prowincji — za każdym razem wzdychaliśmy do hoteli „orbisowych" do miłych pokoi, do wygodnych łóżek i czyściutkich łazienek.

Hoteli „Orbisu" poznaliśmy pięć. Najprzyjemniejsze wrażenie pozostawił wrocławski „Monopol". Wspaniały stary hotel, z którego jakoby Hitler dyrygował w roku 1939 inwazją na Polskę. Czarująca lwowska obsługa. Ogromny pokój, w którym według metrażu krajowego można by pomieścić dwie rodziny — inne pokoje hotelowe poznane przez nas były malutkie i przeznaczone wyłącznie do spania.

W dekoracji wnętrz hotelowych wykorzystuje się w tej chwili w sposób estetyczny polską sztukę ludową i pół-ludową. Wszędzie w pokojach, w salach restauracyjnych i barach, na stołach polska ceramika, — wazoniki, popielniczki, nawet kandelabry i zapasowe świeczniki na wypadek przerwania prądu; lniane tkaniny na łóżkach i takież zasłony na oknach. Przystosowanie wyrobów polskiego rynku w ich najlepszej formie do potrzeb hotelowych, zapoznanie z nimi na miejscu zagranicznego turysty, to rozwiązanie bardzo dobre i estetyczne.

Kulinarnie restauracje ,,Orbisu'' stoją bardzo wysoko. Potrawy przyrządzone smacznie, podane estetycznie. Jadłospis uwzględnia polskie specjalności, jak chłodnik, kołduny, flaki. Menu w trzech językach, ale tłumaczenia nazw potraw dość wątpliwe i autentyczni cudzoziemcy na pewno nieraz znajdują się w sytuacji Amerykanina z anegdotki, który o cokolwiek poprosił dostawał befsztyk. Ceny — tak jak wszystko — niskie dla turysty, który wymienił w PKO dolary, ale potworne dla tubylców. I tu się rodzi mit o dolarach leżących na ulicy o łatwości życia na kontynencie amerykańskim.

Słyszeliśmy przed wyjazdem sporo narzekań na obsługę restauracyjną w hotelach ,,Orbisu''. Według informacji miejscowych rekrutuje się ona głównie ze zredukowanych urzędników i zapoznanych geniuszów. Gdy przy pierwszym śniadaniu na nowym terenie poprosiliśmy kelnerkę o pośpiech, odpowiedź brzmiała: ,,My staramy się podać jak najprędzej, ale zaplecze szwankuje''. Oniemieliśmy na chwilę. Znaliśmy to słowo z drętwo-mównych artykułów, ale ten kontekst był dla nas niezrozumiały. Po minucie wybuchnęliśmy tłumionym śmiechem — to zaplecze to kuchnia, która nie może nadążyć z zamówieniami. Słowo ,,zaplecze'' będzie zresztą raz po raz powracało w rozmowach. Ale na obsługę kelnerską, nie mieliśmy powodów narzekać — czasem lepsza, czasem gorsza, na ogół wywiązywała się zupełnie dobrze ze swych obowiązków. Niewątpliwie w okresie letnim, kiedy sale są pełne, sprawa ta wygląda inaczej, ale trudno winić o to pracownika, winna jest organizacja.

Hoteli ,,Orbisu'' jest w tej chwili za mało i nie wystarczają nawet na po-sezonowe potrzeby. Najbardziej daje się to odczuć w Warszawie i Krakowie. Ale i na prowincji są cuda. W jednym z hoteli mieliśmy dłuższe perypetie z uzyskaniem pokoju, mimo, że ,,Orbis'' obowiązany jest ulokować turystę z zagranicy; sytuacja wyglądała na niedwuznaczne oczekiwanie na łapówkę (ostatnie miejsce gdzie bylibyśmy skłonni ją dać) i ukoronowana została propozycją wymiany dolarów. Ale, jak powiedzieliśmy najgorzej jest w Krakowie i Warszawie.

Przez Kraków przewijają się tradycyjnie wycieczki i indywidualni turyści z całego świata. Stały brak pokoi, stałe przeładowanie malutkiej salki restauracyjnej. W Warszawie trzeci hotel, ,,Europejski'', który miał być gotów już dwa lata temu, jest wreszcie w końcowej fazie dekoracyjnej i właśnie kupuje się do niego antyczne meble w sklepach Dessa. Nie jesteśmy jednak pewni czy nawet ten dodatkowy hotel rozwiąże warszawskie problemy. W całej Polsce, a w Warszawie zwłaszcza, odbywają się niekończące się i niezliczone zjazdy; w początkach września gdy przybyliśmy do Warszawy odbywało się tam właśnie pięć międzynarodowych zjazdów (filateliści, przyjaciele UNESCO, krytycy sztuki i wielu innych); poza tym gościł właśnie prez. Novotny z czeską delegacją, powiększając tłok. Pod koniec września, w czasie drugiego naszego pobytu w Warszawie, francuski był językiem niemal panującym w hotelu; odby-

wał się właśnie mecz piłki nożnej Francja — Polska, obok zawodników roiło się od dziennikarzy. W Szczecinie natrafiliśmy na zjazd ping-pongistów i zawody pływackie z udziałem ,,lepszych'' Niemców. A przecież hotele ,,Orbisu'' również przyjmują krajowców, wyższych urzędników, przybyłych jak się tam mówi w różnych ,,delegacjach''. w tej sytuacji znak ,,wolnych pokoi brak'' i ,,zamówień telegraficznych nie przyjmujemy'' nie schodzi prawie z biurka recepcyjnego. Nawet jeśli ma się pokój zamówiony należy być przygotowanym na niewygodne niespodzianki.

Przyjeżdżamy do Warszawy wczesnym popołudniem. Pokój jest zamówiony od pół roku. Ale doba hotelowa zaczyna się o 6-ej po południu. Czeka się ,,na walizkach''.

O ile ceny hotelowe i restauracyjne mają jeszcze swoje uzasadnienie, o tyle inaczej przedstawia się sprawa z ,,orbisowymi'' taksówkami. Stoi zawsze kilka przed hotelem. Wygodnie, bez kłopotu. Ale mały *catch* — liczą sobie za kurs 3 razy więcej niż inne. Taksówki nie są teraz zresztą problemem w Warszawie; nawet Poznań ma ich 700.

Inne, reklamowane przez ,,Orbis'' usługi też nie przedstawiają się najlepiej. W Gdańsku chcemy wynająć auto z kierowcą na pół dnia. W naiwności zwracamy się do biura ,,Orbisu''. Drzwi z napisem najbardziej odpowiadającym naszej sytuacji: ,,obsługa wycieczek z zagranicy''. Pytamy czy obsługa dotyczy tylko wycieczek, czy również indywidualnych turystów. ,,My załatwiamy tylko wycieczki zlecone'' — niemniej po chwili urzędniczka przejawia zainteresowanie ,,Auto? oczywiście, załatwimy, proszę tylko złożyć zapotrzebowanie na piśmie''. ,,A kiedy można się spodziewać załatwienia?'' ,,Za jakiś tydzień''. Ponieważ wszelka odpowiedź z naszej strony wypadłaby nieparlamentarnie i mogłaby być poczytana za obrazę urzędnika, wychodzimy w milczeniu.

Podobnie wyglądają próby uzyskania w ,,Orbisie'' biletów teatralnych czy informacji ściśle turystycznych, przekraczających szablon rozkładu jazdy. Niestety istnieje ogromna przepaść pomiędzy prospektami rzucanymi na zagranicę, a wywiązywaniem się z zadania na miejscu.

Uciemiężona indywidualność turystyczna doznaje największego szoku w Malborku. Oglądać zamek można tylko z wycieczką. To znaczy w naszym wypadku z wycieczką dzieci szkolnych pod wodzą jakiegoś ,,profesora'' (niewątpliwie szkoły podstawowej), który przez dwie godziny ględzi w sposób nie dający się opisać. Droga cena za obejrzenie bastionu krzyżactwa. Lepiej jest na szczęście z Wawelem.

Równie smętnie przedstawia się sprawa szczegółowych map czy dobrych wydawnictw turystycznych, przewodników nawet polskich, nie mówiąc już o językach obcych. A przecież ,,na oko'' wydaje się tych rzeczy w Polsce dużo.

Do pokazania w Polsce cudzoziemcom jest wiele. Ale na to trzeba nie tylko wiele obiecujących prospektów, ale

i dobrej organizacji na co dzień, wykonania sprawnego i to z uwzględnieniem podstawowego faktu, że podróżująca ludzkość dzieli się na dwie bardzo odrębne grupy: tych, którzy kochają zbiorowe wycieczki, i tych, co lubią chodzić własnymi ścieżkami.

Pytano nas po powrocie o wspólny język z ludźmi z kraju. Najłatwiej było nam rozmawiać z własnym, średnim pokoleniem, z tymi którzy jak my dorastali w okresie Niepodległości, z tymi, którym wojna, powstania — jak nam — zabrała najlepsze lata życia. Z radością stwierdzaliśmy, że ich pozostanie w kraju, czy nawet powrót do niego nie zostały całkowicie zmarnowane.

To pokolenie, które po wojnie znaleźć się mogło w bezklasowej i bezzawodowej szufladce niedouczków, bez miejsca w nowym świecie, to pokolenie w międzyczasie pokończyło studia, znalazło pole do działania i zdobyło to, czego nam zabrakło w naszej wędrówce: możność pracy we własnym zawodzie, możność tworzenia. Zazdrościmy im przez chwilę bardziej pełnego, bogatego życia, ale szybko otrząsamy się z tego uczucia, wiedząc, że płacą drogą cenę, że pracują w bardzo ciężkich warunkach, w trudnym klimacie psychicznym. Ścieraliśmy się z tym pokoleniem, które nieraz czupurnie zajmowało postawę *right or wrong — my country*. Ale to postawa, której nie wolno nie szanować. Ci ludzie włożyli i wkładają swoją cząstkę w odbudowę kraju, są jego elementem składowym, życie poza jego granicami wydaje im się niemożliwością.

Pytano nas też po powrocie cośmy wynieśli z wizyty do Polski. Czy jest to lekarstwo na zabicie tęsknoty, czy niepotrzebne rozdrapywanie zasklepionych ran. Odpowiedzi jest tyle, ile osób jadących do kraju. Każdy z nas wyszedł z Polski z pewnym bagażem ideowym, wspomnieniowym czy przeszłościowym. Jedni starali się go skrzętnie pielęgnować, dawać mu wciąż nową pożywkę, nie pozwalając by cokolwiek z zewnątrz, ze świata w którym dziś żyją, wkroczyło w ich krąg odizolowanych przeżyć. Dla tych wyjazd do Polski jest na pewno wielkim przeżyciem. Czy korzystnym, wątpimy. Pogłębi się ich uczucie obcości i odrębności kraju, w którym żyć wypadło, zaostrzy się konflikt między nimi a otoczeniem.

Inni, mimo obciążeń przeszłościowych, starali się wejść w świat, w którym żyją. Starali się go zrozumieć i na ile to możliwe, stać się jego cząstką. Dla tych wyjazd do Polski ma inną wymowę. To konfrontacja wspomnień. To uświadomienie sobie, że to cośmy pamiętali przestało istnieć. W to miejsce przyszły rzeczy nowe. Ale dla tej grupy turystów zetknięcie się z Polską na nowo, to nie sentymentalne przeżycie. Przeciwnie, to tragiczne w pewnym sensie stwierdzenie faktu, który już dawniej przeczuwaliśmy — że niemal wszystko co w Polsce zastaliśmy jest nam obce, że oglądaliśmy ją tak, jak turyści oglądają obcy i daleki im kraj. Z suchymi oczami.

Jadwiga JURKSZUS-TOMASZEWSKA

Kosynierzy

Kazimierz Rusinek pochylił głowę, poprowadził po niej moje palce.

Wyczułem nierówność czaszki, znałem to. Tyleż bo już ludzi kładło mi palce na głębokie blizny na głowach: kacetowcy, jeńcy, deportanci, żołnierze — wielka panorama losu polskiego. Twarda to rzecz — czerep.

— Kolbą?

— Nie, specjalnym narzędziem, którego ciężarek uderzeniowy wyskakuje przy zamachnięciu na stalowej sprężynie, która go znowu wciąga.

— W którym kacecie? (Tyleż przesączyłem kacetowców, jeszcze tegom nie znał).

— Toruń 1930.

Człowiek, z którym rozmawiałem był wiceministrem, a rok był 1960. I dzień pamiętam — 10 grudzień, bo pojutrze świtaniem odlatywałem już z Polski.

Przyszedłem do Kazimierza Rusinka w ostatniej niejako chwili. W ,,Czytelniku'' właśnie wczoraj złożyłem ukończony rękopis książki o wiekach walki o Pomorze Gdańskie, od szlaków kupców arabskich i rzezi 1308 r. po napad 1939 r. i prace w dolinie Łaby, w 1960. Część VII o 1939 roku, idąca po cz. VI o dorobku 20-lecia zatytułowana ,,Twierdzą nam będzie każdy próg'' miała rozdziały: ,,Rybacy'', ,,Pocztowcy'', ,,Żołnierze'', ,,Przedstawiciele Rzplitej''. Tutaj przyszedłem po materiał dla rozdziału ,,Robotnicy''. Bo to Kazimierz Rusinek był twórcą robotniczego batalionu ,,Kosynierów''.

Przychodziłem do informatora-marksisty z wyostrzonym zainteresowaniem. Właśnie przeszła nade mną ulewa pouczeń, w której epikurejczycy cywilizacji pozamieniali się w statystów gromiących mnie za ,,bohaterszczyznę''.

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Była to książka o oficerze zawodowym, mjr. Hubalu, który walczył ,,bez sensu''. Każdy intelektualista rzekomo powinien piętnować romantyzm patriotycznej parafiańszczyzny.

A oto tu ten marksista pochyla nadtłuczony łeb, patrzy ślepiami, które na każdym skrzyżowaniu świata rozpoznałbyś jako polskie i mówi:

— Można z perspektywy lat, przy zimnej ocenie faktów i prawideł wojny, patrzyć na ów czyn z uśmiechem na twarzy. Zestawienie kosy z czołgiem, pikującym samolotem i bronią maszynową — no cóż...

Te ,,no cóż'' zawisa w powietrzu jak krnąbne *ceterum censeo,* jak ,,nic to'', które Wołodyjowski przekazał żonie.

Na odlot ponowny w komforty świata — silny to byłby sam w sobie zabieg, te kosynierskie wspominki. Wystarczyłby. A tu nagle — ten łeb rozbity w Toruniu ,,specjalnym narzędziem''.

W Toruniu... w 1930... latem... Co ja wówczas robiłem? Aha, siedziałem w Marienbadzie.

Spóźniłem się, rozgarniając po trzydziestu latach temat jak te włosy, które zarosły bliznę. Głęboko rozgarniając. Aż po 1923 rok, kiedy syn krakowskiego kolejarza otrzymuje maturę, aż po 1928 r., kiedy absolwent seminarium nauczycielskiego, adept Szkoły Dramatycznej, Szkoły Dziennikarskiej, ląduje po raz pierwszy jako redaktor ,,Walki Ludu'' w rodzimym więzieniu.

Nie, na pewno nie pójdę ścieżką wyklinania tych, którzy sadzali Rusinków do więzień. Ale droga Rusinków miała swoją zapoznawaną w Polsce prawdę. Prawdę, że była polska i że była niełatwa.

No i już ta droga doszła do Torunia. W 1930 pepeesowcy tego miasta wyłamali się z dyscypliny partyjnej, nie poprzestali na powzięciu rezolucji — szli ją wręczyć wojewodzie.

Na szosie ścisnęła ich uhełmiona policja. Padły strzały — obustronne. Zapachniało barykadami, przez umysły władców cwałowały czerwone widma. Aresztowano trzydziestu. Syn pepeesiaka, zbuntowany członek Rady Naczelnej, Rusinek, dostaje wyrok na sześć miesięcy.

Następuje ,,poprawka''. Tak uzupełniał praworządne wyroki komisarz Kajdan, tak uzupełnił przodownik Muraszko, tak skorygował wymiar sprawiedliwości przodownik Żółkiewski, zadając więźniowi ,,specjalnym narzędziem'' trzydzieści jeden ran. Lekarz, którzy je stwierdził, był uczciwy, prokurator Wiśniewski, który nie dał umorzyć śledztwa, dopiął skazania Żółkiewskiego i wyrzucenia ze służby — był uczciwy. Ale i prokurator wyleciał.

Taka... polska huśtawka na przestrzale totalizmów, ciągnących światami.



Po całym globie najradykalniejszy, najbardziej czerwony lud, to portowcy i marynarze.

Wyłamujący pepeesiak, jednofrontowiec, Rusinek, znalazłszy się na Wybrzeżu jako wiceprezes Związku Transportowców wziął wiatr w żagle. Był rok 1935, umarł Piłsudski, jego rozbity obóz po omacku improwizował społeczne programy od liberałów Kościałkowskiego po OZON zerkający na skrajną prawicę. Na Grabówku, robotniczym przedmieściu Gdyni, wrzało i pyrkotało. Zawszeć to oblatany ten lud morski, a na świecie wyrastały złe moce, czego nie czuła polska parafia.

Komisarz Rządu na Gdynię, Sokół, sam to rozumie, że chmura narasta. Można tam polować z Göringiem w Białowieży, można tam w Warszawie, statystować... Ale co do korytarza Niemcy nie pozostawiają wątpliwości, trzeba na siłę to ich nastawienie przeoczać. Są przyjacielscy, ale tu nie pozostawiają złudzeń. ,,Na, na'' — klepał mnie po ramieniu uspokajająco turysta niemiecki, kupiec meblami w Stuttgarcie, z którym spotkaliśmy się w Danii na grobie Hamleta — ,,my to od was kupimy, ten korytarz, w handlu gniewu nie ma''.

Sokół gospodaruje na tej ziemi, poczuł jej dech sprzed wieków. Tu nigdy o tę ziemię nie było handlu, tu zawsze decydował miecz. Nie, Sokół tego nie może przeoczać, nie chce.

Ten Rusinek tu zjechał jako bardzo niepożądany gość na teren, zaraz pocznie ryć krecie chodniki.

Ale tak się dziwnie staje, że nagle Sokół, polewany zimną wodą przez politykierów z Warszawy, poczyna coraz bardziej czuć w czerwonym Rusinku oparcie. Nie przyznaje się sam w sobie do tego, ale poczyna powtarzać, że ,,ci komuniści, to by z nożem szli na faszystów''. A na Niemców sam Sokół z nożem by leciał.

No i tak się zdarza, że kiedy narastają dni Zaolziańskie, kiedy Beck szykuje się, jak mi to mówił już na wygnaniu w Rumunii ,,z każdym sukcesem niemieckim łączyć jakiś sukces polski'' — komisarz Sokół zezwala na manifestację antyniemiecką.

W sierpniu 1938 roku pochód dwudziestotysięczny protestuje przeciw polityce Senatu Gdańskiego. Dwa tysiące się oddziela, ciągnie na Orłowo, nad granicę Wolnego Miasta Gdańska. Zastępuje im drogę oddział policji. Ale to już nie starcie z policją na szosie Toruńskiej. Bo przecie wiadomo — burza idzie.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

29 sierpnia, po odwołaniu mobilizacji, zbiera się konferencja u komisarza Sokoła. Rusinek jest na niej. Przedstawiciel gen. Bortnowskiego twierdzi, że są jeszcze szanse odwrócenia wojny. Sokół i Rusinek wymieniają spojrzenia.

Nad ranem z dnia 31 sierpnia na 1 września padły bomby. Niemieckie uderzenie poszło na Kack Mały i Wielki, Wysoką i Osową, a w Gdańsku na Westerplatte. U Sokoła zbiera się narada wojskowa. Na niej Rusinek poznaje płk. Dąbka. Ten dowódca 52 płk. piech. w Złoczowie, ma wiele wspólnego z mjr.

Sucharskim, który broni Westerplatte. Syn chłopski z Małopolski, jak i Sucharski, obaj kawalerowie Virtuti z tamtej wojny, obaj przysłani przed niedawnym czasem na Wybrzerze. Są trzy ogniska obrony: Hel, Westerplatte i Wybrzeże. Obroną Wybrzeża dowodzi płk. Dąbek. Cóż ma w ręku?

Z wojsk regularnych cztery baony strzelców morskich, trzy baony rezerwowe Straży Granicznej i Kadr Floty, trzydzieści dział i działek najróżniejszych kalibrów. Poza tym gorzej przećwiczone i niedozbrojone trzy baony Obrony Narodowej. Wszelkie przedłożenia nie odnosiły skutku u gen. Bortnowskiego. Po cóż im zwiększać stan uzbrojenia? Przecież mają się trzymać jakie dziesięć godzin, aż ich wyzwoli armia ,,Pomorze'', zmiecie Gdańsk, wkroczy do Gdyni.

— Na stan 14200 szeregowych — informuje płk. Dąbek — mam 10,800 karabinów.

— Wczoraj skierowano do nas transport kolejowy z bronią i amunicją — mówi mjr. Rawski, szef służby uzbrojenia i nagle ucina: przecież transport, skierowany drogą kolejową przez Gdańsk, zamiast przez magistralę Śląsk-Kościerzyna-Gdynia już jest w rękach niemieckich.

Zapanowało ponure milczenie. Ktoś bez przekonania mówi:

— Znaleźliśmy przypadkowo w jednym z wagonów cztery działka 40 mm przeciwlotnicze. (Mała to pociecha, to nie siedemdziesiątki piątki).

— Żebym choć czapki mógł dać rezerwistom — mówi Dąbek.

Ktoś przypomina, że w porcie jest transport hełmów, przeznaczonych na eksport.

— Damy im hełmy.

Przychodzi wiadomość, że bombardowany jest Tczew, Kartuzy, Chojnice, Starogard, Kościerzyna, Wejherowo.

— Czas na mnie — podrywa się Dąbek.

Dzwoni telefon z kancelarii prezydenta. Dyr. Łubieński pyta — czy i u was wojna?

— Panie pułkowniku — pręży się Rusinek (jest oficerem rezerwy, ale przyszedł po cywilnemu) — formuję bataliony robotnicze, nie mamy broni.

Dąbek od razu przechodzi na ,,ty'':

— Bierz ich do kopania pozycji. Będziemy uzbrajać stopniowo.

◆

Rusinek biegł do koszar Szkoły Morskiej, przebijając się przez prąd spanikowanych letników, którzy nadciągali zewsząd i zablokowali dworzec.

Na podwórcu koszar, na ulicy przed nimi kłębił się tłum innego rodzaju — młodych mężczyzn wyciągających ręce po broń.

Rusinek zna ich. To towarzysze. To z nimi szedł ławą w lutym do wyborów Rady Miejskiej. Uzyskali 15 mandatów, sanacja 2.

Towarzysze Bigus (dzisiejszy przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdyni) Czerwiński, Jacynak, Hila, Karwowski, Kleman, Werner, Albekier, Wolicki, Jarecki, Murawa, Danielewicz są z tymi ludźmi.

— Broń? — patrzy po nich posępnie Rusinek — nie ma broni. Żołnierze jej nie mają. Każcie... — zacina się — każcie zdać jakąkolwiek kto ma (1).

W Gdyni bomby sypią się na koszary marynarki wojennej, na magazyny portowe, na nabrzeże. Kondory sieją dwieście pięćdziesięciokilówki na miasto, Sztukasy pikują na zebrane tłumy ze świstem. Z niebywałą szybkością nadbiegają wieści, że przed koszarami w Pucku został zabity dowódca morskiego dywizjonu lotnictwa komandor Szystowski, że wyrzynają w Gdańsku pocztowców.

Bigus, Murawa, Danielewicz patrzą pytająco. Tłum wołający o broń coraz wzbiera. Między robotnikami — harcerze, niedorostki, młode dziewczęta. Co robić?

— Towarzysze! — włazi na skrzynkę Rusinek — nim dostaniemy broń, dajmy osłonę walczącym. Formujmy bataliony fortyfikacyjne. Po łopaty!

Mniej było tych łopat niż ludzi. Pierwszy szturm był na żałosne zasieki biurokracyjne. A zapotrzebowania, a pieczęć? A cóż to za podpis: Kazimierz Rusinek, komendant batalionów robotniczych.

Natarcie od strony Gdańska powstrzymano na linii Orłowo — Chwarzno, ale od zachodu Niemcy się pchali. Pod prąd uciekinierów rusza na Wejherów pierwsze dwa tysiące ludzi. Budują okopy, stawiają przeszkody przeciwczołgowe, przekopują drogi, ścinają drzewa. I już wówczas okazuje się, że raz po raz nie ma osłony przed nimi, że nagle zielonkawe sylwety z bronią maszynową atakują ludzi zbrojnych w łopaty.

I wtedy, już od pierwszego dnia niemal, świta myśl o jakiejkolwiek białej broni. Ludzie nie chcą bezsilnie umierać.

Na „czerwonym" Grabówku staje kwatera „komendanta" Rusinka. W dniach największego nasilenia pracowało 5.000 ludzi. Wobec tego, że pracują bez osłony, że ogarniają ich Niemcy, otrzymują karty wcielające do wojska. Ale czyż te karty, które będą ku Niemcom wyciągać cywilne łapserdaki zaimponują drylowatym żołdakom? Czy czaszki „cywilbandy" nie będą rozbijane przez kolby karabinów?

Udaje się jakiejś tam części dać te uratowane z eksportu hełmy.

Dąbek walczy. Przez pierwsze dni opór stawiają oddziały straży granicznej. Niemcy znając plan polski, wyznaczający Wybrzeżu drugorzędną rolę, przypuszczają, że Polacy wycofają się ku armii Bortnowskiego, więc ich natarcie idzie raczej w dół, ażeby odwrót odciąć.

---

(1) Znieśli co kto mógł. Kpt. Szolc w Szefostwie Uzbrojenia otrzymał 25 sztucerów, 40 dubeltówek, 80 rewolwerów i... 80 noży myśliwskich.

Ale po dwu dniach wyjaśnia się, że Polacy nie mają zamiaru wycofania się i nacisk niemiecki powiększa się i od zachodu. Dąbek uważa, że należy się bronić atakując. Wszystkie dni tych tragicznych walk, aż do śmierci samobójczej płk. Dąbka, to dziewiętnaście dni nieustannej inicjatywy polskiej, podejmowanej coraz niklejszymi siłami.

W nocy z 3 na 4 września (maskując właściwy kierunek uderzenia wypadem z pociągu na Kack Wielki), płk. Dąbek prowadząc osobiście natarcie, uderza trzema batalionami na m. Osowa-Wysoka, rozbija batalion niemiecki, bierze kilkudziesięciu jeńców z brygady Eberhardta, kilka samochodów, dużo broni i materiału wojennego. Niemcy na tym kierunku tracą na pewien czas ofensywność. Bataliony robotnicze umacniają gorączkowo linię Kamień — Koleczkowo — Wiczlino — Chwarzno.

Niestrudzony Dąbek rozumie, że mu nie dadzą wytchnienia, więc uderza dwiema kompaniami pod dowództwem ppłk. Pruszkowskiego na Luzino, dwoma, pożal się Boże, plutonami I Gdyńskiego Baonu Obrony Narodowej na Bojan, Dąbrowę, Świni Rów.

Zdezorientowani Niemcy robią silne rozpoznanie przy wydatnym wsparciu lotnictwa na kierunku Sopieszyno — Gościce — Żydowska Góra.

Dąbek naciera Gdyńskim Baonem Obrony Narodowej przez Koluszkowo — Brzozówkę — Kielno — Karczemki — Dobrzewinę. Przejmuje gońców, bierze jeńców, zdobywa lub niszczy dużo broni i sprzętu. Z mniejszym powodzeniem naciera 2 Baon Rezerwowy przez Kamień na Kieleńską Hutę. Zginął d-ca baonu kpt. Wierzbowski.

Przychodzi ranek 8 września. Cofający się żołnierze, wyczerpani do ostateczności widzą okopy, w których szły roboty fortyfikacyjne, pobłyskujące ostrymi błyskami we wschodzącym słońcu.

Kosy na sztorc!



Te kosy, to były jeszcze pierwsze kosy, zmajstrowane inicjatywą prywatną.

Transportowcy, którzy znają port jak własną kieszeń, przybiegają do kwatery na Grabówku. Zaiste — kwatera jak się patrzy. Komendant Rusinek stworzył żandarmerię pod dtwem por. Wolickiego, powstało zaopatrzenie oddziałów w żywność działające bez zarzutu, stworzono wielkie pralnie. Wieki tu będziemy wojować?

Niestety, komendant wie, że chwile walk są liczone. Żadna tam armia wyzwalająca nie nadeszła. Jeszcze przez ciężki grzmot dział oblegających Westerplatte przedziera się nikły grzechot jej cekaemów.

Transportowcy komunikują o kosach zeskładowanych w „Żegludze", przeznaczonych na eksport.

Jeszcze w tym dziewiątym dniu należy zaurzędować. Kumpel już nierozłączny aż do kacetu, władza pod którą ryli, Sokół, wystosowuje „odnośne" pisemko:

Gdynia, 9 września 1939 r.

Do Żeglugi Polskiej
w Gdyni
WPan Dyrektor Pinowicki

Niniejszym polecamy zarządzić wykonanie w warsztatach Żeglugi Polskiej 500 (pięćset) drążków drewnianych o długości dwu metrów oraz przeróbek tejże ilości kos w celu zasadzenia na wykonane drążki.

W wypadku, gdyby ilość kos okazała się niewystarczająca, należy wykonać odpowiednie bagnety dla tegoż celu. Rozliczenie za wykonane roboty należy przesłać do Komisariatu Rządu.

(—) *Fr. SOKÓŁ*

Kiedy pisemko wygotowywano, kosy już odchodziły pełną parą (przedtem jeszcze fabrykowano je). Pisemko pisane dla „pokrycia" nie spowodowało wprawdzie wypłaty przez Komisariat Rządu, natomiast z wielkim gwałtem jako dowód bestialstwa polskiego zostało opublikowane 20 września 1939 roku w „Danziger Neueste Nachrichten", skąd je z zadowoleniem przedrukowuję.

Rusinek wydaje odezwę, w której m.in. mówi:

Bataliony pracy, pozostające w dyspozycji i pod rozkazami Drużyn Robotniczych przy PPS, osłaniają ludność Gdyni przed atakami nieprzyjaciela, powstrzymują niszczycielskie działania barbarzyńców.

...Z pozycji wyczekiwania przechodzimy do walki, gromadzimy broń, tworzymy batalion Czerwonych Kosynierów i ruszamy do ataku.

...Towarzysze! Robotnicy Gdyni! Obok ludzi z łopatami stanie batalion kosynierów z bronią. Dziś, w niedzielę dn. 10 *września, wszyscy stawią się na ulicę Morską* 98, *bloki Spółdzielni Mieszkaniowej przy Komendzie Drużyn Robotniczych.*

Jeszcze tam była soczysta obietnica, że Hitler zostanie zastrzelony jak pies pod płotem.

Podpisane, jak się patrzy; Kazimierz Rusinek, komendant.

Sypnęli się ludzie wszelkiej wagi i miary. Przede wszystkim harcerze pod dowództwem druha Porożyńskiego. Sokół w swych wspomnieniach pisze, że nigdzie nie poświęcił tych prezesów, tych ważniackich organizacji, z którymi za czasów przedwojennych tyle się napertraktował, którzy z nadęciem w każdej sprawie „zajmowali stanowisko". Nic tylko ta czerwona komuna i te bogoojczyźniane harcerzyki. Co tu gadać — tłum bezimienny — Polacy.



Front walczący bardzo potrzebuje posiłków. Walki się ważą, jak kiedy zapaśnicy splotą się ramionami i słychać ich ciężki oddech.

Pierwszy Morski Pułk Strzelców pod naciskiem nieprzyjaciela wycofuje się przez Gniewowo do Redy.

Uderza na północ od tego pułku Kaszubski Batalion Obrony Narodowej, opóźnia natarcie niemieckie, dochodzi do Wejherowa, które jest znowu niczyje.

Uderza na Reszki kompania Baonu Marynarki Wojs. pod dowództwem ppor. Horyda i wraca na pozycję wyjściową Rumia — Zagórze.

Już wiadomo, że chcąc się utrzymać na swoich podstawach, nie można tylko się bronić, trzeba uderzać.

Niemieckie natarcie na pozycje obronne I Gdyńskiego Baonu Obrony Narodowej, wsparte silnym przygotowaniem artyleryjskim załamuje się na linii Wiczlino — Koleczkowo, nieprzyjaciel ponosi silne straty. Ale ponawia natarcia, Baon na rozkaz wycofuje się w rejon Regulewa.

Wówczas Dąbek prowadzi wypad na Bierzchowice. Niemcy zachodzą, tak, że płk. Dąbek wraz z mjr. Hochwaldem, autem i dokumentami już mają dostać się do niewoli. Ppor. Fruczek rzuca się ze swoim plutonem I Gdyńskiego Baonu Obrony Narodowej i ratuje dowódcę.

I wówczas, kiedy tak walka chwieje się na obie strony, wśród huku wszelkiego rodzaju broni, wśród zwalisk, w dymie i żarze ognia ukazują się — błyski kos.

— I co? — pytam wstrzymując dech.

— W pierwszym zaraz natarciu poległo 40%. Ale doszli, wyrżnęli Niemców, zdobyli pierwsze karabiny.

Na czerwonym Grabówku zebrał się tłum kobiet, dzieci i starców na drodze z Chylonii. Ta niepojęta czujność tłumu w chwilach groźnych, ten niepojęty telegraf bez drutu, którym biegną wieści.

Tłum nie zawiódł się. Chłonie poszerzonymi oczami krzepiący widok. Kosy, kosy... W ich otoku, już ze zdobycznymi kilkunastu karabinami, że zdobytymi pistoletami, kosynierzy w mundurach milicji socjalistycznej eskortują niemieckich jeńców.

Na tyle kolumny wloką zdobyty ciężki karabin maszynowy, który należy poprawić, bo go uszkodzili Niemcy. A za wszystkim, bez kos nawet, kupa wyrostków uskrzydlona nadzieją, że jednak coś dostaną w rękę.

Chłopak z lnianym czubem, odrzuciwszy głowę, gra na organkach. Czy to przypadek, czy też stara piosenka adoptowana jako ich hymn? — ,,Myśmy armat dwanaście do Kościuszki przywlekli''. W mleczarni na Grabówku, gdzie mieści się część dowództwa, gra radio z Warszawy. Oddział przechodzący słyszy:

,,Flotylla Wielkiej Brytanii przekroczyła Skagerrak i znajduje się na Bałtyku. Czekajcie, pomoc nadejdzie. Za kilka godzin dobije do brzegów Oksywia''.



Nie pomoc nadchodzi, ale pewność już niewątpliwej klęski. Uzyskawszy świadomość, że Polaków należy zniszczyć na Wybrzeżu, skoro nie wycofują się ku armii „Pomorze" w nastawione wnyki, cielsko armii niemieckiej zwraca się na północ przeorganizowanym korpusem Kaupischa. Korpus wchłania brygadę Eberhardta, Grenzschutz-Abschnitts-Kommando, siły Gdańskie, które zostają do dyspozycji po zdobyciu Westerplatte i inne oddziały. Pułk Wutha 11 września z kierunku Pucka dociera do Wielkiej Wsi i zamyka półwysep Hel, wzmocniony pułk Bothmera atakuje Kempę Oksywską od północy.

Wówczas płk. Dąbek, wobec tego, że nieprzyjaciel wykazuje aktywność tylko na zachodnim i północnym skraju Kępy Oksywskiej, postanawia uderzyć skrajem lasów od Zagórza do Redy, obsadzonym przez Niemców w biernej obronie.



Jest 11 wrzesień, godz. 7 rano. Mjr. Zauch, dowódca 3 Morskiego Baonu Strzelców, na swojej kwaterze w Regulewie, studiuje mapy: otrzymał rozkaz od płk. Dąbka wzięcia udziału w uderzeniu trzema batalionami.

W otwartych drzwiach ukazuje się postać młodego podporucznika. Mjr. Zauch z upodobaniem patrzy na moderunek, na postawę meldującego się:

— Podporucznik Kąkolewski z Baonu Kosynierów melduje się z kompanią.

Mjr. Zauch wychodzi przed dom, gdzie ustawiona w dwurząd kompania podrywa się na baczność. Co to? Ależ to kosy! Na „prezentuj broń" błysnęły wężem błysku i zastygły.

Major Zauch, w ciągłych walkach, widział baony robotnicze przy okopach, ale o kosynierach nie słyszał, przecież w ogóle stworzono ich przedwczoraj.

Oficer służby stałej patrzy ze zdumieniem na to „wojsko". Owszem — krycie, równanie — bez zarzutu. Ale te... kosy? Co prawda te kosy też wyrównane jak jedna.

No... cóż robić? Przeszedł przed frontem! I znowu — pożal się Boże — marynarczyny, cyklistówki, tylko gdzieniegdzie hełm, z tych eksportowych.

— Spocznij!...

Wraca mjr. Zauch na kwaterę z dowódcą tego dziwnego wojska. Rozłożył mapę, ruszył na siłę grdyką i wydaje dyspozycję: odmaszerować do rozporządzenia dowódcy 2 kompanii w las na szosę Chylonia — Koleczkowo, tam gdzie szosę przecina droga leśna do Łężycy.

Kapitan Tepa, dowódca 2 kompanii już pozajmował pozycje wyjściowe:

W centrum 3 pluton, 2 pluton i pluton ciężkich karabinów maszynowych. Na lewym skrzydle 1 pluton, na prawym pluton cyklistów.

Znowu meldowanie się dziwnego wojska. Kpt. Tepa, owszem, rad. W poprzednich walkach wykruszyło mu się sporo żołnierzy. No to teraz każdy karabin przejmą inne ręce.

— Ale moi żołnierze wezmą udział w ataku? — pyta niespokojnie ppor. Kąkolewski.

Kpt. Tepa pośpiesznie rozumuje — tak, broń należy chwytać ,,w locie'', nie wiadomo, czy się utrzymamy. I mówi:

— Pójdziecie w natarciu za trzecim plutonem.

Odprowadził ppor. Kąkolewski swoich kosynierów na stanowisko, spojrzał przez zalegający przed nimi trzeci pluton przez rzadkie drzewa lasu, miękko mu się nieco zrobiło na duszy: tuż za laskiem otwarta przestrzeń pnie się pod górkę, a na tej górce — znowu las. A w nim — rozumie to — niemieckie stanowiska ogniowe.

Ostry gwizdek przerywa rozważania. Żołnierze leżący przed kosynierami podrywają się do ataku, dwa cekaemy idą z nimi w linii. Kosynierzy krzyczą ,,hurra!... i wysypują się za 3 plutonem z lasku. W prawo wyrywa 2 pluton z jednym cekaemem, jeszcze bardziej na prawo pomykają spieszeni cykliści por. Skupienia.

Pierwsze strzały niemieckie górują, przenoszą 2 pluton — pierwsi zabici to biegnący z nim kosynierzy. Pada ranny dowódca cekaemów, ppor. Kozłowski, pada ranny d-ca 2 plutonu Drecki ale już cykliści, wspinając się na umocnione wzgórze, nasiedli Niemców w okopach, już za nimi wpada 2 pluton choć bez dowódcy, niektórzy kosynierzy zbaczają z kierunku natarcia 3 plutonu, wpadają za pierwszym, jeszcze dopadli Niemców, błyski kosy, Niemcy wpadają w wąwóz, dołem jego, chaszczami, skryci od strzałów, uchodzą ku Łężycom.

Pppor. Skupień wstrzymuje pościg, organizuje obronę. Ale nie ma w niej kos. Cywilni ludzie w cyklistówkach, dysząc ciężko, trzymają oburącz niemieckie mauzery.

Kpt. Tepa liczy straty. Ma ośmiu zabitych, w tym ppor. Rajchman, dowódca I plutonu, który trzymał łączność z sąsiednią I kompanią. Zabitych też czterech kosynierów. Kpt. Tepa ma piętnastu rannych, w tym dwu oficerów. Także rannych jest 5 kosynierów.

Jakoś tam do ,,swoich'' strat kpt. Tepa kosynierów nie dolicza. Na czysto więc ubyło mu z szeregów 23 żołnierzy. Ale z meldunków, które przychodzą okazuje się, że stan zmniejszył się tylko o jednego.

— O jednego?

— Tak jest, panie kapitanie — melduje plutonowy, który stwierdził stan liczbowy — bo ci kosynierzy pobrali karabiny i weszli do plutonów.

— Dwadzieścia dwa mauzery?

— Tak jest, panie kapitanie.

Kapitan o północy wysyła patrol. Miał to być patrol zwiadowczy, okazał się bojowym. Wrócił bez strat, zdobywszy trzy elkaemy i kilku jeńców, wśród nich sierżanta.

Nagle słychać kłótnię:

— Te, w niedziele rano, kosił ojciec siano, dopieroś zacharapcił gwer, to się z niego poprzód naucz strzelać.

Chłopak w cyklistówce, który w pierwszym natarciu zdobył karabin, a w patrolu nocnym dorwał się elkaemu, wczepił się w niego i nie daje go sobie wyrwać.

— Zdobył, niech go trzyma — mówi kapitan — kapral, nauczyć go obchodzenia.

Pocztowy podaje kubek. Kapitan z lubością siorbie herbatę; wie już na pewno, że stan bojowy się nie zmniejszył. A jeszcze ma na składzie tych... kosynierów.

— Cyrk, jak Boga kocham — mówi zawijając się w koc, bo wiatr przejmujący ciągnie od morza.

Śpi kompania, nowoupieczonych sierżant postawił na warcie. Jak by tak całkiem bez cuku, to co z nich będą za żołnierze. No nie?



Nocami dziwne się dzieją rzeczy. Po leśnych drogach po obu stronach snują się z rozkazami motocykliści. Po leśnych ścieżkach przekradają się z polskiej strony amatorzy przygód. Ich to ziemia, każda jej piędź wydeptana — za grzybami, po jagody, z dziewczyną, na roboty na przełaj. Każda piędź.

Strzał z tłumikiem. Motocyklista upolowany leci przez kierownicę hełmem w pniak, w próchnicę. Piękne to polowanie. Chybkie palce odpinają pas z pistoletem, macają lornetę na piersi, rozpinają skórzaną kurtę, palce mrówki zrywają numer identyfikacyjny z łańcuszka na szyi, przechodzą po kieszeniach, zabierają latarkę, scyzoryk, pugilares. I mapnik.

Płk. Dąbek pochyla się nad rozkazem, który się znalazł w mapniku. Gen. Friedman rozkazuje dowódcy jednego z pułków wycofywanie się świtaniem na Rumię. Niemcy, zaatakowani w miejscu, na którym nie oczekiwali natarcia, podejmą przegrupowanie. Płk. Dąbek, nieustannie będący w ofensywie, wie, że to najlepszy czas do uderzenia.



O 10 rano dn. 12 września do stanowisk 2 kompanii, zażywającej spokoju po wczorajszym natarciu, przychodzi rozkaz od d-cy baonu, mjr. Zaucha, aby 1 i 2 kompanie zostawiwszy trzy drużyny na zdobytych stanowiskach jako załogi bezpieczeństwa, śpiesznym marszem przeszły do leśniczówki Marzewo.

W leśniczówce czekał płk. Dąbek. Dał rozkaz niezwłocznego marszu szykiem ubezpieczonym drogą leśną z Pustek Chylońskich przez Szmeltę-Zagórze do Redy, skąd mają uderzyć

wspólnie z 2 Morskim Pułkiem Strzelców na cofających się na Rumię Niemców.

Pierwsza kompania poszła przodem, mając ze sobą pluton cekaemów, wysunąwszy czujki, które coraz to znikały na zakrętach leśnej drogi.

O dwieście metrów za nią szła 2 kompania kpt. Tepy, mająca przy sobie drugi pluton cekaemów, pluton moździerzy, pluton łączności i, znowu na końcu, zapas żywego mięsa — kosynierów.

Kiedy wysunęli się wreszcie z lasu, oczom ich przedstawił się groźny widok — Rumia stała w morzu płomieni; od strony zachodniej biła po niej mocno artyleria niemiecka.

O g. 16 m. 45 osiągnęli wschodnią lisierę lasu, polany Szmelta i uzyskali styk z trzecim baonem rezerwowym.

1 komp. ppor. Przygońskiego z trzema cekaemami na lewym, 2 komp. kpt. Tepy z plutonem cekaemów i przerzedzonymi kosynierami z tyłu i na dalekim prawym skrzydle 3 baon rezerwowy mjr. Jabłonowskiego mają przed sobą obszerną dolinę, a na jej przeciwległym krańcu dominujący łańcuch zalesionych wzgórz z wysuniętym bastionem Łysego Wzgórza.

Wiadomo, że tam siedzą Niemcy; wiadomo, że polskie oddziały zajmujące pozycje są na odległości strzałów, a przecież milczy Łyse Wzgórze, milczą zalesione stoki. Niemcy czekają, aż natarcie polskie ruszy, by je z miejsca przytłoczyć całą siłą ognia.

Dowódca 3 batalionu wie, że dla psychiki żołnierza nie ma nic gorszego jak takie nagłe zaskoczenie ogniem. W ogień się wchodzi jak do zimnej kąpieli — powoli przyzwyczajając ciało.

Wobec tego wydaje rozkaz dowódcy 1 kompanii wysłania patroli na środek równiny, gdzie widnieją zabudowania gospodarcze. Obserwowane przez lornety, nie wykazują żadnego ruchu.

St. strzelec Wrzała z patrolem pięciu żołnierzy okrąża zabudowania od strony lasu, ma je zajść z tamtej strony.

St. strzelec Soroko, również z pięciu żołnierzami idzie niżej, zachodzi zabudowania od naszej strony.

Patrol Wrzały, ostrzeliwany z zalesionego stoku, dotarłszy do nakazanych zabudowań, nie znajduje nikogo, ale blokuje z nich odwrót. Dobrze robi, bo wchodzący z przeciwnej strony żołnierze Soroki napotykają w zabudowaniach część niemieckiego taboru. Wzmocniony w ostatniej chwili przez dobiegającą 5 drużynę z erkaemem, patrol zabija dwu Niemców, bierze do niewoli podoficera i dwu szeregowych, jaszcz artylerii piechoty, dwa wozy pełne namiotów i wyładowanych tornistrów, dwa elkaemy, osiem wierzchowców z rzędami, trzy motocykle i kilkadziesiąt karabinów. Te ostatnie natychmiast zostają rozchwytane przez kosynierów.

Taki początek dla żołnierza to jak kieliszek dobrego koniaku przed ucztą. Wsparte ogniem dwu plutonów cekaemów i plutonu

moździerzy, obie kompanie jednym skokiem przebywają przestrzeń do zabudowań. Nieprzyjaciel otwiera bardzo silny ogień wszystkimi środkami ogniowymi. Mimo to obie kompanie podrywają się do nowego skoku. Ogień osiąga apogeum, mjr. Zauch obserwując natarcie ocenia straty, które poniesie batalion na 50%.

Natarcie nie załamuje się. Dobiegli lisiery lasu, widać przez lornetę, jak już rzucają granaty. Rówcześnie od prawego skrzydła wdziera się na Łyse Wzgórze ze swoim batalionem mjr. Jabłonowski, oczyszcza wzgórze, zdobywa 8 cekaemów i 7 elkaemów, zawija w lewo, bierze wraz baonem mjr. Zaucha w dwa ognie broniący pozycji bat'alion Knobelsdorfa, tu już idzie uderzenie na bagnety, tu zyskują pole do popisu pozostałe kosy, Niemcy uciekają, ostre gwizdki, naderwane głosy dowódców osadzają atak na zdobytych pozycjach.

Straty baonu mjr. Zaucha są mniejsze, niż obliczał jego dowódca. Ale są to straty bolesne. Wśród siedmiu poległych znajduje się st. strz. Soroko, który dziś tak się spisał. Wśród kilkunastu rannych są dowódcy obu nacierających kompanii — kpt. Tepa i ppor. Przygoński. Ale niemieckie straty muszą być wielekroć większe.

Jest to dwunasty dzień walk. Jeszcze i dalej na szerszym froncie walczą oddziały płk. Dąbka. Żołnierz czuje spokojną rękę dowódcy. Pod Kockiem, na 34-ty dzień walk, jeszcze w dniu 4 października wycofywał gen. Kleeberg oddziały do odwodów. W tym dwunastym dniu walk płk. Dąbek zluzowuje srodze przetrzebiony 2 rezerwowy Baon Straży Granicznej pod dowództwem mjr. Buriana.



Ale już jasne — walczy się tylko o honor.

Tegoż dnia 12 września 1 pułk piechoty morskiej odpiera z wielkimi stratami dla Niemców ich pierwsze natarcie na Kazimierz i Dębogórze z rejonu Rumii i Pucka. Ale powtórne natarcie nieprzyjaciela przy zmasowanym ogniu z lądu i z powietrza odrzuca polskich obrońców na Suchy Dwór.

Nazajutrz przechodzą oni z Suchego Dworu do ponownego natarcia, 1 pułk piechoty morskiej odbija Dębogórze.

Ale cóż to pomoże. Pod olbrzymią przewagą ognia płk. Dąbek wycofuje się, cal po calu, w ciągłych przeciwuderzeniach, na Kępę Oksywską. Świtaniem 13 września dwie kompanie 2 Morskiego Baonu Strzelców i jedna kompania 1 Gdyńskiego Baonu Obrony Narodowej wyrzucają Niemców z Mostów i Mechelinki. 1 Baon Gdyński Obrony Narodowej przeciwuderza na Kosowo. Ale już im za plecami wyrastają przygotowane przez bataliony robocze linie obronne Oksywia, rzeźnia miejska...

Dąbek ma kwaterę w Babim Dole. Rozkazał wycofywać się z Gdyni.

Z Gdyni!... Tam Grabówek, tam dzielnica portowa, tam rodziny ochotniczych batalionów.

Rusinek biegnie do Dąbka:

— Panie pułkowniku!...

Dąbek pochylony nad mapą, wyznacza, jak zwykle, jak od początku tych walk, pozycje, które mają zająć oddziały. Podnosi głowę:

— A co tam?

— Panie pułkowniku — mówi gorączkowo Rusinek — proszę o pozwolenie dla batalionu ochotniczego (to już nie kosynierzy, mają karabiny) o wycofanie się z Gdyni o dwanaście godzin później.

Dąbek postawił marsa:

— To nie sowiety — warknął — to wojsko.

Rusinek przełknął przytyk:

— Panie pułkowniku — tam rodziny naszych żołnierzy, ich dzieci. To przecie ten Grabówek szedł ze mną jak jeden do wyborów, a teraz, jak jeden, z żołnierzem. Tam pełne składy żywności, a ich głód czeka. Czy mamy składy zostawić Niemcom?

Dąbek pochylił głowę. Myśli.

— Sami nie dacie rady. Napór ognia za wielki. Nie chcę by was wyrżnęli jak barany. Wycofamy się razem.

— Damy rady! — mówi Rusinek, przejęty faktem, że oto ma tysiąc karabinów.

— Dobrze — mówi Dąbek. Może tu przeważył wzgląd, aby nie dać zapasów nieprzyjacielowi — dobrze, ale na jutro na 14 godzinę muszę was mieć.

Rusinek rozumie, że znów będzie wypad.

— Tak jest, panie pułkowniku — rąbie z oddaniem.

Dąbek podnosi oczy — to nie są oczy komendanta, który przyjmuje odmeldowanie się. To są „cywilne” zwykłe, dobre, ludzkie oczy. I ciepły uśmiech, kiedy podaje rękę.

Rusinek na pewno teraz wie, że jego dowódca nie o Niemcach myśli, w tej chwili (wszak wystarczyłoby podpalić składy). Myśli o ludności Czerwonego Grabówka i o dzieciach, które będą pałaszować uzyskane zapasy.



Eks-komuniści, eks-robotnicy, eks-kosynierzy, przybyli na rodzinne śmieci jako żołnierze zbrojni w broń palną. Kiedy naokoło stoi huk kanonady z lądu, z powietrza, już i z morza, bo okręty wojenne niemieckie wilczym kołem otoczyły nabrzeże — Czerwony Grabówek święci swój ostatni polski i rodzinny jubel. Dzieci czepiają się spódnic, matki wyciągają ręce, ojcowie-żołnierze rzucają w te wyciągnięte ręce worki cukru, ryżu, sucharów, konserw, kawy, mleka skondensowanego.

Tylko Rusinek, Zakrzewski, Albekier, Wolicki, Wojciechowski, Werner, nie mogą sobie pozwolić na kilka godzin odprężenia. Pochyleni nad archiwum partyjnym i nad archi-

wum Związków Zawodowych, wybierają co ważniejsze papiery, które pójdą do zasobników dla zakopania w ziemię. Przebierają protokóły posiedzeń, listy obecności, uchwały, odezwy, sprawozdania oddziałów — cała niedawna przeszłość, aż nierealna, tak daleka. I sztandary. Oby nie zetlały, oby doczekały defilady w słońcu.

Tow. Jarecki z sercem w gardle ściska ręce tym, których już nigdy może nie ujrzy. Tow. Jarecki jest zostawiony w Gdyni dla założenia konspiracji.

◆

— Na ramię broń!

Chwyt... chwyt... chwyt...

Gromady dzieci z zachwytem patrzą na tatusiów, dziewczęta na braci, na ukochanych.

Przyszło ich tysiąc, odchodzi siedmiuset, trzystu wsiąkło do domów rodzinnych.

— Czwórki w przód!

Już ich twarzy nie widzą, już potonęły w zwartości oddziału.

— Ba t a-a-a-lion — marsz!

Biegną za zwartymi kompaniami szare pochylone sylwetki kobiece. Znikają w kierunku, z którego dochodzi kanonada.

W kilka godzin po nich wkracza do Gdyni brygada Eberhardta złożona z gdańskich Niemców. Pierwszy oddział poprzedzają piszczałki. Wspaniale umundurowani, nażarci. Niemki skądś powypełzały. Skąd tyle tego w Gdyni? Zarzucają ręce na szyje wkraczających, przez łokieć niektórym zwisają torby. Jedna się otwarła — wysypują się dopiero co rozdane konserwy.

A tymczasem odmaszerowujący batalion stwierdza, że cofające się w nocy wojska regularne wysadziły most na kanale przemysłowym. Stracili sporo czasu na robotę saperską, ale stanęli na termin w koszarach marynarki wojennej na Oksywiu.

Tegoż dnia utracone Mechelinki i Mosty. Nazajutrz polskie natarcie wypiera z nich Niemców. Tegoż dnia po południu przy potężnym wsparciu artylerii, Niemcy ponownie wypierają z nich Polaków.

I tegoż dnia — jest 15 wrzesień — zbiera się w Babim Dole ostatnia odprawa.

Płk. Dąbek nie ukrywa, że Oksywia bronić niesposób. „Płyta Oksywska jest jak spluwaczka — mówi — w którą hitlerowcy plują ze wszystkich stron".

Istotnie. Od morza trzynaście trawlerów niemieckich pluje na Kępę Oksywską nieustannym ogniem, który nie zmienia nasilenia. Z powietrza nurkowce gęstym ogniem karabinów maszynowych rwą ostatnie linie naszej obrony. Z Kamiennej Góry i ze wzgórza Grabówka artyleria niemiecka przetacza wał ogniowy od koszar marynarki wojennej aż po Babi Dół i z powrotem. Od południa nacierają zmotoryzowane jednostki.

Był to prawdziwy kocioł, który równie dobrze mógł przypominać otwartą trumnę.

Ale odprawa nie kończy się jedynym logicznym wnioskiem. Płk. Dąbek, jak zwykle, kończy ją dyspozycją co do dyslokacji.

Skończył odprawę, wyszedł. Oficerowie patrzą po sobie. Któryś mruknął: ,,Stary coś kombinuje''. To oni rozumieją. Przywykli przez dwa tygodnie walk, że jak kombinuje, to nigdy obronę, zawsze atak. Tylko z czym? Stan żołnierza stopniał do 1500. Dzercje się mnożą. Trudno się dziwić. Może po latach dezerterów będzie się chwalić, a o Dąbku może się pocznie mówić, że zasługiwał za bohaterszczyznę na sąd polowy.

Ale ci ludzie są wzięci w uchwyt, którym dusze swych żołnierzy trzyma Dąbek. Powiedzieli, że ,,stary coś kombinuje'' i wrócili do pokrwawionych strzępków tego co kiedyś było plutonami i kompaniami.

Na drugi dzień — jest to już 16 wrzesień, 1 pułk piechoty morskiej cofa się do Suchego Dworu. No, to już Oksywie, nie ma gdzie dalej się cofać.

Nazajutrz — to już 17 września i 2 baon rezerwowy wycofuje się do Suchego Dworu.

Pułkownik udaje się do 1 Gdyńskiego Baonu Obrony Narodowej, który broni Kosakowa. Opór polski tężeje, utrzymują Kosaków. Jeszcze teraz sukces przejściowy — bateria starych dział 105, sprzed tamtej wojny, niszczy na lotnisku Mostowe Błoto 15 nieprzyjacielskich samolotów.

W sztabie w Babim Dole nie poświeci ani jednego dowódcy, wszyscy w linii. Gromadka oficerów administracyjnych marynarki nie ma nic już do roboty.

— Pułkownika nie ma... — mówi wahająco jeden.

— Już nie ma gdzie się cofnąć — mówi drugi — Niemcy mogliby w piłkę się bawić, przerzucając ją nad naszymi głowami.

Jeden z nich ściągnął obrus i spojrzał pytająco. Jedne oczy przymknęły się z przyzwoleniem — ostrożnie, ostrożnie — tak żeby nikt nie widział, nikt nie świadczył potem, a żeby tylko trzymający obrus się ośmielił. Inne oczy rozsypały się po kątach jak groch. Potoczyły się martwe oczy pod szafy, pod kanapę — nie ma ich, żaden historyk ich nie wymiecie.

Trzymający obrus obejrzał się, snać nic nie znalazł, wyszedł przed dom. Tam leżały rzucone jakieś ostatnie kosy. Przebił ostrzem obrus, wdział na dwumetrową tykę. Nie, nie dosyć wysoko — ogląda się gdzie to umieścić.

Przed kwaterą Dąbka ciągle ktoś przebiegał. Niesiono rannych, przebiegali gońcy, przesuwały się jakieś fragmenty oddziałków. Wszak kwatera już była niemal na linii.

Z grupy przebiegających ochotników wyskoczył brodaty mężczyzna w cywilnej maciejówce. Rękaw miał rozpruty, wyłaziła na ramieniu wata.

— Co jest, kurwa mać? — doskoczył do granatowego munduru lśniącego złotym szewronem — to wy tak? — wlepił prze-

krwione oczy w wygoloną twarz oficera. Szarpnął obrusem, zerwał z kosy, rzucił pod nogi i biegiem dołączył do towarzyszy.

Zdaje się, że był to kosynier z oddziału por. Wolskiego, który w te ostatnie chwile osadzał się z obroną nad wzgórzami.

18 wrzesień. Nie ma kwatery dowodzenia, pułkownik nie wychodzi z ognia. Maleńki to był perymetr. Gdzie się pokaże, opór tężeje. Od godziny 9 do 12 Niemcy kładą gwałtowny ogień na kolonię mieszkaniową Obłuże — Paget, po czym wychodzi ich natarcie, które zostaje wstrzymane. Znowu masaż artyleryjski, znowu o godzinie 13 wychodzi niemieckie natarcie, forsuje kanał, zdobywa koszary kompanii reflektorów, zdobywa stację wodociągową. Radio jeszcze się trzyma.

To nie do uwierzenia. Mieli rację — ,,Stary'' zamyślał przebić się z Oksywia. Jeszcze tegoż dnia wieczorem przeciwuderza grupa płk. Brodowskiego — bez powodzenia. Tegoż samego dnia zostaje odrzucone natarcie ,,batalionu'' kpt. Kowrzygi (już przestają istnieć konwencjonalne numeracje) na młyn Kejna.

Wstaje dzień 19 września. To jest ostatni dzień obrony Wybrzeża, dzień śmierci jego dowódcy.

Pierwszy Batalion Obrony Narodowej jeszcze istnieje. Jeszcze wycofuje się, nie samorzutnie a na rozkaz, z Kosakowa w rejon Stefanowa, gdzie broni się zaciekle do późnego popołudnia.

Tego ranka ostatnia kompania, która próbowała jeszcze kontrataku jest dowodzona przez lekarza, Żyda, kapitana rezerwy Raucha.

Rauch jest teraz w Izraelu — chciałbym, żeby przeczytał tę relację.

Niemcy atakują ze wszystkich stron. Ich ciągle ponawiane natarcia na Oksywie, Radiostację i Stare Obłuże raz po raz załamują się. O godz. 13 kolejny silny nalot w rejonie radiostacji i Koszar Marynarki w połączeniu z silnym ogniem artyleryjskim, po czym Niemcy ponawiają natarcie.

Oksywie — zdobyte.

Radiostacja — zdobyta.

Broni się ostatni cypel na zalanej przez Niemców ziemi — krótka linia umocnień pod Babimi Dołami. Milkną, jedno po drugim ostatnie gniazda oporu. O godzinie 16 milknie ostatnie.

Płk. Dąbek mówi do kilku oficerów:

— No, teraz na nas kolej.

Strzelają z pozycji leżącej do nadbiegających Niemców. Płk. Dąbek wyczekał, aż byli na bliski dystans. Prowadzi serię po linii ataku. Jego elkaem szczęknął jałowo — wystrzelony ostatni nabój.

Płk. Dąbek strzela z pistoletu. Daje pięć strzałów. Niemcy nadbiegają wachlarzem.

Podniósł dymiący pistolet, woła do najbliższego:

— Nie będę kapitulował.

Ostatni strzał Obrony Wybrzeża, to strzał samobójczy jego dowódcy.

◆

Rusinek wmieszał się w tłum jeńców z papierami na nazwisko „Porucznik Rusin”. Prowadzono ich do Wejherowa przy huku dział. To Hel, który bronić się będzie jeszcze 11 dni, skapituluje po Warszawie i Modlinie.

Nazajutrz „Danziger Neueste Nachrichten” zamieszcza artykuł pt. *Die Kämpfe um Oxhöft waren schwer.*

Es war der Kampf — stwierdza organ hitlerowski — *der unter schwierigsten Bedingungen gegen einer Gegner geführt werden musste, der zäh und verschlagen kämpfte.*

W mowie swojej w Reichstagu, wygłoszonej z okazji zakończenia kampanii polsko-niemieckiej o sześć dni zawcześnie, bo w dniu 1 października, Hitler stwierdzał, że „Gdyni i płyty Oksywskiej broniły elitarne jednostki armii polskiej, złożone z samych podchorążówek i szkół oficerskich”.

A przecież wiemy — jak było.

◆

A Rusinek i Sokół?

Rusin w oflagu Prenzlau od razu bierze się do roboty, wystawia „Kordiana”, a kiedy deklamuje koncert Jankiela, na ostatni akord „Jeszcze nie zginęła” robi się taki zgiełk, że Niemcy wkraczają.

Sokół, rozeznany z punktu, od razu dostaje się w ręce Gestapo, przechodzi bicie i badania.

„Pewnego razu” — zapisuje we wspomnieniach — „to było 26 lipca 1940 r., byłem badany od godziny 15 m. 30 do 24 m. 30. Głównie wypytywano o kosynierów. Na zakończenie *Obersturmführer* rzucił we mnie ciężkim kałamarzem marmurowym, nabił mi guza i dał hasło do bicia obecnym *Oberscharfführerom.*

Kiedy go wleczono z powrotem do celi N. 20 słynnej „Szysztangi”, drzwi przeciwległej celi N. 12 otworzyły się i ujrzał przez chwilę Rusinka.

A bo właśnie w lipcu Rusinek został rozeznany i 12 lipca odesłany do Gdańska. Na peronie w Gdańsku otrzymuje papiery od Reischwehry zwalniające na swobodę (gwoli praworządności) i natychmiast (jako osoba cywilna) zostaje aresztowany przez Gestapo.

Po kilku dniach siedzenia w piwnicy, drzwi jej otwierają się, ukazuje się w nich Forster, Gauleiter Gdańska.

Pamiętam jak z okazji jakiejś oficjalnej wizyty Romana, Ministra Przemysłu i Handlu, Forster robił honory domu w motorówce, którą nas obwoził po Nogacie. Cóż za miły, jowialny pan! Wprost wierzyć się nie chciało, że jego syn, lotnik, miał po pijanemu wyznać, że marzeniem jego jest bombardować Warszawę.

Miły jowialny pan stał we drzwiach, sam świetny, w nieposzlakowanym mundurze, z jedną rękawiczką zdjęta, na tle świetnej świty.

Za tyle lat nałożonych hamulców, za obłudę paktu o nieagresji, za bezsilność wobec zbrojenia Westerplatte, za skrzynki pocztowe, za przymus języka polskiego dla kolejarzy, za płaszczenie się obłudne tuż przed wybuchem wojny w wywiadzie z Paciorkowskim dla rządowej ,,Gazety Polskiej''.

Rękawiczka zatacza łuk — chlaszcze w twarz bezbronnego więźnia. Leje się stek wymysłów.

Czerwony Rusinek zaczyna pielgrzymkę po Stacjach Męki Pańskiej. Wozili go po miejscach jego przemówień publicznych, mieli ich teksty w ręku, bili go, żądając, aby je odtwarzał.

Przywieźli na plac, gdzie, wiedzieli, że zakopane zostały sztandary i dokumenty, katowali — wskaż miejsce.

Wieźli go do podziemi Szysztangi, pytali o nazwiska, bili znowu.

,,Podczas golenia'' — opowiada Sokół — ,,zabrano nas do sali Nr 37 i zobaczyłem znowu Rusinka zbitego na kotlet.

Nie wyżyłby może, gdyby nie samarytańska opieka strażnika Polenza, członka tajnej organizacji katolickiej, który przynosił mu opatrunki i żywność. Tę organizację wykryto w 1943 roku i Polenz został rozstrzelany.

Rusinek i Sokół znaleźli się w Stutthofie, a zakończenie wojny zastało ich w Mathausen.



Na małym cmentarzyku na wzgórku w Babich Dołach jako pamiątka burzy, która przeszła nad Wybrzeżem usypano 50 mogił, przeważnie zbiorowych. Płk. Dąbek spoczywa w zbiorowej mogile z mjr. Kańskim. Na tabliczkach grobowych Niemcy poumieszczali tabliczki *Gefallen für England im Polenkrieg.*

Tam, gdzie przed laty 4.000 robotników zebranych przed Szkołą Morską na próżno wyciągało ręce po broń, przechodzi Ulica Kosynierów.

I kiedyś ten szalony naród, opętany przez ,,bohaterszczyznę'' wystawi na tej ulicy pomnik, na którym pułkownik rządów przedwrześniowych prowadzić będzie do ataku — Czerwonych Kosynierów Gdyni.

Melchior WAŃKOWICZ

Kronika kulturalna

Równy krok nieśpiesznego przechodnia

Przymiotnik ,,równy'' w gwarze polskiej z połowy XX w. służy do wyrażania podziwu. ,,Równa babka'' znaczy dziś to samo co ongiś ,,cud-dziewica''. Słowa mocno wartościujące ścierają się prędzej niż inne, toteż jest ciągłe zapotrzebowanie na nowe. Bije się je na chybcika i puszcza w obieg nie przebierając, byle tylko przez jakiś czas świeciły blaskiem nowości. ,,Fantastyczny'', ,,fascynujący'', ,,frapujący'', ,,fenomenalny'', ,,feeryjny'', ,,fajny'' — żeby się ograniczyć do przykładów na jedną tylko literę. Fe!

Tytuł tego szkicu ma wyrażać podziw dla — jak łatwo się domyśleć — Pawła Hostowca. Posłużyłem się w tym celu modnym epitetem ,,równy'', bo choć wulgarny, ma on rodowód szlachetny. Pobrzmiewa w nim archaiczna nazwa niepopularnej dziś cnoty. Zowie się ona aequanimitas — równoduszność.



Kilka lat temu polska prasa literacka zaczęła gorliwie nadrabiać lata milczenia o autorach piszących i drukujących po polsku za granicą. (Niestety to się już skończyło). Każdy pospieszny zwrot pociąga jednak za sobą bałagan. Polska jest krajem zacofanym także na polu krytyki literackiej, która nie może u nas podołać nawet tej stosunkowo prostej, elementarnej funkcji, jaką jest kształtowanie rozsądnej hierarchii w szerokim — zbyt szerokim — gronie piszących. Prze- i pierwodruki autorów emigracyjnych w kraju, recenzje, powoływania się, polemiki i ,,wzmianki'' — te złośliwe wirusy życia literackiego! — dają zupełnie przypadkowy, skrzywiony obraz literatury emigracyjnej. Nie ma chyba początkującego poety w Polsce, do którego nie dotarłyby utwory jego rówieśników, skupionych dokoła sympatycznego ,,Merkuriusza'', za to o Przyłuskim i Sułkowskim nikt tam nie słyszał. Z ust pani Skwarczyńskiej, profesora

literatury, można się było dowiedzieć, że pani Zofia Kossak jest wielką pisarką na skalę światową, a cytowanego nieustannie Mieroszewskiego ludzie mylą z Mochnackim i Mierosławskim. Nie ujmując niczego autorce ,,Krzyżowców'' i czołowemu publicyście ,,Kultury'' — wolno wyrazić zdziwienie, dlaczego o Straszewiczu — cisza. O Józefie Mackiewiczu — cisza lub obelgi. O obu Zbyszewskich — ani mru-mru.

O Hostowcu czyli Jerzym Stempowskim (ta niedyskrecja jest konieczna ze względu na czytelnika krajowego) znalazłem w r. 1957 jedną jedyną wzmiankę. Oczywiście, mogło ich być więcej, to nie ważne, bo przecież wzmianek o pisarzu tej miary nie powinno się szukać, tak jak nie trzeba było szukać w pismach krajowych nazwiska Gombrowicza czy Miłosza. Wzmianka, na którą natrafiłem, była rozczulająco pogardliwa. Sprawca jej — niech mi wybaczy, że nie zapamiętałem jego nazwiska — z poczuciem zrozumiałej wyższości stwierdzał, że styl Hostowca w tej jego zabitej deskami od świata Szwajcarii jest taki ,,staroświecki'' w porównaniu z tym jak się dziś pisze w Polsce.



Dobrze, zacznijmy więc od ,,staroświeckości''. Wynotujmy najpierw kilka charakterystycznych staroświeckości ze szkicu Hostowca ,,Klimat życia i klimat literatury'' w jubileuszowym numerze ,,Kultury''. Kurtuazyjne zwroty w stronę czytelnika: ,,Uważny czytelnik mógłby...'', ,,Czytelnika polskiego zainteresuje...''. Obok prostego autorskiego ,,ja'' występuje: ,,piszący te słowa''. Czy łacina jest także staroświecka? Jeśli tak, zarejestrujmy zwrot *hic et nunc* oraz słowo *caritas*, zauważając od razu, że jedno i drugie nie posiada odpowiedników rodzimych. Dodajmy do tego banalne porównanie klasyczne: ,,Jak Wenus z piany morskiej''. Zwróćmy wreszcie uwagę na lekko uroczyste i wychodzące z użycia słowa i zwroty w rodzaju: ,,piewca'', ,,mizerie'' (nędze), ,,satysfakcja moralna'', ,,ambitni młodzieńcy'', ,,dzieci tego samego czasu'', ,,Wells był umysłem bardzo wszechstronnym'', ,,mistrzowie wieńczeni przez akademie'', ,,zdrowie moralne i równowaga umysłowa obywateli''. Być może, że do tej kategorii częściowo wchodzą również tak liczne u Hostowca i tak znamienne dla jego stylu zwroty w rodzaju: ,,Dzięki uprzejmości towarzyszy niedoli'', ,,konwulsje wojny cywilnej wstrząsały światem'', ,,wspinający się po szczeblach fortuny i honorów'' — które nowocześnie nazwalibyśmy ,,staroświeckimi *sztancami''*.

Nim zrobimy krok naprzód, zgódźmy się, że te archaiczne i prawie-archaiczne zwroty utrzymują jeszcze ciągle prawo obywatelstwa we współczesnym języku literackim. Trącą myszką, ale żaden z nich nie został wygrzebany z lamusa, żaden nie stał się jeszcze śmieszny — jak wiele im rówieśnych, których wszelako Hostowiec nigdy nie używa — każdy stoi na granicy

śmieszności czy dziwactwa, ale żaden jej nie przekroczył. Można jeszcze bez żartobliwego, parodystycznego zamiaru powiedzieć ,,młodzieniec'', ale już nie ,,dziewoja'', ,,piewca'', ale już nie ,,wieszcz''. Świadomie czy nieświadomie, Hostowiec stosuje tu bardzo czułą miarę.

Rzecz jasna, wielu ludzi starszego pokolenia, nawet nie literatów, pisze tak samo staroświecko. Ale u nikogo ta staroświeczczyzna nie pozostaje w tak zwartym i często wyszukanie ironicznym uścisku z ultra-nowoczesnością, która znajduje obfity wyraz także w słownictwie. W tych samych zdaniach lub w ich pobliżu skąd wzięliśmy wyżej przytoczone staroświeckie osobliwości, plenią się bujnie słowa i zwroty świeżej i najświeższej daty: ,,obserwowana rzeczywistość'', ,,kryptorealiści'', ,,awans społeczny'', ,,formuły wartościujące'', ,,literatura kierowana'', ,,pożywienie na kartki'', ,,bomba atomowa'', ,,surrealiści'', ,,New Deal'', spolonizowane ,,interviewy'', ,,farmer'', ,,ispołkom'', ,,stalinizm'', ,,akcje podnoszą się o parę kresek na rynku literackim'', ,,produkt moralnego rozkładu burżuazji'' (użyty, rzecz prosta, ironicznie), ,,reglamentacja wykonywana przez analfabetów'', ,,refleks obronny organizmu społecznego'' (któż by użył takiego zwrotu przed niedawnymi postępami socjologii i psychologii!) itd., itd.

Z caritas sąsiaduje *respectability* dając świadectwo najnowszej ofensywie angielszczyzny na wszystkie inne języki europejskie (we Francji te desanty słów zza Kanału, a zwłaszcza spoza Atlantyku, są przedmiotem ożywionych i niespokojnych dyskusji). Obok wyszukanych grzeczności starszego pana, wyskoczy czasem słówko młodzieńczo mocne: ,,nie ma żadnego sensu'', ,,ryki barbarzyńców'', *katzen-jammer*... Cóż, słówko jak słówko, zwyczajne, ale swą rzadkością, umiejscowieniem i adresem działa jak trzask bata. Przytoczone trzy niegrzeczności, trzy z czterech lub pięciu w całym szkicu, poprzedzone spokojnym, ostrożnym tokiem rozważań (w stylu: ,,taka uwaga *mogłaby, być może,* mieć *pewne znaczenie''*) skierowane są przeciw a) zwolennikom teoryj o somatycznej genezie twórczości literackiej, b) pesymizmowi typu egzystencjalistycznego i c) raczej sympatycznym bałwanom, a więc przeciw zjawiskom, które na ogół u nikogo nie wywołują burzliwej reakcji uczuciowej. Jeśli Hostowiec, który z zasady nie podnosi głosu mówiąc o czymś, co woła o pomstę do nieba, przeciwnie: głos ten zniża, tu nagle się nieco zaperza — czy jest to tylko wyrafinowana poza, czy też kryje się za tym coś głębszego?

Wrócimy do tego pytania, na razie jednak, po tym całkowicie powierzchownym oglądzie, możemy już stwierdzić, że Hostowiec ma swój styl, że nikt inny tak nie pisze. Nie jest to wystarczający sprawdzian klasy pisarskiej, ale jest to sprawdzian nieodzowny, minimalny. Pisarz, którego nie poznamy po jednej, niepodpisanej stronie, rzadko bywa wybitnym pisarzem. W wypadku Hostowca wystarczy czasem jedno zdanie, np.: ,,Wielka sztuka prosperowała zawsze w pobliżu Sądu Ostatecz-

nego, w strefie granicznej, gdzie sprawy ludzkie się kończą, i dalej nic nie ma".



Hostowiec jako stylista robi na pierwszy rzut oka wrażenie bezbarwnego. Do tego między innymi służą mu owe utarte zwroty, jeśli nie wręcz banały i sztance. Zawsze jasna, ale przyciężka składnia. Liczne konstrukcje imiesłowowe. Trafia się strona bierna, której — zdawałoby się — można było uniknąć. Częsty tryb warunkowy i mnóstwo innych ostrożności typu: ,,pewne", ,,mniej więcej", ,,być może", ,,można by przypuszczać", ,,na ogół"... Proszę odczytać pierwszą stronę omawianego szkicu: jest na niej zaledwie osiem przymiotników i każdy z nich tylko precyzuje, żaden nie maluje. Była już mowa o unikaniu słów nagrzanych uczuciowo. Nawet przedstawiony wyżej ciągły kontrast staroświeckość-nowoczesność może być zauważony z trudem, tak jest stonowany. O ile bardziej rzucałyby się w oczy wyspekulowane zderzenia w rodzaju np. ,,Łaskawego czytelnika krew zaleje", ,,zdeklasowani wieszczowie wieńczeni przez stalinistyczne akademie", ,,Wenus wynurzająca się jak łódź podwodna z radio-aktywnej piany", ale cóż by to była za taniocha! Wykoncypować można tylko manierę. Styl się rodzi. Jak człowiek. Pozorna bezbarwność Hostowca jest barwą ochronną, która osłania go przed powierzchownym czytelnikiem polującym na byle jaką jędrność, dosadność, żywość, błyskotliwość.

,,Uważny czytelnik mógłby spis tych kryptorealistów znacznie przedłużyć" — pisze Hostowiec. Czy uważny, przeciętny czytelnik zauważa, że się tu z niego leciutko pokpiwa, dając mu kredyt w większości wypadków niezasłużony, podobnie jak w owym arcy-hostowcowym zdańku na następnej stronie: ,,Ktokolwiek miał sposobność (sposobność, nie możność i zdolność! — przyp. M.S.) zastanawiania się nad tymi zjawiskami, musiał spostrzec, że od ćwierć wieku, a zwłaszcza w ciągu ostatnich dziesięciu lat etc"? ,,Jeżeli nic nie przeszkodzi dalszemu wzrostowi zamożności, za kilka lub kilkanaście lat każdy, kto ma na to ochotę, będzie posiadał własny samochód...". Pyszna jest ironia tego: ,,kto ma na to ochotę", dlatego właśnie, że wolno jej nie spostrzec. A ten celny a rzadki u Hostowca paradoks: ,,rodzaj chronicznego stanu osłupienia"? Albo zdanie zaraz potem: ,,Gdybyśmy brali tę powieść za dokument społeczny, musielibyśmy przyjść do wniosku, że pieniądz jest najrzadszą i najtrudniejszą do zdobycia rzeczą w Stanach Zjednoczonych". Jakie to jędrne, dosadne, żywe, błyskotliwe, a zarazem subtelne!



Do tej pory przyglądaliśmy się krokom Hostowca z perspektywy mrówczej, przyziemnej, analityczno-formalistycznej.

Po drodze ku szerszemu widnokręgowi, zakarbujmy jeszcze nie porywające, ale wielce solidne zalety jego rzemiosła. Wyjątkowa przejrzystość układu. Po lekturze każdego szkicu Hostowca jestem gotów w ciągu paru minut naszkicować jego ,,dyspozycje'' w punktach, pod-punktach, głównych liniach i bocznicach, na życzenie w formie wykresu. Nie podjąłbym się tego w stosunku do większości autorów polskich, poruszających równie poważne i złożone zagadnienia. Jasność. Bardzo często dowiaduję się od Hostowca rzeczy, o których nie miałem pojęcia, trafia się, że z braku wykształcenia nie zrozumiem jakiejś jego aluzji, że umknie mi coś z całego sensu jakiegoś sformułowania, ale nigdy nie miałem najmniejszej trudności w śledzeniu toku jego myśli. Jak trudna jest taka łatwość i jasność, niech świadczy na przykład szkic K.A. Jeleńskiego o Gombrowiczu w ,,Kulturze''. Czytałem dwa razy ten interesujący utwór zdolnego krytyka, który — nawiasem mówiąc — pod wielu względami jest uczniem Hostowca, i nie mogę się pochwalić, bym go zrozumiał. Jeszcze jeden szczegół: mało gdzie tak wyraźnie objawia się sprawność pisarza jak w przekładzie. Jeden z esejów Hostowca zawiera obszerne przytoczenia z książki Wellsa. Próbowałem dla zabawy przełożyć je z powrotem na angielski; przeciętnie poprawny przekład poddaje się z łatwością takiej operacji. Tu natknąłem się na wielkie opory. Bo ten przekład jest tak doskonałą prozą polską, tak zupełnie nie czuć, że to tłumaczenie z obcego języka. Jeśli można mu coś zarzucić, to jedynie to, że jest bardziej w stylu... Hostowca niż Wellsa. Dodatkowy dowód siły tego stylu.

Stare polskie uprzedzenie, przesąd narodu, który wydał niewielu myślicieli, podszeptuje w tym miejscu: Hostowiec jest bardzo rozumnym, wykształconym panem, erudytą, który snuje ciekawe myśli, pisze ładnie, mądrze i oryginalnie, ale to nie jest literatura piękna.

Tak to z Kasprowicza zrobiliśmy klasyka, bo pisał do rymu, a o tyle większy Irzykowski nie ma wstępu do narodowego panteonu. Tylko patrzeć, jak poloniści zaczną dostawać doktoraty za studia nad drugorzędnymi wieszczami i bajarzami, a Hostowiec czy bardzo... nierówny, ale świetny pisarz Stanisław Mackiewicz znajdą się w przedsionku historii literatury ojczystej, w marginesowym rozdziale: ,,eseistyka i publicystyka''.

Nie jest celem tego szkicu śledzenie kroków Hostowca-myśliciela. Choć trudno te rzeczy rozdzielić, nie obchodzi mnie tu, dokąd on idzie, ale jak idzie. Na przykładzie jednego szkicu nie można oceniać myśliciela, ale można — artystę.

Artysta, to przede wszystkim osobowość. Dla oceny ważna jest jej złożoność, jej ,,wewnętrzne sprzeczności'' i sposób, w jaki dokonuje się ich — zwracam uwagę na to słowo! — wyrównanie, scalenie. Wyższy organizm, to organizm bardziej skomplikowany. A ,,piękno — to harmonia'', jak mówi prof. dr Truizmowicz. Dobrze mówi!

Już przypatrując się językowemu naskórkowi szkicu Hostowca natknęliśmy się na parę tych ,,sprzeczności'' i podziwialiśmy ich wygładzenie. Kontrast: staroświeckość-nowoczesność znajduje poza warstwą językową odbicie w tym, co po angielsku nazywa się ,,frame of reference'' — układ odniesienia. Rozpięty on jest od Homera, Petroniusza, Seneki po Faulknera, Camusa, Becketta, a nawet Hłaskę i Tadeusza Nowakowskiego, a nawet Sagankę. Żadne z tych imion nie znalazło się w szkicu po to tylko, by świadczyć szerokości perspektyw; każde nanizane jest na prostą, główną linię wywodu.

Dziś, w wieku encyklopedyj i *books of quotations* niesłychanie łatwo jest podrabiać erudycję. ,,Po cytatach ich poznacie je'' — żartował Irzykowski. Trzeba naprawdę znać Congreve'a (wyznam ze wstydem, że go nie znam), by jego wiersze wyskoczyły z pamięci akurat w chwili, gdy Hostowiec przygląda się kobietom, które ,,nigdy nie były tak urocze'' jak dzisiaj. Łatwo jest zacytować Pareta z książki, ale sztuka — z wysłuchanego w młodości wykładu. Złote myśli wielkich pisarzy są każdemu dostępne, posegregowane na szufladki: ,,miłość'', ,,szczęście'', ,,los'' itd., ale tylko we własnej pamięci można znaleźć dowcip w ,,L'Action'' sprzed dziesięciu lat. Proszę zwrócić uwagę, że większość przytoczeń i odniesień obywa się u Hostowca bez cudzysłowu. Nie są ciałem cudzym, obcym, zostały zasymilowane.

Cytat z Congreve'a naprowadza na dalsze, wyśmienicie wyrównane napięcie: pomiędzy światem książki, mową wieków, a pospolitymi doznaniami dnia dzisiejszego. W ,,La Chute'' Camusa ,,rzadkie fragmenty rzeczywistości zewnętrznej pływają luźno jak jarzyny w *consommé Julienne''*. Czapka pana Bovary jest z książki, grube narciarskie kostiumy pogorzelców niemieckich — z życia. W tym krótkim szkicu przebiegamy — nie skacząc, idąc prosto! — nie tylko od Homera do Saganki, ale bawimy z autorem kolejno w powojennych Niemczech, u Jelisiejewa w Warszawie, w południowych Włoszech, w Bernie, w paryskim szpitalu epidemicznym. Te osobiste wspomnienia i obserwacje nie są żadnym wspominkarstwem, służą wyłącznie jako ilustracje, a także nie obnażają autora, który, czy używa ,,ja'', czy je kryje, pozostaje zawsze w dystansie ,,piszącego te słowa''.

,,Europejskość'' Hostowca, który na każdym miejscu naszej części świata jest u siebie w domu, jest zaletą poza-literacką, nazwijmy ją ,,obywatelską'' czy po prostu ,,ludzką''. Walor artystyczny nadaje jej zespolenie z pełnym wdzięku ,,partykularyzmem'', który można by też nazwać patriotyzmem. W innych szkicach występuje to u Hostowca znacznie żywiej, ale i tu mamy sentyment do starej Warszawy, a Hłasko i T. Nowakowski reprezentują nie tylko młode ,,dzisiaj'', ale i swojszczyznę. Znając tę stronę Hostowca-pisarza nie dziwimy się, że jego mówiona polszczyzna ma wyraźną barwę dalekich — już nawet po pierwszej wojnie — kresów południowo-wschodnich.

Wspomnieliśmy już o kontraście pomiędzy ,,olimpijskim spokojem'' a rzadkimi i głęboko przemyślanymi wybuchami irytacji, w miarę krewkiej zresztą. Hostowiec nie umie się oburzać na Hitlera czy Stalina, kto wie, czy nie wydaje to mu się równie śmieszne jak oburzenie na Nerona czy Dżyngis Chana, ale potrafi się rozsierdzić na celnika-analfabetę. Nie przyłapiemy go też na zachwycie nad Homerem, Wirgiliuszem, Dantem; Balzaca — słyszane rzeczy! — grzecznie zgani za realia, Faulknera pochwali powściągliwie, a będzie czule wychwalał ,,wyrafinowaną prostotę stroju i uczesania'', która ,,leży w najlepszych tradycjach''. Gdzie, u kogo? U jakiejś bezimiennej ,,babki'' — kobiety drugiej połowy XX wieku. Poza? Nieczułość? Małoduszność?

Nie. Równoduszność. Wielka, stoicka cnota, która rozumie, że historia jest większa od uczuć i od słów. Kamienny wyraz twarzy mają zarówno ludzie obojętni jak urzeczeni. Wobec piekieł i nieb ludzkich dziejów wszystkie słowa są za małe, może jeszcze najlepsze byłyby nieartykułowane: tak-to-tak; tak, tak, Gerwazeńku, tak tak, Protazeńku... Stoicka cnota, wzbogacona chrześcijańską wyrozumiałością dla natury ludzkiej. Hostowiec musiał wiele siebie samego znaleźć w tych słowach Wellsa, które tak pięknie przełożył:

,,Wypadki biegną dziś jedne za drugimi, zazębiając się o siebie w sposób najbardziej niezrozumiały. Nikt nie wie, co przyniesie jutro, ale tylko filozof szkolony w dyscyplinach naukowych potrafi odnieść się obiektywnie do tej niezrozumiałości. Na jego zachowanie się w życiu codziennym nie ma to zresztą wpływu; w tej dziedzinie należy do pospólstwa. Różni się odeń tylko tym, że nosi w sobie surowe przekonanie o bliskim końcu wszelkiego życia. Przekonanie to nie wnosi jednak nic nowego do jego codziennej egzystencji: nie przeszkadza mu w codziennych uczuciach, zainteresowaniach, oburzeniach itd''.

Szkic Hostowca jest wprawdzie rozprawą z tym pesymizmem, który wcale dokładnie określa termin końca świata, on sam jednak jest zbyt dumny, zbyt wstydliwy, by określić siebie bądź to jako pesymistę, bądź jako optymistę. I zbyt mądry, aby być jednym lub drugim.

,,Równy'', niezrównany pisarz.

Michał SAMBOR

Nagroda Literacka "Kultury" za rok 1960

Jeśli coś trzeba uzasadniać w tegorocznej decyzji jury nagrody literackiej „Kultury" to chyba tylko dlaczego przyznajemy ją Gombrowiczowi dopiero za rok 1960.

Warto może przypomnieć, że ufundowaną w r. 1954 przez Edwarda Berenbaua nagrodę traktowaliśmy początkowo jako zachętę dla młodych emigracyjnych pisarzy. Mieliśmy nadzieję, że wśród opatrzonych godłem rękopisów konkursowych przynajmniej jeden rocznie pozwoli odkryć nowy talent. Nadzieja ta nie była bezpodstawna: słuszność np. nagrody udzielonej za rok 1955 Leo Lipskiemu za „Dzień i noc" potwierdzona jest dzisiaj jego „Piotrusiem". Z biegiem lat staliśmy się bardziej sceptyczni, ale postanowiliśmy nagrodę „Kultury" utrzymać rozszerzając jej charakter. W tej myśli przyznaliśmy ją przed dwoma laty Miłoszowi, w tej myśli przyznajemy ją dziś Gombrowiczowi.

Rok 1960 — to rok wydania „Pornografii", której bezpośrednio przypada nagroda „Kultury". To również rok wydania „Ferdydurke" po angielsku i po niemiecku. Dwa lata temu Francja przyjęła „Ferdydurke" jako klasyk przedwojennej literatury, zapewniając Gombrowiczowi miejsce obok Joyce'a, Kafki, Musila, Beniamina. Czyżby z awangardy żywej, kontrowersyjnej, Gombrowicz miał już przejść definitywnie do awangardy klasycznej, uwieńczonej akademickim laurem? Niepokój, niesmak, zainteresowanie, nieporozumienia wywołane wydaniem angielskim i wydaniem niemieckim sprawiają nam ulgę: „Ferdydurke" nie jest jeszcze kolubryną muzealną, w pewnych środowiskach przynajmniej ożywczy jej *skandal* wywołuje pierwotne echo. Za kilka miesięcy „Ferdydurke" ukaże się po włosku, „Dziennik" po francusku i po niemiecku, „Pornografia" po francusku. Będziemy mogli nadal obserwować losy Gombrowicza międzynarodowego.

Losy Gombrowicza polskiego są mniej skomplikowane. Emigracja ma tę paradoksalnie dobrą stronę, że konserwuje przesądy, uprzedzenia, pruderię, które są dla Gombrowicza ożywcze. W kraju zaś, gdzie groziłaby Gombrowiczowi aura Wielkiego Pisarza, niebezpieczeństwo to skutecznie likwiduje cenzura. Warto tu może wspomnieć o dwóch pisarzach, którzy po obu stronach dokonali niezbędnych wyłomów. Na emigracji

wstęp Józefa Wittlina do „Transatlantyku" przełamał „tabu" które trwałoby zapewne o wiele dłużej. W Polsce Artur Sandauer przechował pamięć o Gombrowiczu przez szesnaście lat, jak ziarno pod śniegiem, a od r. 1956 stał się jego głośnym i niezawodnym koryfeuszem.

Każda nagroda czy inna forma „oficjalnego" uznania mają wobec Gombrowicza charakter spłatanego mu figla. Wiemy jednak z góry że wywinie się z niego w jednym z następnych „Dzienników" jak piskorz.

"Pornografia"

Propozycja I: Człowiek człowiekowi jest katalizatorem. To znaczy człowiek wespół z innym człowiekiem lub z innymi ludźmi nabiera coraz innych znaczeń, a jego zachowanie jest całkowicie podległe oddziaływaniu innych ludzi.

Propozycja II: Najsilniejszym katalizatorem jest wariat. Ponieważ z racji swej ułomności wyłączony jest z łańcuchowego oddziaływania, on jeden nie podlega wpływom innych — „musi być czym jest, bo innym być nie może" — ale sam wpływa na zachowanie innych. Jest więc tym pierwszym ogniwem, warunkującym a niewarunkowanym, determinującym, a nie determinowanym; dyktator.

Propozycja III: Młodzież jest żadna. Jej postawy, akcje i reakcje są całkowicie zależne od katalizatora. Jedyny jej wkład własny, chęć podobania się, wzmacnia przewagę tych, co na nią wpływają.

Propozycja IV: Osobowość i postawy moralne są pozorem. Mogą tak długo udawać swoją nadrzędność, dopóki odpowiedni katalizator im się nie przeciwstawi. Gdy taki wypadek zaistnieje, są znoszone bezwzględnie.

Te cztery propozycje zostały zgłoszone przez powieść Gombrowicza zatytułowaną „Pornografia". Jeśli by okazały się do przyjęcia, tytuł miałby prawo patronować prawie wszystkim ważnym związkom między ludźmi. Każdy bowiem rodzaj gwałtownych zetknięć, każdą wyraźną akcję *współ-* lub *przeciw*, skoro zostaną pozbawione o s o b i s t y c h moralnych czy uczuciowych uzasadnień i sprowadzone w ten sposób do funkcjonalizmu, zakwalifikować można jako pornografię. Między nieobyczajnością kata i nieobyczajnością prostytutki jest dużo miejsca.

Nie będziemy odrzucać czegoś, co nam niemiłe, dlatego że nam niemiłe. Będziemy pamiętać, że inteligencja ludzka nie tylko

tworzy, lecz przede wszystkim niszczy, że bez działania niszczącego nie mogłaby tworzyć jak Kopernik nie mógłby zbudować swego systemu słonecznego, jeśli by przedtem nie zniszczył drogiego Ziemianom przekonania, że Ziemia jest centrum wszechświata. Żyjemy wprawdzie podszyci strachem, że niszcząca energia inteligencji będzie ,,ostatnim słowem'' w karierze ludzkiej, i dokona takiego spustoszenia, po którym nie zostanie możliwości dla nowego Renesansu. Być może. Nie powód to jednak, żeby głowę chować w piasek. Nie wypada. Kompromitacja każdego mitu, a w tym wypadku chodzi o mit człowieka, winna być przyjmowana nawet...: z entuzjazmem, o ile zostanie udowodniona.

W literaturze jedynym dowodem prawdy jest prawdopodobieństwo. Naszą więc sprawą jest rozstrzygnąć, czy autor jest przekonywujący a) w zestawieniu z naszą wiedzą o życiu, b) w ramach stworzonej przez siebie fikcji.

Nie będę negowała roli wzajemnego oddziaływania. Zgodzę się łatwo, że nie tylko zachowanie człowieka jest odpowiedzią na zachowanie innych, ale że człowiek s t a j e s i ę przy każdym nowym zetknięciu. (Co zresztą nie ogranicza się do zetknięć z ludźmi, gdyż taką samą rolę odgrywają wszystkie zjawiska, o ile tylko skupiły na sobie dostateczną ilość uwagi). Rzecz jednak w tym, czy staje się coraz bardziej sobą, czy coraz innym produktem katalizowanych reakcji?

Doświadczenie uczy nas, że częściej... to drugie. Doświadczenie uczy nas, że ludzi można urabiać i przerabiać aż do samych granic wyznaczonych przez ich materialną konsystencję. Doświadczenie uczy nas jednak i tego także, że od tej reguły, która zdaje się zaprzeczać istnieniu jakowejś niezmiennej substancji psychicznej, są tak liczne wyjątki, iż negowanie suwerennego, panującego nad sobą i sytuacjami ,,ja'' byłoby absurdem. Doświadczenie podpowiada także, że typ pierwszy, nieskończenie podatnych, jest związany z pojęciem przeciętności, podczas gdy typ drugi określamy jako ,,charaktery''.

Proponuję definicję charakteru, jako czegoś, co da się mierzyć stopniem poczucia odpowiedzialności osobistej. Oznacza to, że w postępowaniu człowieka ,,z charakterem'' główna inicjatywa przypada *łącznie* woli i samowiedzy moralnej. Łączność ta jest ważna, gdyż nawet najsubtelniejsze wyczucie moralne bez zdatnej do pokonywania oporów woli przynosi w skutkach najwyżej melodramat i neurastenię. Sama zaś wola może służyć równie dobrze zachciankom, jak zasadom. W drugim wypadku mówi się wszakże o postępowaniu ,,nieodpowiedzialnym'', zapewne słusznie, ponieważ nawet wtedy gdy nad dogodzeniem sobie pracuje wielki spryt, odwaga i inteligencja, nie to rozstrzyga j a k się coś robi, ale w a r t o ś ć tego, co się robi. Wartość — a więc coś zmusza do arbitralnego sprecyzowania pojęć ,,dobre'', ,,złe'', ,,uczciwe'', ,,niegodne'' itp. Rzadko kiedy człowiek stwarza sobie system wartości sam, regułą jest przyjmowanie zasad etycznych od panującej kultury. Siła charak-

teru jest więc w znakomitej większości wypadków wynikiem zespolenia z kulturą, do której się należy, którą się zaakceptowało, którą się „wyznaje". I przeciwnie: nijakość, utożsamiana z przeciętnością, oznacza lepiej czy gorzej maskowane manierami, pozą, czy też rutyną naśladowczą — barbarzyństwo.

Łatwo stwierdzić, że żyjemy w okresie masowej dezintegracji z kulturą. W sloganach przeciwstawia się wprawdzie kulturę barbarzyństwu, w gruncie rzeczy jednak chodzi o barbarzyństwo łagodne *versus* barbarzyństwo gwałtowne; barbarzyństwo rozproszkowane i barbarzyństwo zorganizowane. Przyczyn tego stanu jest wiele, będziemy się ograniczać do wypadków podsuniętych przez powieść Gombrowicza.

Akcja jej toczy się w polskim dworze, w czasie wojny. Czas dobrze wybrany. Wojny stanowią zazwyczaj śmiertelną próbę dla zastanych kultur. Dzieje się tak dlatego, że zagrażając najbardziej samemu życiu ześrodkowują do tego stopnia uwagę na obronie tego życia, iż długo nie przyjmuje się do wiadomości, że środki tej obrony pochodzą w coraz większym stopniu z wyzbywania się zasad, stworzonych i tworzących tę niby ciągle jeszcze poważaną kulturę. Najpierw następuje rozdział między kodeksem „stanu wyjątkowego" a uznawanymi zasadami, potem ich dewalucja, potem — gdy spustoszenie staje się zbyt widoczne— mówi się o „demoralizacji wojennej", by wreszcie skonstatować, że jakaś epoka odeszła bezpowrotnie w przeszłość. Dziedzic Hipolit S., jeden z bohaterów powieści Gombrowicza, został w ten sposób zdezintegrowany z „kulturą polskiego dworu". I przyczyna tego procesu, i jego symptomy, i artystyczny symbol rozbicia (Hipolit nabrał zwyczaju powtarzania własnych słów jak echo) są przedstawione arcytrafnie i arcyprzekonywująco. A jedna z „pornografii", opisanych w tej powieści, popełniona przez Hipolita — mord z rozkazu AK ukrywanego we dworze b. dowódcy, w pełni przeświadczenia o jego niewinności, i z całkowitą obojętnością dla tego faktu — ma pokrycie prawdopodobieństwa, ponieważ z łatwością możemy sobie wyobrazić, że 90 % dziedziców w owych czasach zareagowałoby na rozkaz podobnie (tzn. funkcjonalnie). I podobnie jak Hipolit dopuściłoby się innej niemoralności, by w dokonaniu odstręczającego aktu wyręczyć się cudzymi, młodymi rękami.

Skoro ktoś popełnia czyn, do którego nie byłby zdolny parę lat temu, nawet w identycznych okolicznościach (nie ulega wątpliwości, że w pierwszych miesiącach wojny t o nie mogłoby się zdarzyć) stwierdzamy, że człowiek się zmienił. Katalizator był społeczny.

Czy równie dobrym katalizatorem może być wariat? — Nie jestem kompetentna do wyrokowania, czy wariactwo Fryderyka (centralna postać romansu) jest zgodne z klinicznymi objawami wariacji. Naprawdę nie znam się na tym. Ale — zgodne czy niezgodne — koncepcja szaleństwa jako braku tego, co staraliśmy się zdefiniować jako samowiedzę moralną, jest logicznie przekonywujące. Nie wiem zresztą, czy Gombrowicz podziela moje

zapatrywania na organiczność związku kultura-osobowość-moralność, ale pierwsza charakterystyka amoralnego (jak się później okaże) i niepoczytalnego (jak się okaże na ostatniej stronie książki) Fryderyka wskazuje na całkowite wyobcowanie z kultury. ,,...bo on właściwie nic tylko 'zachowywał się' — pisze autor — 'zachowywał się' bez ustanku''. Każdy z nas, gdyby się znalazł w zupełnie obcej kulturze, a nie chciał zdemaskować się jako obcy, też by się tylko ,,zachowywał''. Pozostaje kwestia osobowości. U Fryderyka jest nią — nic.

Demoralizującemu wpływowi Fryderyka ulegają w powieści intelektualista, para szesnastolatków, i czcigodna staruszka.

Intelektualista nazywa się Witold Gombrowicz. To co u Fryderyka jest przyrodzonym brakiem, kalectwem, wydrążeniem, u Gombrowicza (powieściowego bohatera) jest świadomym odrzuceniem, dezawuacją, wyzbyciem się. Gombrowicz (fikcyjny, powieściowy) należy do tego gatunku nowoczesnych intelektualistów, którzy najwyżej ,,koegzystują'' z ,,tradycjami'', o ile nie mają ochoty narażać się otoczeniu, ale po zakwestionowaniu wszystkich wartości po prostu muszą na nie ,,bimbać''. Wydaje się przekonywujące, że typ wariacji Fryderyka, przez doskonałość próżni, doskonałość wypływającą ze stanu naturalnego, może ludzi tego pokroju (Gombrowicza z powieści) specjalnie pociągać. Fryderyk nie jest jednak katalizatorem Gombrowicza (powieściowego). Fryderyk go nie zmienia, co najwyżej ośmiela, tak jak wszystkich — w złem czy dobrem — ośmiela posiadanie sojuszników. Inicjatywy Fryderyka i Gombrowicza (powieściowego) płyną z tego samego źródła: zaspakajanie pragnień, dyktowanych przyjemnością, podnieceniem, ciekawością, względnie antagonizmami fizycznymi. Kiedyś Gide nazywał wyzwalanie tego rodzaju pragnień spod osądów moralnych — najwyższym prawem człowieka. Gombrowicz (autor) dowiódł, że wychodzi z tego pornografia. Kompromitacja Gombrowicza (bohatera powieści) przez jego równoległość z Fryderykiem, przez ukazanie ,,normalnemu'' w odbiciu lustra wariata, dokonana została okrutnie, i — przekonywująco. Co nie oznacza, że ta kompromitacja równa się w oczach Gombrowicza (autora) potępieniu. Przypuszczam, że nie. Co więcej, gotowa jestem przyznać autorowi rację. W rozwodzie z kulturą niezawsze jedna strona musi być zawsze winna. Niedostateczność może być raz po stronie ludzi, raz po stronie kultury. W naszej epoce rozwód z kulturą odbywa się i za sprawą intelektu i za sprawą niedorośnięcia. Intelektualista może odrzucać normy etyczne ponieważ pochodzą z niezadowalającego go systemu filozoficznego, człowiek ulicy odłącza się od kultury, ponieważ nie może podołać narzuconym przez nią normom etycznym.

Niewątpliwie jednak Fryderyk jest jak najbardziej powołany do roli katalizatora, względnie deprawatora, młodzieży. Wbrew uparcie powtarzanej formule przeciwstawień ,,młodzież-starzy'', młodzież zawsze ulega dorosłym, zawsze ubiega się o aprobatę dorosłych, zawsze u dorosłych szuka natchnienia.

Właściwe przeciwieństwo leży w wyborze: dorośli z zasadami, wzg. ze starymi zasadami, i alternatywa — dorośli bez zasad, wzg. z nowymi zasadami. Wybór pada zazwyczaj na tych ostatnich, ponieważ posłuszeństwo w tej konfiguracji jest zamaskowane buntem, co pozwala kierowanym udawać przed sobą, że nie są kierowani, nie zauważać np. sztabu starych pierników, kręcących filmy z James Deanem, nie przyjmować do wiadomości że przemysł rozrywkowy dla młodzieży jest w rękach wyłysiałych kalkulatorów, którzy nie tylko dogadzają gustom młodych, ale je kształtują przez płyty, filmy, modę itp. Jak świat światem kilkunastolatek robił zawsze to, co mu dorośli podpowiedzieli, za wszystkimi „ruchami młodych" działały stare sprężyny, a niepokojące szukanie tożsamości poprzez sprzeczność nieposłuszeństwo-aprobata, które jest tak typowe dla dojrzałości fizycznej i niedojrzałości umysłowej, sprzyjało zawsze deprawatorom wszelkiego rodzaju i kalibru. Pornografie z młodzieżą są nad wyraz łatwe.

Ale pani Amelia?

„Jej głowa, nadmiernie stara i sucha, unosiła się nad jej szyją jak gwiazda, i był to na pewno ktoś niepospolity, ...Nie, te peany na jej cześć nie były przesadne, mieliśmy do czynienia nie z zacną kolatorką w prowincjonalnym wymiarze, ale z osobą, której atmosfera narzucała się z przemożną siłą. Trudno określić na czym to polegało. Podobne jak u Wacława, ale głębsze chyba, poszanowanie istoty ludzkiej. Grzeczność, wynikająca z wysubtelnionego poczucia wartości. Delikatność, uduchowiona prawie, natchniona, acz niezwykłej prostoty. I dziwna prawość. To jednak było w głębi niesłychanie kategoryczne, królowała tu jakaś wyższa racja, absolutna, rozcinająca wszelką wątpliwość,... ten dom o tak określonej moralności stał się naraz cudownym wypoczynkiem. Gdyż tutaj rządziła zasada metafizyczna, czyli pozacielesna, rządził krótko mówiąc, Bóg katolicki...".

Czy jest możliwe, żeby osoba, tak zintegrowana z kulturą katolicką, pod wpływem obecności Fryderyka, pod wpływem „głębi jego próżni", dopuściła się czynu niemoralnego? Żeby rzuciła się z nożem na młodego parobka, niby-to, aby go ukarać za zamierzoną kradzież, ale właściwie po to, by się z nim tarzać po ziemi i kąsać go po szyi!? — Nieprawdopodobne. Nieprawdopodobne ani w konwencji symbolicznej ani realistycznej, ani jako przenośnia, ani jako rzeczywistość.

Nie chcę przez to powiedzieć, że kompromitacja czcigodnych dam, czy wierzących katolików, jest niemożliwa. Doświadczenie naszego wieku nauczyło nas, że wszystko jest możliwe. Komunizm nauczył nas, że katolików można zmienić w bolszewików. Katalizator musi być jednak o wiele, wiele silniejszy i innego gatunku.

Nie chcę także podsuwać wniosku, iż dlatego, że Gombrowiczowi nie udała się kompromitacja osoby prawdziwie zintegrowanej z kulturą katolicką, należy katolicyzm popierać. To prawda, że najściślejsza integracja jednostek z kulturą odbywała się dotychczas poprzez kulty religijne. A także, że w religiach

systemy etyczne są uzasadnione najlogiczniej. Że prawa opierane na Dekalogu, bez uznawania prawowitości Dekalogu, mogą być w każdej chwili poddane w wątpliwość, a kary świeckie, które stoją na straży większości z Dziesięciorga Przykazań, uznane za przemoc społeczeństwa nad jednostką. I prawdą jest, że próby laicyzacji etyki na ogół dotychczas się nie udawały, o czym świadczy ich mnogość i szybkość z jaką jedna po drugiej były dezawuowane. Wszystko to prawda, ale nic nie jest argumentem. Jeśli Bóg istnieje, rzeczą bluźnierczą byłoby agitowanie za kultem dla Niego w imię... obyczajowego porządku. A jeśli Boga nie ma, byłoby niegodne człowieka stwarzać Go do zadań policjanta.

Barbara TOPORSKA

Komunikaty

WARUNKI II KONKURSU NORWIDOWSKIEGO

Koła artystów plastyków polskich w Argentynie

Udział w Konkursie brać mogą wszyscy zrzeszeni i niezrzeszeni artyści plastycy polscy i pochodzenia polskiego zamieszkali na terenie Ameryki Łacińskiej oraz członkowie K.A.P.P.A., bez względu na obecne miejsce zamieszkania.

Biorący udział w Konkursie nie są ograniczeni w doborze tematu, ani techniki, choć byłoby pożądane, by nadesłane prace związane były ideologicznie z życiem lub twórczością Norwida.

Konkurs jest anonimowy. Prace winny być podpisane godłem artysty, a w osobnej zalakowanej kopercie opatrzonej tym samym godłem należy podać imię, nazwisko, oraz dokładny adres autora nadesłanej pracy.

Ukonstytuowane będą dwa odrębne Sądy Konkursowe dla prac o charakterze tradycjonalnym i modernistycznym złożone z czołowych przedstawicieli życia artystycznego Argentyny (art.-plastycy, krytycy artystyczni, historycy sztuki etc.). Wobec ukonstytuowania się podwójnego „Jury", artyści nadsyłający swe prace proszeni są o podanie obok godła, do której grupy dane prace mają być zaliczone.

Ilość prac nadesłanych przez jednego autora nie powinna przekraczać liczby pięciu, a każdemu przysługuje tylko jedno godło.

NAGRODY ZA PRACE O CHARAKTERZE TRADYCJONALNYM

Nagroda I (medal złoty)	$	15.000. — m/n	ufundowana zbiorowo
Nagroda II (medal srebrny)	$	8.000. — m/n	ufundował inż. Tadeusz Kotynia

Nagroda III (medal brązowy) $ 6.000. — m/n ufundował p. Stanisław Smoliński

NAGRODY ZA PRACE O CHARAKTERZE MODERNISTYCZNYM

Nagroda I (medal złoty) $ 15.000. — m/n ufundowano anonimowo
Nagroda II (medal srebrny) $ 8.000. — m/n
Nagroda III (medal brązowy) $ 6.000. — m/n ufundował p. Jan Mączak

Poza tym do rozdziału poszczególnym grupom według uznania ,,Jury", ufundowane zostały dalsze nagrody przez p. Roberta Hillbrichta ($ 4.000.—), p. Władysława Czubaja ($ 4.000.—), p. Wiktorię Staszków ($ 3.000.—), jak również wiele nagród ufundowanych przez instytucje społeczne oraz firmy i osoby prywatne, które podane będą dodatkowo w prasie.

Termin nadsyłania prac na II-gi Konkurs Norwidowski K.A.P.P.A. upływa z dniem 31 lipca 1961 roku. Dla prac nadsyłanych z prowincji i spoza Argentyny obowiązuje data stempla pocztowego. Dla zmniejszenia kosztów przesyłki obrazy z zagranicy oprawione będą na koszt K.A.P.P.A. Rozstrzygnięcie Konkursu nastąpi w końcu sierpnia 1961 roku, po czym nastąpi otwarcie wystawy.

Wszyscy biorący udział w Konkursie otrzymają pocztą odpis protokułu ,,Jury" i dotyczące ich wycinki z prasy oraz specjalny medal pamiątkowy. Organizatorzy Konkursu zastrzegają sobie prawo wystawiania i publikowania eksponatów.

Prace należy nadsyłać na adres: CONCURSO Y EXPOSICIÓN — *Circulo de los Artistas Plasticos Polacos en la Republica Argentina, Casa Central Polaca, c. Serrano 2076. Buenos Aires.*



WIECZÓR POLSKIEGO POETY W CHICAGO

Staraniem Polskiego Związku Akademików w Ameryce, Okręg Chicago, w dniu 11 marca br. został zorganizowany Wieczór Autorski Zbigniewa Chałko, polskiego poety młodego pokolenia, zamieszkującego w Chicago. Wieczór zgromadził ponad 500 osób i stał się niecodziennym wydarzeniem w życiu kulturalnym Polonii Chicagoskiej. Wieczór składał się z dwóch części. W części pierwszej wiersze Z. Chałko recytowali: Barbara Grajnert, Adela Hamielec, Anna Martinek, Stanisław Garczyński, Andrzej Lech-Sowulewski i Jarosław Niepomnik. Słowo wstępne i wiążące wygłosił Andrzej Azarjew; o Autorze zaś mówiła zaproszona w tym celu literatka z Detroit, Róża Nowotarska, która odczytała również przesłany na tę okazję list Kazimierza Wierzyńskiego.

Program drugiej części Wieczoru stanowiły głównie piosenki oparte na tekstach Z. Chałko, w wykonaniu miejscowych artystów (Monika Gajda, Zygmunt Kossakowski i Robert Lewandowski); akompaniament: prof. A. Aster i prof. W. Belland; konferansjerkę prowadził Józef Wieszczek.

W wyniku zainteresowania spowodowanego tą niecodzienną inicjatywą i celem poparcia powstającej w tak trudnych warunkach polskiej poezji emigracyjnej, utworzony został samorzutnie Komitet Wydania Poezji Z. Chałko. Komitet ten zdołał zebrać w czasie urządzonej po Wieczorze ,,Lampki Wina z Autorem" ponad $ 1,000. Dzięki temu wkrótce ukaże się na rynku literackim wybór wierszy Zbigniewa Chałko.

LORETO WAR CEMETERY

Wynik zbiórki na konserwację polskich cmentarzy wojennych we Włoszech od 16 lutego do 21 marca 1961 r. przedstawia się następująco:

a) Zbiórka pieniężna w W. Brytanii — £ 666.14.2

b) Zbiórka pieniężna w skupiskach polskich na Zachodzie poza W. Brytanią $ 171.00

Komitet Opieki nad cmentarzami żołnierzy polskich we Włoszech apeluje do tych, którzy nie złożyli jeszcze ofiar o nadsyłanie ich na adres Komitetu — 42, Emperors Gate, London, S.W.7. Czeki wystawione na: „Loreto War Cemetery Fund".

Książki

"Tamten Brzeg" i własne wspomnienia

Nie umiałbym nigdy być zawodowym krytykiem malarskim czy literackim. O obrazie, o książce, które nie są przeżyciem intymnym, konfrontacją, czy choćby powodem oburzenia — nigdy nie miałem potrzeby pisać, a jak pisać bez potrzeby?

O książce przeżyciu, książce konfrontacji, mam odwagę pisać nawet niesprawiedliwie, stronnie, nawet jeżeli jej pełna ocena wybiega daleko poza moje możliwości.

Taką książką jest dla mnie „Tamten Brzeg" Kajetana Morawskiego*). Była ona dla mnie więcej niż konfrontacją — rachunkiem sumienia. Dała mi potrzebę nawrotu do spraw dalekich w czasie, na które patrzałem z tak różnej od Morawskiego perspektywy.

Niech więc mi wybaczy autor że jego brzeg uprawny i wdzięczny zalałem powodzią własnych wspomnień.

Mordy czy ordy

Nie znałem chyba osoby bardziej, autentyczniej dystyngowanej jak moja babka. W młodości jeździła jeszcze karetą z Petersburga do Neapolu, a na starość pytała nieśmiało wnuczkę co to są procenty, bo o sprawach materialnych nie wiedziała wprost nic. Za to znała wszystkie ptaki w swoim rodzinnym Stańkowie.

Wiele lat temu przyprowadzono do niej narzeczonego mojej siostry, by go jej przedstawić. Był ziemianinem, właścicielem majątku Mordy. Babka moja siedziała w sukni z czarnego adamaszku, w głębokim fotelu, miała na śnieżnych starannie rozczesanych włosach wieczny koronkowy czepeczek. Podała mu długą, cienką, starczą rękę z turkusami na pierścionkach. Pierwsze słowa, którymi się do niego odezwała były:

Et votre propriété je l'appellerai Ordy.

---

*) Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu. Str. 253.

Moja babka nie chciała, wprost nie mogła, wymówić słowa Mordy, jedynym wyjściem było zmienić nazwę majątku.

Czytając ,,Tamten Brzeg'' Kajetana Morawskiego coraz to przypominałem sobie Mordy i Ordy. Czytałem tę książkę ze wzruszeniem, chwilami prawie ze łzami, ale budziła we mnie także sprzeciw. Wydawała mi się coraz to zbyt różowa, nie mogłem w niej odnaleźć smaku lat, o których pisze Morawski. Sam, urodzony zaledwie o ,,kwadrans'' później, tak inaczej je przeżywałem. Zdawało mi się wciąż, że czytam Ordy zamiast Mordy, a przecie było w tym okresie tyle mordów i tyle mord.



,,Tamten Brzeg'' nie jest wcale książką łatwą, pomimo pozorów. Dopiero po drugim, nieraz trzecim czytaniu, docieramy do warstw ukrytych przed czytelnikiem pośpiesznym. Tych warstw broni jej gładkość, potoczystość, przemilczenia, A także mgiełka różowa, przesłaniająca jej istotę.

Co znaczy tytuł? Sam autor we wstępie wspomina tamten brzeg, jako brzeg daleki kraju, za którym tęskni, ale nie umiem tego tytułu nie wiązać ze strofą Balińskiego:

,,Nie chcę żadnej pociechy i żadnej pomocy
Ja chcę ją (1) *tylko przenieść* na tamten brzeg nocy''

Tę strofę z wiersza Balińskiego znaliśmy wszyscy na emigracji, ale Morawski gubi ciemne słowo *noc*. Zaciera ślad.

Tylko w lakonicznej dedykacji, kładzie on raz jeden akcent, który w tytule książki jest jakby tylko po cichu, na ucho, uważniejszemu czytelnikowi szepnięty.

Szlachetna wstydliwość, wycieniowanie, docieranie do zagadnień zasadniczych, chwytanie istoty ludzi, o których pisze, jakby z boku, mimochodem (opis Hitlera, zajmuje w rozdziale ,,Wakacyjne trzy po trzy'' mniej miejsca niż opis warszawskiego medium — Guzika), humor nigdy złośliwy, nigdy drapieżny (prezydent Wojciechowski w meloniku, siedzący spokojnie na krzesełku pośrodku ulicy pod obstrzałem, czy Witos spływający potem, bo dźwiga przez pomyłkę ciężki płaszcz samego Morawskiego przy wycofywaniu się rządu z Belwederu na Wilanów w 1926 roku), takich przykładów pełno w książce. Pozornie jakby brak wyczucia hierarchii ważności. Jest właśnie odwrotnie.

Błogi wyraz na twarzy pani Verdurin, gdy czyta o zatopieniu Lusitanii, maczając rogalik w białej kawie, Berma opuszczona przez wszystkich, jedząca ciastka z ,,powagą rytuału pogrzebowego'', te sceny Prousta, bardziej obnażają człowieka niż opis czynów dramatycznych czy superlatywy i fortissima.

(1) Pieśń.

Mężowie stanu, postacie dziś historyczne, przodkowie autora, jego przyjaciele, ludzie przygodnie spotkani, ileż świetnych szkiców-notatek, portretów — chciałbym nazwisk sto zacytować. Może utkwił mi najbardziej gwałtowny i świetny Szymon Askenazy, broniący polskiego Wilna w Genewie, czy stara pani Tyszkiewiczowa, która w Nicei, w 1940 r. nachylona nad wielką mapą znaczy miejsca zesłania Polaków, jak sto lat temu Eliza z Zamoyskich Brzozowska, opiekunka Sybiraków. Ile twarzy, ile charakterów jedną kreską naszkicowanych w opisie pierwszego strajku fornali w majątku Morawskiego, chłopów-sąsiadow, którzy przychodzą mu pomagać w zbiorach, podkreślając wyraźnie „nie folwarków bronimy ale zbiorów". Wszędzie bystra uwaga i przyjazny humor.

Tak rozjaśnić tęsknotą przeszłość, *taką* przeszłość, czyżby to tylko dystynkcja i w krew wrośnięte dobre wychowanie? Styl Morawskiego, po tym co przeżył jako człowiek prywatny, człowiek społeczny, polityk, ta wierność pewnemu stylowi wyniesionemu poprzez jakie kataklizmy i jakie ciosy, to może heroizm?

Tu znowu wracam do mojej babki. Po jej śmierci (była protestantką) znaleźliśmy w Biblii, którą zawsze miała przy sobie, jakieś krótkie, rzucone na cienkie listki papieru, urwane zdania — jęk do Boga, modlitwa żarliwa o ratunek, o siły — świadectwo jej samotności, wśród wielkiej, kochającej rodziny. Tam również pod maską spokoju i zawsze przyjaznej, skromnej, z nieugiętą konsekwencją utrzymanej dystynkcji, krył się człowiek o wymiarze i głębi, której my, młodzi, nie byliśmy wówczas w stanie nawet przeczuć.

O trzech Morawskich

„O doniosłości moralnej i intelektualnej utworu sądzić można być może łatwiej na podstawie właściwości języka niż rodzaju estetycznego". Od wielu lat to zdanie z „Czasu Odnalezionego" wydaje mi się zawsze tak samo odkrywcze i decydujące.

Trzech Morawskich napisało „Tamten Brzeg", „właściwości języka" każdego z nich zdają mi się różne i nierównej wartości: Morawski-ambasador, Morawski-skamandryta, jeszcze o Młodą Polskę zazębiony i Morawski-pisarz autentyczny, oryginalny, wyrastający z całej XIX-wiecznej tradycji pisarskiej Morawskich, tej rodziny o krwi najbardziej błękitnej, bo, jak mawiał profesor Tarnowski — najbardziej pomieszanej z atramentem.

Morawskiego-ambasadora czujemy we wstępie, a potem zaledwie w paru rozsianych stronach. „Omszały dawnością Wawel" czy „Czerwony Kreml" (już dziś tautologia) przypominają różne akademie ku czci, na których ambasador musi przemawiać. Zdania o „prężności społeczeństwa zahartowanego w walce i

cierpieniu", o „rozluźnionych okowach" duszy polskiej czytamy z trudem. Te zdania gotowe, szlachetne, tylokrotnie słyszane, muszą być na nowo przetopione — inaczej wołają o polskiego Ionesco.

„Niech pan się słów takich wystrzega, z nich *proch się sypie* — powiedział mi kiedyś wielki pisarz, Remizow.

Ale już w tymże wstępie Morawski kładzie akcent na to, co jego proza prześwietla, na wolę bezstronnej oceny, którą sobie za obowiązek całego życia wyznaczył: zastanawia się czy aby nie uległ pasjom ciemnym pisząc tę książkę. „Jeżeli wplątały się w nią słowa gorzkie...". Ten nikły ładunek goryczy, te tak rzadkie akcenty, na które trafiam w rozdziałach następnych, próbuje autor już we wstępie rozładować i w samym sobie ukoić.

Związek Morawskiego z Młodą Polską i Skamandrem jest najbardziej widoczny we wspomnieniu o Lechoniu, w liście do Wierzyńskiego — hołdzie dla tego nurtu poezji polskiej, w „Przygodzie florenckiej", o swym przyjacielu L.H. Morstinie, gdzie już samo słownictwo: „pawie pióra", „wieszczby", „gusła", „cudowiska" dają styl z lekka sztuczny, myszką trącący, ozdobny, świadczą one jak Morawski z tym światem był związany i dziś go jeszcze wdzięcznie wspomina, choć pisarsko styl samego Morawskiego zdaje się tylko przez to zamącony? Czyż można te strony porównać do rozdziałów takich jak: „Klasyczne i romantyczne", „Wieś i rodzina", „Przewrót Majowy" i wiele, wiele innych. W tych wspomnieniach ginie wszelka ozdobność, styl się uściśla, ginie młodopolska czy skamandrytowska podromantyczna patetyczność, wówczas dopiero pismo Morawskiego poprzez wierność wspomnieniu dochodzi do autentycznej wymowy, do sztuki.

„W dagerotyp raczej pióro zamieniam, aby wierności nie uchybić" — pisze poeta, którego zbyt często cytuje.

Podział wód

Mało książek dało mi taką świadomość podziału wód między Polakami pamiętającymi jeszcze Polskę sprzed 1914 r. i pochodzącymi z różnych dzielnic. Sam do nich należę: mogę podziwiać Morawskiego, Wielkopolanina, ale Czarnyszewicz, obaj Mackiewicze, ale Miłosz i nawet Jerzy Stempowski z Ukrainy *to* są moi krajanie. Przez Mickiewicza, każdy Polak deklamuje „Litwo ojczyzno moja", ale dla mnie to nie jest tylko poezja, to rzeczywistość, dla dzisiejszego pokolenia zapewne już nie istniejąca.

Wspomnienie z dzieciństwa: mieliśmy krewnych pod Dyneburgiem. Starsze od nas kuzynki, w których się kochałem na spółkę z całym rodzeństwem. Jedna z nich wyszła za mąż w Poznańskim. Tak się stało, że mąż, jej pełen zasług obywatelskich, był sławnie skąpy i do tego pedant. Co wieczór własnoręcznie

czyścił szczoteczką cały posiadany bilon, żeby pięknie błyszczał, a przy stole sam kroił chleb, pytając czy ukroić grubo, czy cienko. Goszczący u niego jeden z moich kuzynów znad Dźwiny został przez niego skarcony za plamkę na obrusie przy nalewaniu wina, kuzyn wylał mu wówczas demonstracyjnie pół butelki tegoż wina na obrus. Ten gest wydawał mi się wówczas wspaniały, to się nazywało „szeroka natura", a Poznańskie zostało w mojej świadomości płaskim krajem cnotliwych i skąpych robigroszów. Małżeństwo w Poznańskim to było coś w rodzaju zesłania na Syberię.

A przecie poziom kulturalny mojej kresowej rodziny, moich krewnych czy sąsiadów, których pamiętam z tamtych czasów, nie był na pewno wyższy od poziomu kulturalnego Poznaniaków. Prawdopodobnie więcej pito alkoholu i z większym rozmachem „szerokie natury" używały życia i polowania. Domów polskich naprawdę kulturalnych, gdzie biblioteka była żywa i aktualna, jak w Stańkowie mego stryja czy w Rakowie Zdziechowskich, nie wiem czy było więcej niż w Poznańskim — prawdopodobnie mniej.

Ten przykład mojej skrajnej, dziecinnej oceny nie zdaje mi się wówczas odosobniony na Kresach. Przecie nie tylko Wielkopolska, ale cała rdzenna Polska była przez nas jeszcze w okresie niepodległości nieraz traktowana z irytacją i lekceważaniem, do pewnego stopnia tak jak Francja przez Francuzów algierskich. O tym, że Poznańskie jest anty-poetyczne, że nie istnieje w poezji polskiej, mówiło się jak o rzeczy niewątpliwej. Cóż z tego, że Wielkopolanie cytować mogli szereg nazwisk, aż po Kasprowicza, że przypominali „Bogurodzicę Dziewicę", ten religijny pomnik poezji polskiej, który przecież nie na kresach powstał. Wszystko to gasło w blasku imion Mickiewicza i Słowackiego.

Morawski odkrywa nam skrawek pejzażu wielkopolskiego, opary nad Odrą, bagna, zalewiska, dęby potężne, czarną glebę, gdzie wyorywano z bruzd kamienne, brązowe narzędzia i urny palone z gliny, ślad najdawniejszych mieszkańców. Opowiada nam o kolejnym nawarstwianiu się ludności, o rycerzach normandzkich przybyłych w XII w., o łuku romańskim w Luboniu, o wrastaniu w świat chłopów, w świat dynastii chłopskich tam zakorzenionych i statecznych — szlachty polskiej, elementu bardziej koczowniczego.

Autor daje nam ewokację kultury płynącej z pokolenia w pokolenie, stosunków sąsiedzkich między dworem a wsią — o tyle bardziej demokratycznych, niż u nas na Kresach — i po swojemu, po rodzinnemu załatwianych zatargów już w Polsce Niepodległej.

W innym rozdziale walka klasyków z romantykami jest opowiedziana jak epizod rodzinny: Franciszek Morawski, bracia Koźmianowie, Ludwik Osiński, potem Józef Morawski, opiekun „pięknej Konstancji Łubieńskiej" i pobyt Mickiewicza w tych właśnie dworach w roku 1830. Morawski nawet wykazuje jak

Pan Tadeusz nie tylko litewskim, ale i wielkopolskim nasiąkł światem.

Daniel Halévy opowiadał mi kiedyś, że gdy pisał *La République des Ducs* i *La fin des notables* na podstawie wielu albumów, do których jego ojciec wklejał latami interesujące go w tamtych czasach artykuły, czy karykatury polityczne — miał wrażenie, że to nie on, ale zmarły już dawno ojciec trzymał pióro. Gdy Morawski pisze o tamtych czasach zdaje się czytelnikowi, że dziadkowie jego piórem kierują. Jakże bliski jest styl Morawskiego innych wspomnień z XIX wieku, bliski i własny zarazem. Przypomina mi również w rytmie XIX-wieczne wspomnienia francuskie. Umyślnie przeczytałem głośno rozdział z *Souvenirs d'enfance et de jeunesse* Renana, i zaraz potem parę rozdziałów Morawskiego. Uderzyła mnie zbieżność stylu, pokrewieństwo nie tylko formy, ale nawet stosunku do świata, nawet niektórych epizodów. Opowieść o pustelniku przykrytym opończą, na posłaniu z liści i mchu Jurkowskiego lasu, który jako jedyny skarb w swojej chacie posiadał komplet dzieł Voltaire'a, mógłby, trochę rozszerzony, wejść do wspomnień Renana obok jego *Bonhomme système*.

Rosja

Wracając do nas, Polaków kresowych, to jeszcze jednym powodem, który nas dzielił z Wielkopolską, było nasze sąsiedztwo ze światem rosyjskim. Wpływ Rosji, walka z nią czy wstydliwie ukrywana symbioza, inne ciągi kulturalne.

Tu znowu własne doświadczenie jest zbyt jaskrawe, by było typowe, ale i ono może naświetli to, co chcę wyrazić.

Szkoły w Petersburgu, pierwsze potężne wrażenia literackie, ale ponad literaturę wybiegające — Tołstoj, Dostojewski (wcale nie Mickiewicz czy Słowacki), potem rewolucja i magia jej uniwersalizmu, nawet gdy się było przeciw niej, to wszystko stwarzało we mnie kompleks niższości Polaka. Z walką o niepodległość Polski, z jej stroną heroiczną, zetknąłem się bezpośrednio dopiero w wojsku — w dzieciństwie i we wczesnej młodości przenikała do mnie upoetyzowana, ucukrzona — moja najbliższa rodzina była bardzo daleka od głębokich nurtów myśli polskiej. W cieniu Tołstoja, Dostojewskiego, potem rewolucji, Polska pachniała mi jakimś prowincjonalizmem w porównaniu do Rosji tytanicznej, okrutnej, skrajnej i genialnej.

Dopiero w 1919 r. znalazłem „Legendę Młodej Polski" na stoliku w poczekalni dentysty w Krakowie. Pierwsze wówczas przeczytane strony podziałały na mnie dosłownie jak piorun. Poprzez okrutny atak Brzozowskiego na polską połanieccczyznę, na krwawych Reytanów używanych do obrony pełnych polskich spiżarni, atak na Polskę bezpieczną, sytą, sentymentalnie patriotyczną, atak przeciw Sienkiewiczowi — odkrywałem Polskę inną, której zupełnie nie znałem: polską lewicę, inne oblicze

Mickiewicza, poprzez kilka zdań Brzozowskiego przeczułem Norwida i nagle poczułem, że ta Polska jest moją Polską — zakochałem się w niej i zrozumiałem, że mój kompleks niższości wobec Rosji jest jedynie świadectwem mojej i mojego światka połanieccczyzny.

Po Brzozowskim przemówienia Piłsudskiego z 1920 roku były nową rewelacją; w każdym było jakby coś wyłącznie dla mnie powiedziane, jego zdania urwane z rozmów prywatnych, z ust do ust powtarzane, formowały moją świadomość. („Polska to jest jak kołtun, trzeba ją przedtem dobrze rozczesać, by każdy włos był z osobna i wtedy będzie można może kosę zapleść"). Jego idea, jego walka uparta o Polskę, ojczyznę zgodnych narodów, a nie narodu, nawet akcent jego, gwałtownie litewski, wszystko było dla mnie potwierdzeniem idei polskiej, uniwersalnej, potencjalnie inaczej i lepiej uniwersalnej niż Rosja z jej okrutną rewolucją i totalizmem.

Dla Morawskiego, sądząc z „Tamtego Brzegu", Brzozowski nie istniał i prawdopodobnie nie potrzebował istnieć. Jego tradycja polska, pełniejsza, bardziej ciągła, bardziej zachodnia, nie wymagała tak bezwzględnego rachunku sumienia, nie usposabiała do buntu. Piłsudski był dla niego postacią wielką, ale w stylu mu obcą, a Dmowski — pomimo różnicy poglądów — tak jak i on Polak rdzenny, był może przecież psychologicznie dla niego łatwiej zrozumiały.

Potok namiętny „Legendy", pamflet na Polskę zdziecinniałą Brzozowskiego, przemówienia Piłsudskiego aż po mowę w Sali Malinowej, gdzie niektórym słuchaczom zdawało się, że mówi szaleniec, jego brutalne wywiady sprzed 1926 r. — cóż to może mieć wspólnego ze stylem, z pismem Morawskiego, opanowanym, wystrzegającym się ataków osobistych, operującym aluzją, krytyką zawsze oględną, o ileż chętniej pochwałą.

„Krzyk naszego pokolenia"

Jakże często nurty zapładniające pewną epokę, biegnąc równolegle prawie się nie dotykają a nieraz nawet o sobie nie wiedzą —- myślałem czytając rozdziały książki poświęcone Skamandrytom i Skamandrowi, temu pięknemu hołdowi poetom.

„Krzyk wasz był krzykiem naszego pokolenia" — pisze Morawski o Skamandrytach i wspomina młodego poetę, który dziś wywodząc się z Mickiewicza i Kwadrygi otrząsa się na Skamandra. „Tak z biegiem lat" — zauważa Morawski — „zmieniają się wciąż mody, gusty, i upodobania". Czyżby to była tylko inna moda, zależna od generacji? W pokoleniu Morawskiego, do którego ja należę, było nas sporo Skamandrowi opornych. Nie chodzi mi tu wcale o polemikę, kto lepszy. Nikt nie zaprzeczy faktu, że Skamander dał Polsce paru autentycznych poetów — Tuwima przede wszystkim. Ale skąd był w naszym, Morawskiego i moim, pokoleniu również tak żywy opór

przeciwko Skamandrytom? Znów będę mówił o sobie, więc o przykładzie skrajnym, więc nietypowym.

Z poezją Skamandra zetknąłem się po raz pierwszy w 1919 roku. Tylko co wróciłem z Rosji, jeszcze pełen tamtego świata. Pierwszym Skamandrytą, którego poznałem był Jarosław Iwaszkiewicz. Jego już wówczas wielka kultura poetycka, jego utwory literackie, od wierszy po „Zenobię Palmurę" odrzucałem w czambuł. Czułem w tym jakiś nienawistny mi estetyzm, jakąś sztukę dla sztuki, nie rozumiałem, rozumieć nie chciałem. Byłem głuchy na prawdziwe wartości Jarosława Iwaszkiewicza, na jego nowatorstwo na terenie Polski, które tak cenił Żeromski. Nie tylko Błok i Majakowski, ale Zinaida Gippius byli mi bliżsi stokrotnie. Zaważyła tu zupełna ignorancja nurtów poetyckich Zachodu, które już dobrze znał Iwaszkiewicz i jakże słaba znajomość poezji polskiej. Niemniej moja wroga wówczas reakcja miała powody głębsze. Nigdy, znając dobrze wielu Skamandrytów, nie czułem w nich krzyku mojego pokolenia, nie brałem ich bardzo na serio, poza jednym Tuwimem. Tuwim, parę nowel Iwaszkiewicza, „Wróble na dachu" i „Wiosna i wino", wybuch młodzieńczej radości Wierzyńskiego — to chyba wszystko co mi zostało w pamięci z poezji i prozy Skamandra.

„Niemożliwa" gazetka ścienna, która gorszyła nawet Żeromskiego, redagowana w Krakowie przez Tytusa Czyżewskiego, później jego „Robespierre", „Kolędy", „Tratatatam" Brunona Jasieńskiego, jego „Nuż w bżuhu", „Szela", jakieś wiersze „majakowskie" o zapachu farby drukarskiej, o ulicy i koniu dorożkarskim, czy ten „Mickiewicz" Młodożeńca w płatkach śniegu na Rynku Krakowskim, którego Młodożeniec zabiera na kawę — to był dla mnie, w tamte lata, niepokojący, czasem gorszący nowy świat — reakcja przeciw snom ze srebra i kryształu, którymi mnie karmiła w dzieciństwie patriotyczna i ukochana ciotka. Tytus Czyżewski, to złośliwy, to czuły, zawsze w nędzy, malarz i poeta, jeszcze po 1930 roku w IPS-ie pomiatany i na którego Skamandryci patrzyli z łaskawym lekceważeniem ze swego półpięterka w Ziemiańskiej; Bruno Jasieński, komunista fanatyczny z monoklem, zgładzony przez komunistów; Młodożeniec milczek nieśmiały; nawet Peiper tronujący w kawiarni na rogu Karmelickiej i Krupniczej ze swoją „Zwrotnicą" — ten świat który odkrywałem poprzez Kapistów, Waliszewskiego, Jaremę — zdawał mi się krzykiem mojego pokolenia. Świat młodych, w którym żyłem wówczas — trzon przyszłych Kapistów — miał reakcje przeciw Skamandrowi jeszcze bez porównania gwałtowniejsze ode mnie.

Z czasem Lechoń stał się dla mnie postacią najbardziej typową w Skamandrze. Nie lubiłem Lechonia wbrew wspólnym przyjaciołom, którzy aż po New York próbowali nas zbliżyć. Jego romantyczność zdawała mi się zawsze sztuczna, zimna, epigońska. Nie mówię już o jego Dzienniku, gdzie rzuca się w oczy jakiś niesamowity snobizm, arrywizm, kulturalna powierzchowność, cechy które właśnie w kombinacji z pozą roman-

tyczną były trudne do zniesienia. Morawski, znając go o tyle lepiej, zdaje się brać na serio i jego romantyzm i nawet jego salonowo literackie sukcesy paryskie, które go zniszczyły. I te były dęte. Te obiady attaché kulturalnego, który na kaczkę z pomarańczami i na inne drogie przysmaki spędzał Polaków i Francuzów „znacznych", aż do zgrzytu niedobranych. Pamiętam taki wieczór u niego z Bouteronem, Kislingiem i „Amiełowskim" Robert de Trazem, wieloletnim redaktorem chyba „Revue de Genève", czy obiad we trójkę z tymże de Trazem, który się interesował życiem religijnym w Polsce i któremu Lechoń wpychał propagandowe banały o Polsce razem z tą wieczną kaczką z pomarańczami.

Raz jeden, chyba w roku 1935, pamiętam jak mnie odwoził w nocy z przyjęcia u Godebskich. W ciemnej taksówce, w chwili gdy z niej wychodziłem zadeklamował mi swym złym francuskim akcentem jakąś strofę z Mallarmée'go, wtedy, raz jeden, poczułem w nim poetę, bezinteresownego poetę. Takim musiał go widzieć Morawski, by tak o nim napisać, jak pisze.

Jeżeli chodzi o wiersze, które zyskały mu w Polsce sławę błyskawiczną, jak „Piłsudski", z „Karmazynowego Poematu", miałem jedno przeżycie, które mi stosunek do Lechonia ustawiło definitywnie.

Starobielsk, listopad 1939. Pierwsza w obozie po klęsce, akademia listopadowa za którą jej główny organizator zostaje przerzucony na daleką Północ i ginie nam z oczu na zawsze. Człowiek w nieszczęściu jest wyczulony. Akademia tam, rzucona jak wyzwanie nie tylko NKW-dystom, ale nam wszystkim podciętym przez nieszczęście. Deklamacja. Koncert Jankiela. Któż z nas słuchając nie płakał. Ale nie tylko Mickiewicz, wiersz Or-Ota był tam również na miejscu, działał nie tylko tematem ale najskromniejszą prawdę poetycką. Byliśmy wtedy zdolni przeżywać bezkrytycznie wszystko co nam Polskę przypominało. Po tych wierszach jeden z kolegów zadeklamował „Piłsudskiego" Lechonia. Pomimo że deklamował świetnie, natychmiast odczułem ten wiersz jak najgorszy fałsz, te welony i pobladłe Robespierry, te markizy liliowe i piersi obnażonej świętość, i do tego i Skriabin i oszalałe katedry! Chciałem się schować pod pryczę ze wstydu. Jakiś polski Igor Siewierjanin („Ananasy w szampanskom"), pustka, próbka mody minionej, która w zetknięciu z rzeczywistością niepudrowaną i niemalowaną rozprysła się na nic.

Lechoń widziany przeze mnie, jakże jest inny od tego co dojrzał w nim Morawski: człowiek o sile nieprzeciętnej, o drapieżnym i świetnym dowcipie, błyskawicznej, morderczej obserwacji (ileż razy namawiałem go by się stał polskim Celinem), który wiązał swój dowcip z jakimś piskliwym, diabolicznym śmiechem. W obcowaniu z nim czuło się jakąś mękę wewnętrzną na granicy szaleństwa, szaleństwa, może paniki, którą zadeptywał przyjęciami, głodem sukcesów i nieustannym ubieraniem się w kolorowy, papierowy frak romantyzmu.

Śmierć Lechonia ma dla mnie wymowę bardziej bliską niż wszystko, niż wszystkie jego wiersze — prawdziwszą.

Lecz jest inna samotność bez łez i uczucia
Samotność która nie zna widzów i współczucia...

W tym wierszu Balińskiego czuję Lechonia. Ten Lechoń pod szychem sławy i sukcesów ,,salonowych'' w Warszawie czy Paryżu, ten Lechoń w ogromnym New Yorku (deszcz siekący na Madison Avenue, 1950 rok, ciemno, spotykam nagle Lechonia w czarnym płaszczu z podniesionym kołnierzem. Swoim agresywnym tubalnym głosem woła do mnie: ,,Co się pan zajmuje ,,Kulturą'' — rzuć pan to, ja się takimi sprawami zajmowałem i siedem metrów kiszki mi wycięto!''). Ten właśnie Lechoń w deszczu nowojorskim i Lechoń wyskakujący z okna drapacza (pokusę wyskoczenia z okna miał już wiele lat temu w Polsce), tego Lechonia czuję jak żadnego innego, godnego miłości i współczucia.

Dżugla

Przewrót majowy zerwał karierę polityczną Morawskiego, odciął go na wiele lat od pracy, w którą włożył ,,cały entuzjazm młodości'', na własne żądanie wówczas się wycofał. Morawski opisuje ówczesne wypadki z umiarem i wolą sprawiedliwej oceny, a chwilami z humorem. Napomyka między innymi o ciążącym wówczas na nim zarzucie, że to on właśnie, jako zastępca ministra spraw zagranicznych, miał rozesłać okólnik do placówek wyjmując Piłsudskiego spod prawa. W rzeczywistości okólnik ten został rozesłany gdy Morawski od placówek zagranicznych był zupełnie odcięty. (,,Piłsudski! każdy ma dziś prawo zabić go jak psa — mówiła wtedy ambasadorowa Chłapowska słaniając się po ambasadzie paryskiej — zniszczył w parę godzin dziesięcioletnią pracę mojego męża''). Okólnik w sferach piłsudczyków wywołał naturalnie gwałtowne oburzenie i zrósł się z imieniem Morawskiego pełniącego funkcję ministra spraw zagranicznych w chwili wybuchu przewrotu majowego. Morawski dopiero w półtora roku później jest w stanie stwierdzić w jakich okolicznościach i przez kogo ten okólnik został zredagowany i rozsłany. Zgodnie ze stylem, który go cechował i cechuje, Morawski zachowuje tę wiadomość dla siebie, chcąc przez to osłonić ludzi za to odpowiedzialnych ,,dopóki w kraju panuje prawo dżungli''.

Pierwszy raz w prozie Morawskiego znajduję ocenę stosunków wyrażoną słowem tak ostrym. Zaczynam wspominać te czasy: Zagórski, jego tajemnicze zniknięcie, proces Brzeski, potem dalej i dalej, pacyfikacja Galicji, zamordowanie Hołówki i Pierackiego, Bereza. Czy mogę zarzucić Morawskiemu te słowa tak ostre o ówczesnej rzeczywistości polskiej, wybijające się z

tła całej książki? Czy użył ich nie na miejscu? Nie, ale *dla mnie* użył ich za późno. Jakże przeżycia osobiste nie fakty przeczytane, krystalizują nasz stosunek do świata otaczającego! Dla mnie, gdybym pisał wspomnienia z lat niepodległości użyłbym słowa dżungla już o wiele wcześniej. Myślałbym o okresie sprzed 1926 roku, kiedy zamordowano prezydenta Narutowicza, który był przyjacielem Morawskiego. Morawski o tym nie pisze, był wówczas na placówkach zagranicznych i z dżunglą się bezpośrednio nie zetknął. Dla mnie, który ją przeżyłem jako zwyczajny student na Krakowskiej Akademii, zaczęła się ona dawno przed 1926 rokiem i zamach majowy przeżyłem jak fakt szczęśliwy, który nas właśnie miał wybawić z dżungli, w którą nas pchali wyznawcy Dmowskiego.

O Dmowskim pisze Morawski z oględnością, z przyjaznym szacunkiem, choć dobrze wiemy, zaznacza to zresztą sam kilkakrotnie, że przekonań jego nigdy nie podzielał. Ten obiad u pani Marii Sobańskiej w 1919 r. we czwórkę z Dmowskim i Wojciechowskim, kostyczność Dmowskiego w ocenie przywódców konferencji pokojowej, potem rozmowy z Dmowskim, jego ocena własnych partyjnych współpracowników. Dmowski pokazany jest tam jak wszyscy, o których pisze Morawski, od strony ludzkiej i sympatycznej. Ale czytając ten opis wspominam inny obiad u tejże pani Marii Sobańskiej na Kredytowej, na którym nie byłem obecny, ale z którego miałem relacje bezpośrednie, bodajże od samej pani domu, gdzie Dmowski szalał z radości z powodu dojścia do władzy Hitlera. Widział w tym świt nowej ery dla Europy. I nie mogę się nie jeżyć gdy w końcu rozdziału o Dmowskim nazywa go Morawski pierwszym — bez komentarza i z dużych liter — „Człowiekiem Nowoczesnym".

Dżungla to w moich wspomnieniach dzika nagonka, nie przebierająca w środkach na Piłsudskiego, a potem na Narutowicza w latach 1920, 1921 i 1922. Dobrze pamiętam artykuły Strońskiego, o którym Morawski pisze tak ciepło, jak o jakimś świątku, w okresie gdy był ministrem na emigracji i wybraniał Piłsudczyków przed ministerialnymi „czystkami". Pamiętam ten artykuł w „Rzeczypospolitej", gdzie prezydent Narutowicz jest porównany do kamienia, którym Piłsudski przywalił drogę polskiej przyszłości (cytuję z najdalszej pamięci). Przecie Narutowicza zaledwie parę dni po tym artykule zamordowano i wtedy znów Stroński pisał „ciszej nad tą trumną". I nie pamiętam by śmierć ta dała powód narodowcom zrewidować, chociażby trochę, swoje metody działania. Dżunglą bym nazwał przemówienia na wiecach, w przede dniu zamordowania Narutowicza w Krakowie, jednego z dzisiejszych wodzów endenckich, który wołał o tymże Narutowiczu „precz z tym Żydem". „Tylko z troski o przyszłość" — mówiąc słowami wstępu Morawskiego — jakże nie pamiętać, o tym morderstwie u progu niepodległości, morderstwie człowieka szlachetnego, który nie miał osobistych wrogów, zamordowanego przez fanatyka-malarza, którego grób był przez lata ubrany kwieciem przez anonimowych wyz-

nawców. Hindus Vinayak Godse, który zamordował Gandhiego i skazany umarł bez skruchy, miał prawdopodobnie także grób ubrany kwiatami wyznawców.

Jeszcze wspomnienie dżungli: odczyt profesora Baudouin de Courtenay, światowej sławy filologa i człowieka kryształowego, który siedział wiele miesięcy zamknięty w twierdzy rosyjskiej za to, że występował w obronie Polaków, który w Polsce bronił Żydów i każdej mniejszości. Na jego odczycie w Teatrze Słowackiego w Krakowie w 1922 czy 1923 roku musiał coraz to przerywać swe przemówienie z powodu gwizdów i pisków ,,narodowej'' młodzieży. W pewnej chwili powiedział zdanie, że bywają ludzie przynależni, związani, zrośnięci nie z jednym narodem ale z dwoma. Mówił zresztą o profesorze niemieckim, który całe życie pracował nad historią Słowian żyjących na obszarze Niemiec. Młodzież endecka już w tym wyczuła cień filosemityzmu i rzuciła w niego jajkiem. Potem długo nie wypuszczaliśmy profesora, bo bojówka dzielnie czekała przed drzwiami, by go jeszcze znieważyć. Profesor wówczas wrócił na salę. Pamiętam jego smutne, świecące oczy w twarzy okolonej białą szczeciniasta bródką: ,,ja chcę to jajko zobaczyć'', rozciśnięte było na ścianie tuż za jego głową. ,,W wielu wielu krajach wykładałem, a coś takiego zdarzyło mi się po raz pierwszy w Krakowie''. Dziś już, w świetle tego co miało nadejść, ta scena z jajkiem wygląda prawie idyllicznie, ale przecie to był początek polskiej dżungli, ławek aryjskich, nacjonalizmu rasistowskiego, tego co zawdzięczaliśmy w Polsce przecież Dmowskiemu; ostatecznie iluż on Piłsudczyków zdemoralizował, którzy, jak słusznie pisze Morawski, szukając nowych rozwiązań zgubili po drodze wielonarodowość i znaleźli monopartię.

◆

Miałem zamiar pisać tylko o książce Kajetana Morawskiego, jakże daleko mnie uniosły skłonność polemiczna i własne wspomnienia, o których nie umiem myśleć pogodnie. Podczas czytania ,,Tamtego Brzegu'' zdarzało mi się, że wracałem do ,,Najnowszej Historii Politycznej'' Poboga-Malinowskiego. Zarzucają jej niektórzy stronniczość, pranie brudnej bielizny (jaka historia na świecie może się bez takiego prania obejść?), ale nie słyszałem by ktokolwiek śmiał jej zarzucić najmniejsze świadome uchybienie, prawdzie. Coraz to jednak urywałem to czytanie, nie miałem wprost sił brnąć dalej, odnajdując w niej tyle własnych zawiedzionych nadziei czy złudzeń.

Czy można sobie wyobrazić bardziej różne od Morawskiego podejście do przeszłości. Malinowski rany rozrywa, by nie zarosły błoną podłości i bliższy mi się zdaje ,,mojej'' Polski z okresu początków niepodległości. Morawski rany goi. Jego spojrzenie jest jednocześnie próbą zrozumienia stanowisk najsprzeczniejszych. Żadna z tych książek nie mogłaby się dziś w Polsce

ukazać. Ani książka historyka, ani wspomnienia ambasadora; dopełniają się one obie i będą kiedyś świadczyły, że i nasza emigracja nie na darmo istniała.

Jest więcej dystansu i może mądrości w książce Morawskiego. Cóż zrobić — zdaje się mówić autor — człowiek jest taki, Polak jest taki, żyjemy w takiej a nie innej epoce dziejów, trzeba wszystko zrozumieć i wszystko wybaczyć. Jeżeli ,,Historia'' Malinowskiego ma aurę gorączkową tragicznej wciąż jeszcze aktualności, ,,Tamten Brzeg'' jest książką w głębi swojej smutną. Są sprzeczności w naturze ludzkiej, mówi w niej autor między wierszami, które przyjąć musimy, z którymi musimy nauczyć się żyć w intymnej rezygnacji. Ale ta rezygnacja, ten smutek przemieniają się nieznacznie w pogodę i to jest trudna zdobycz tej książki.

Urywek z rozdziału ,,Rodzina i Wieś'' lepiej potrafi to oddać niż moje słowa.

,W domu gdzie wzrosłem i dokąd ze wszystkich wędrówek wracałem jak do portu macierzystego, mieści się teraz gminna Izba Położnicza. Żal mi zbutwiałych portretów i sztychów, żal rozproszonych książek. Ale wiem, że w zdziczałym parku wśród zapuszczonych gazonów i nad zarosłym przez sitowie stawem zawsze tak samo szumią stare lipy. I że w cieniu ich rodzą się nasze, polskie, jurkowskie dzieci''.

Józef CZAPSKI

Chwistek redivivus

Umarli jadą szybko — mówi niemieckie przysłowie. U nas jadą szybciej, niż gdziekolwiek indziej. Dlatego przypomnienie zmarłego w r. 1944 Leona Chwistka wyborem szkiców na rozmaite tematy artystyczne i kilku fragmentami prozy powieściowej, zatytułowanym ,,Wielość rzeczywistości w sztuce'' (1) należy uznać za wydarzenie.

W latach powojennych pochlebne wzmianki o Chwistku częściej można było spotkać w wydawnictwach obcych, niż w Polsce. Dla cudzoziemców jest on jedną z gwiazd polskiej konstelacji filozoficznej, polskiej szkoły logistyków, gwiazdą za-

(1) Leon Chwistek: *Wielość rzeczywistości w sztuce i inne szkice literackie*, ilustrowane rysunkami i akwarelami autora. Wybrał i przedmowę poprzedził Karol Estreicher. Czytelnik 1960. Stron. 264, ilustracje jednobarwne i wielobarwne w tekście i na wkładkach kredowych.

pewne nie tej wielkości co Leśniewski, Łukasiewicz czy Tarski, ale świecącą własnym i ciągle żywym światłem. Dla nas, dla tych, którzy go znali, którzy się z nim stykali na rozmaitych płaszczyznach jego działalności, Chwistek-logistyk nie wyczerpuje pełni zjawiska malowniczego, oryginalnego, właściwie niepowtarzalnego.

Był Chwistek jednocześnie badaczem, uczonym uniwersyteckim (w ostatnich latach przed wojną wykładał logikę matematyczną w uniwersytecie lwowskim) i artystą-malarzem. Był filozofem, teoretykiem sztuki i jednocześnie czynnym uczestnikiem ruchu plastycznego, znanego pod nazwą ,,formizmu''. Psychologia eksperymentalna, matematyka, logistyka, filozofia mu nie wystarczała, szukał ujścia w publicystyce, w prozie polemicznej, w prozie artystycznej.

Ale i to nie był jeszcze cały Chwistek. Stanowił on przeciwieństwo gabinetowego uczonego i twórcy zamkniętego w wieży z kości słoniowej. Przeciwnie był to człowiek agory, człowiek bardziej do pomyślenia na rynku ateńskim niż na ulicach Krakowa i Lwowa, poszukujący styczności z ludźmi, lubiący rozmawiać, lubiący się spierać, lubiący siać ferment i niepokój myślowy, lubiący nauczać i nauczając uczyć, wzbogacać siebie.

Autor ogłoszonego teraz wyboru pism Chwistka, Karol Estreicher, jego uczeń z gimnazjum Sobieskiego w Krakowie, zestawia we wstępie rozmaite strony osobowości, ale temu wstępowi zbywa na sile wywoławczej. Raczej przejawia się w nim iście krakauerska skłonność brązowania tej renesansowej postaci, dyskretnie koniunkturalna tendencja windowania tego sceptyka i relatywisty na piedestał marksistowski. O wiele plastyczniejszą, w niektórych partiach niemal po flamandzku krwistą i barwną sylwetkę Chwistka przyniosły wydane pośmiertnie ,,Wspomnienia i zapiski'' Zygmunta Leśnodorskiego (Kraków 1959).

Również wybór dokonany przez prof. Estreichera budzi wątpliwości i oskomę na więcej. Należałoby zebrać wszystkie pisma Chwistka. Wydać przede wszystkim trzy jego książki: ,,Wielość rzeczywistości'' (1921), ,,Zagadnienia kultury duchowej w Polsce'' (1932) i ,,Granice nauki, zarys logiki i metodologii nauk ścisłych'' (1939). Należałoby skupić prace rozproszone po czasopismach (sam drukowałem w ,,Teatrze'' jego artykuł, który naraził mnie na gromy ,,dobrze myślących'' i jeszcze lepiej kalkulujących). Należałoby też zbadać czy nie zachował się tekst lub stenogram wykładów Chwistka z zakresu estetyki (wykładał ją we Lwowie we wczesnych godzinach rannych, ,,z własnej pilności'' — był profesorem na wydziale matematyczno-przyrodniczym — i przywiązywał wielką wagę do ich siły burzycielskiej, obalającej schematy i przesądy). Ale i za to co w tej chwili mamy w ręku winni jesteśmy wydawcy prawdziwą wdzięczność.

Żeby zacząć od końca, wybór koronują cztery fragmenty powieści Chwistka ,,Pałace Boga czyli siedem grzechów śmier-

telnych", dwa przedrukowane z ,,Czasu", dwa, wydobyte ze spuścizny rękopiśmiennej. Estreicher utrzymuje, że tę powieść Chwistek pisał w latach 1934/9. Słyszałem jej ustępy z ust autora (tak samo chętnie czytał jak rozmawiał) w jego lwowskim mieszkaniu na ul. Tarnowskiego i w Zakopanem kilka lat wcześniej. Przechodziła ona burzliwe losy, doczekała się autodafé, spalenia przez żonę, miała kilka redakcji.

Ogłoszone teraz strzępki dają tylko blade wyobrażenie o tym dziele i dokumencie niezwykłej osobowości. Mieszała się w nim najzuchwalsza gra wyobraźni z niemniej zuchwałą grą intelektu, zabawa z głęboko patetyczną przygodą poszukiwania prawdy o świecie i sobie. Bohater powieści, kardynał Irydion Poniflet, ,,porte-parole" autora, jego trochę młodopolski portret zastępczy, przechodził w niej przez dantejskie piekło, grzeszył, dotykał ran i wrzodów życia, wątpił, deliberował, dyskutował, bluźnił i doznawał objawień.

Zachowałem w żywej pamięci ogólną atmosferę, tonację, skłębioną obrazowość, karkołomną paradoksalność utworu, ale nie jestem pewny czy Leśnodorski trafnie zapamiętał jego zasadniczą ideę, którą określa jako ,,powrót do pierwotnego, głęboko uspołecznionego chrześcijaństwa" (znamienne, że Estreicher przypisuje mu wprost przeciwny, niby marksistowski wydźwięk: ,,wiarę w lud i jego nieomylny instynkt etyczny"). Jestem pewny, że utwór Chwistka mimo upływu kilkudziesięciu lat od napisania, mimo gwałtownych zmian w twórczości powieściowej zabrzmiałby dzisiaj odrębnym i współczesnym tonem. Jeśli się zachował, co nie zostało w tym zbiorze wyjaśnione.

Największą zasługą wydawcy jest wydobycie jednej z wczesnych prac Chwistka, sięgającej pierwszego dziesięciolecia tego wieku i w ogóle zarysowanie drogi jego rozwoju umysłowego. Okazuje się, że Chwistek, wśród innych rzeczy, zdobył w Krakowie solidną wiedzę w dziedzinie psychologii doświadczalnej, był uczniem i współpracownikiem jej wybitnego przedstawiciela u nas, Heinricha. Jako samodzielny badacz zajmował się intensywnie psychologią widzenia, a przede wszystkim sprawą zmienności obrazów w rysunkach schematycznych o niepełnym konturze.

Od tego punktu prowadzi prosta, logiczna droga do filozofii i teorii sztuki rozwiniętej przez Chwistka. W teorii sztuki kładł on zawsze nacisk na element wyobraźni. W filozofii sformułował głośno i namiętnie dyskutowaną tezę, że rzeczywistość jest wieloraka, że istnieje kilka rzeczywistości. Nazywał je rozmaicie, ich liczba się wahała, ale najczęściej grawitowała do czterech: rzeczywistości potocznego doświadczenia, rzeczywistości fizykalnej, rzeczywistości wrażeń i rzeczywistości wyobrażeń. Z tym różnicowaniem związał Chwistek cztery odrębne typy sztuki: prymitywizm, realizm, impresjonizm i sztukę wyobraźniową, w jego przekonaniu najwyższą i najbliższą mu, którą określał rozmaicie: jako futuryzm czyli sztukę przyszłości, jako formizm czyli sztukę kładącą nacisk na element formy.

(Ciekawe jest, że w tej filozofii rzeczywistości i opartej na niej klasyfikacji sztuki nie mieści się dzisiejsza sztuka abstrakcyjna. ,,Nie da się pomyśleć taki obraz — mówi Chwistek — w którym uważny obserwator nie mógłby się dopatrzeć fragmentów świata rzeczywistego''. ,,Zerwanie ze światem rzeczywistym pozbawiłoby zarówno malarstwo, jak i rzeźbę tych cech istotnych, które odróżniają je od sztuki ornamentacyjnej''. Ta druga uwaga jest jednocześnie charakterystyką i krytyką abstrakcjonizmu).

Tak uzbrojony stał się Chwistek inspiratorem, teoretykiem i obrońcą ruchu ,,formistów'', który mu się marzył jako ,,nowy styl pomyślany na miarę gotyku''. Ten ruch był przejawem wyzwolenia się plastyki z zadań służebnych, skupił się w Krakowie, zakwitł bujnie, ale ku rozczarowaniu Chwistka trwał krótko. Estreicher zgromadził przeważną część, prawie wszystko co dotyczy tej dziedziny jego działalności od pierwszych manifestów, interpretacji polemik do podsumowania dokonanego na rok przed drugą wojną. Ma to spore znaczenie historyczne.

Ale cały ten dział książki, zajmujący jedną trzecią jej objętości, ma również sens aktualny. Racjonalista, myśliciel niedeklarujący wrogości wobec marksizmu, z oddalenia czterech dziesiątków lat uderza tutaj w dogmatyczne pojmowanie sztuki, w bałwochwalcze uwielbienie realizmu jako jedynej, najwyższej kategorii artystycznej, w ,,przesąd — mówiąc jego słowami — o prymacie realizmu jako typu malarskiego najbliższego rzeczywistości''. Z jego rozważań o wielu rzeczywistościach i wielu możliwych systemach artystycznych tchnie trzeźwiący powiew.

Inne działy wyboru dosyć przypadkowo lub nieco pretensjonalnie nazwane (,,Przyszłość sztuki'', ,,Krytyka literacka'' i ,,Myśl wyzwolona'') zawierają prace nie najbardziej typowe, nie najbardziej ważkie i cenne. Ale również te studia Chwistka czyta się z zainteresowaniem, nieraz ze zdumieniem.

Artykuł o ,,Teatrze przyszłości'' ogłoszony w ,,Zwrotnicy'' z 1921 r., młodzieńczo burzycielski (,,należy usunąć jedność osób i akcji, a przede wszystkim usunąć bohatera'') brzmi dziś jak proroctwo. Zapowiada Becketta, Adamowa, Ionesco, Pintera.

Podobnie szkic o architekturze z tego samego roku, zawierający szczegółowy projekt nowoczesnego hotelu w Zakopanem, zdaje się wyprzedzać Le Corbusiera, którego Chwistek zresztą wspomina, i Lloyda Wrighta, nie mniejszej rangi architekta amerykańskiego, o którym wtedy na pewno nic nie wiedział.

Niemal każda wypowiedź Chwistka, nawet błaha, nawet przebrzmiała jest pobudzająca. W swoich pracach eseistycznych i publicystycznych łączył on postawę zdrowego, tzw. chłopskiego rozsądku z prowokacją intelektualną. Jednocześnie odwoływał się do najprostszego rozeznania, dostępnego każdemu i stawiał rzecz na głowie, odsłaniał jej niespodziane widoki. Jest w jego stylu myślenia i w stylu pisania, nie zawsze zresztą starannym i wdzięcznym, coś z gawędziarza i coś z sofisty, coś ze staropolskiego rubachy i coś z wyrafinowanego Lorda Paradoxa, programo-

wego niekonformisty i gorszyciela. Jest także człowiek zdolny do bezinteresowności i entuzjazmu. Dzięki tym właściwościom Chwistek był czarującym „causeurem”, rozmówcą, kompanem do dyskusji i pisarzem, który najtrudniejsze sprawy sprowadzał „na bruk” czy na poziom stolika w kawiarni, umiał filozofować, teoretyzować bez mgieł, dymu i błyskawic. Ten urok prostoty nie zwietrzał. Działa ciągle.

W ciągu ubiegłych lat jakby zwietrzała plastyka Chwistka. 19 rysunków i 6 akwarel włączonych do książki w wielobarwnych, dosyć starannych reprodukcjach dzisiaj nie porusza i nie przekonuje. Wydają się błahe, przypadkowe, niewiele znaczące. Nie wytrzymał próby czasu także „strefizm”, własny system malarski, zakładający podział przestrzeni obrazu na strefy kształtów i związane z nimi strefy kolorów, choć Chwistek wierzył, że „niechybnie rozwinie się on z czasem w samodzielną szkołę malarską”. Nic podobnego się nie stało i dziś o „strefizmie” mało kto pamięta. Jego przykłady stworzone przez Chwistka nie zalecają się ani ukształtowaniem ani kolorem, nie są naprawdę wynalazcze, przeciwnie wyglądają na czystą kalkulację, wydają się ubogie i niezharmonizowane.

Można się nie zgadzać z Chwistkiem-pisarzem i Chwistkiem-plastykiem (nieraz chciał, żeby się z nim nie zgadzać i wzywał do tego), ale pisma wydane na nowo wracają nam żywego człowieka, wskrzeszają smak żywej rozmowy z jej wdziękiem, z fascynującym drganiem komórek mózgowych, z promieniowaniem wyjątkowo bogatej i szczodrej uczuciowości.

Tymon TERLECKI

Zapolska nareszcie autentyczna

Można powiedzieć, że autorka „Moralności pani Dulskiej” i „Panny Maliczewskiej” znalazła się pod dobrą gwiazdą. Jej sztuki zdobywają sobie dostęp do scen obcych w mierze większej niż kiedykolwiek; dotyczy to przede wszystkim „demokracji ludowych” i krajów skandynawskich, ale także w Anglii odbyła się niedawno angielska prapremiera „Skiza”. W Polsce trwa wokół Zapolskiej ruch godny uwagi. Dwie rzeczy są w nim szczególnie cenne: rozszerzanie znanego dotąd, dostępnego nam zakresu twórczości i ustalanie autetycznego brzmienia tekstów.

Jadwiga Czachowska i Ewa Korzeniewska wydały w nienagannej formie edytorskiej dwa sążniste tomy publicystyki Zapol-

skiej, wydobywające na światło wielki dział jej pisarstwa. Zbigniew Raszewski dokonał jeszcze większego i donioślejszego odkrycia: stwierdził, że dramatopisarski dorobek Zapolskiej wykracza daleko poza to co w świadomości kulturalnej wiąże się z jej nazwiskiem. W wyniku mozolnych poszukiwań ustalił, że Zapolska napisała w sumie 36 sztuk, jedno libretto operowe i jeden scenariusz filmowy. Z tego ukazały się w rozmaitych czasach i okolicznościach 22 sztuki czyli przeszło jedna trzecia twórczości z tego zakresu nie doczekała się utrwalenia i udostępnienia w druku. Z tej upośledzonej mniejszości dwa utwory, a także libretto i scenariusz zdołały już zaginąć, zdaje się bezpowrotnie.

Ale to nie jest wszystko. Krytyczna edycja wyboru ,,Dramatów'', (1), której pierwszy tom ukazał się nakładem Ossolineum, odsłoniła inną sprawę równie mało wiarogodną i niezbyt budującą. Teksty będące dotąd w obiegu, służące teatrom, stanowiące podstawę naszej wiedzy o zjawisku, są dalekie od poprawności, niekiedy są zgoła nieautentyczne. Dość powiedzieć, że jako tako poprawny tekst ,,Moralności pani Dulskiej'' ukazał się w trzytomowym wyborze popularnym krakowskiego Wydawnictwa Literackiego w r. 1957/58 czyli po 45 latach od pierwszego ogłoszenia sztuki.

Ale wspomniana edycja zawiera również rzeczy sięgające szczytów humorystyki polonistycznej. W objaśnieniach tekstu ,,Kaśki Kariatydy'' znajduje się m.in. uwaga: ,,ticus — przedśmiertny skurcz twarzy'' i domniemanie, że ,,paweł'' jest to gra hazardowa. Raszewscy odkryli, że zaszły tutaj karykaturalne pomyłki zecerskie, które w stanie niezmienionym przetrwały lata i dziesięciolecia, burze szalejące nad głową autorki i uciszenia, a nawet doczekały się takiej pseudonaukowej konsekracji. Stwierdzili, że ów ,,ticus'', nieznany żadnemu dykcjonarzowi, to źle odczytane przez składacza słowo ,,finis'' (w kontekście: ,,Finis — umarła!'') a ,,paweł'' wyskoczył aż dwukrotnie zamiast ,,poszedł''. Pochwycili więcej takich surrealistycznych chybek, a więc ,,nogi spięte w grecki węzeł'', który na ogół przystoi bardziej włosom, ,,śniegowice nakryte szlafmycą'', co byłoby równie perwersyjne jak niecelowe, gdy naprawdę chodzi o ,,mózgownice'', już rozsądniej łączone z tym nakryciem głowy.

Do sprostowania pomyłek doprowadziła długa, żmudna droga porównania wszystkich druków, wydań całości i fragmentów jak i wszystkich zachowanych rękopisów. W tym drugim zakresie wydawcom edycji krytycznej szczególne usługi oddały tzw. ,,egzemplarze teatralne''. Za czasów Zapolskiej przepisywano je ręcznie, zwykle z autografu. Te odpisy służyły dyrektorom, reżyserom, aktorom, były później przechowywane w

(1) Gabriela Zapolska: *Dramaty*. Tom I. Opracowała Anna Raszewska, wstęp napisał Zbigniew Raszewski. Wrocław-Warszawa 1960. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk. Stron. 685 + 19 ilustracji.

bibliotekach teatrów. Dzięki tym kopiom, dziś często unikatowym, ocalały także dwa dziesiątki sztuk Zapolskiej nieutrwalonych drukiem.

Na takiej podstawie Raszewscy odtworzyli tekst najbliższy intencji autorskiej. ,,Kaśkę Kariatydę'' w ogóle oparli na egzemplarzu teatralnym, nie na pierwodruku, ponieważ ten pierwodruk znajdujący się w wydaniu dramatów Zapolskiej z 1903 r. został ocenzurowany przez samego wydawcę Wiślickiego, redaktora ,,Przeglądu Tygodniowego'', ze strachu przed rosyjską cenzurą polityczną. Otrzymaliśmy teraz tekst nie tylko poprawny, ale o 12 stron maszynopisu obszerniejszy od dotychczas znanego, zawierający całe opuszczone partie dialogu, a nawet całe sceny. Wzbogaca on spojrzenie na ten utwór, odsłania metodę twórczą, wprowadza w ustrój wyobraźni Zapolskiej.

W krytyce tekstu wydawcy zachowują chwalebny umiar. Starają się odróżnić tekst autora od wersji reżyserskiej, niekiedy przyjmują gorsze brzmienie autorskie zamiast brzmienia udoskonalonego przez reżysera. Jedno tylko rozstrzygnięcie budzi wątpliwość. ,,Jojne Firułkes'' doszedł nas w dwóch różnych tekstach drukowanych w r. 1903. Jeden odpowiada redakcji pierwotnej, drugi jest redakcją teatralną, obszerniejszą, na którą złożył się wkład reżysera (Ludwika Solskiego), aktorów i samej autorki. Zapolska zaakceptowała ten tekst, usynowiła go przez druk. Ten tekst jest jej ,,ultima editio'' i on nas dzisiaj obowiązuje. Jeśli wydawcom to stanowisko wydawało się — nie bez pewnej racji — zbyt radykalne, mogli drugie wydanie ogłosić jako równorzędną redakcję, nie powinni się byli opowiedzieć bez zastrzeżeń za pierwszą. Ale koniec końców jest to sprawa wagi drugorzędnej, obchodząca historyka dramatu i teatru, ewentualnego reżysera, choć trudno przypuścić żeby się ktoś dzisiaj lub jutro porywał na teatralną realizację tego utworu.

Wydany obecnie tom pokrywa pierwszy okres działalności Zapolskiej, lata 1883-1897. W tych latach napisała ona 14 utworów dramatycznych. Do tomu weszło tylko pięć: ,,Małaszka'', ,,Kaśka Kariatyda'', ,,Żabusia'', ,,Małka Szwarcenkopf'' i ,,Jojne Firułkes''.

W dalszych tomach proporcja utworów włączonych w ich obręb będzie trzykrotnie większa. W sumie otrzymamy 20 utworów z 36, które zachowały się w pełnym lub częściowym brzmieniu, czy tylko w ,,wieści gminnej''. Nieuwzględniona reszta przedstawia często tak nikłą wartość artystyczną, że wydawcy zamieszczanie jej w pełnym, pomnikowym wydaniu uznali za przedwczesne. Zamiast niego zamierzyli wybór najobszerniejszy ze wszystkich (ostatni, 3-tomowy z 1957/8 zawierał 14 utworów), obejmujący dzieła, które ,,powinien poznać każdy kogo zajmuje historia teatru polskiego w drugiej połowie XIX w. i początku XX w.''.

Trudno się spierać z takim rozstrzygnięciem, tym trudniej, że obecny wybór całą twórczość drukowaną, przeważnie niedbale, i niedrukowaną, skazaną na zatratę, uwzględnia pośred-

nio — w obszernym wstępie Raszewskiego zatytułowanym: ,,Zapolska, pisarka teatralna''. Raszewski, uczeń Szweykowskiego, otrzymał stopień doktorski w Poznaniu za zarys monograficzny o autorce ,,Skiza'', ogłosił trzy odkrywcze prace: ,,Nieznana spuścizna Zapolskiej'' (1951), ,,Działalność teatralna Zapolskiej'' (1951), ,,Paryskimi śladami Zapolskiej'' (1956). Jest on najwybitniejszą indywidualnością wśród powojennego pokolenia teatrologów, współredaktorem ,,Pamiętnika Teatralnego'', ma już imponujący dorobek naukowy rozpięty na ogromnej skali tematów od polskiej sceny średniowiecznej do Wyspiańskiego, od wielkich romantyków do Rittnera i Zapolskiej.

Jego wstęp do I tomu ,,Dramatów'', obszerny, ale nie posunięty do tych monstrualnych rozmiarów co wstęp Wyki do Pigoniowskiego wydania Fredry, nosi znamiona odkrywczości. Raszewski najsłuszniej stwierdza, że Zapolska była ,,pierwszym od długiego czasu dramatopisarzem polskim, który naprawdę wiedział co się w Polsce dzieje i również pierwszym, który przedostał się do wewnątrz nieprzenikalnego świata teatru''. Zgodne z tym założeniem wyjaśnia związki pierwszych utworów dramatycznych z życiem współczesnym, ich tło ideowe, na koniec ich kontekst i odblask teatralny, bodźce twórcze idące od teatru i wcielenia gotowych dzieł przez teatr. Na pierwsze dwa zakresy dociekań Raszewskiego nie zgodziłby się ,,formalista'' czy ,,strukturalista'', ale przy takim temacie można by ich uniknąć tylko w sposób sztuczny. Trzeci jest ,,novum'': mógł go wprowadzić tylko historyk literatury, który jest jednocześnie historykiem teatru.

W każdym z tych zakresów Raszewski ma do powiedzenia rzeczy nowe i cenne. Śledzi jak ,,Małaszka'', ,,Kaśka Kariatyda'' i ,,Żabusia'' wyłoniły się w formie dramatycznej z wcześniejszych opracowań powieściowych (ostatnia z powieści o odmiennym tytule: ,,Fin-de-siècle'istka'').

W odniesieniu do ,,Małaszki'' uderzające jest stwierdzenie, że ten dramat o namiętnej i romansowej dziewczynie wiejskiej, okrzyczany jako pomiot Zoli, naprawdę wywodzi się z ,,Walentyny'' George Sand i poczciwej ,,Chaty za wsią'' Kraszewskiego (zresztą udramatyzowanej przez Zapolską), ma parantele raczej romantyczne niż naturalistyczne.

W ,,Kaśce Kariatydzie'', której bohaterką jest służąca, Raszewski wskazuje wpływ Paryża i ,,Théâtre Libre'', gdzie Zapolska bez powodzenia usiłowała zdobyć pozycję jako aktorka. Pod wpływem natchnień literackich wprowadziła do tego utworu tkaczy, ale wierna głównemu, z życia zaczerpniętemu wątkowi przesiedliła ich z Łodzi pod Lwów, choć ich tam ani wtedy, ani później nie było.

Po nieudanej wyprawie do Paryża, celem ambicji Zapolskiej jako aktorki i autorki dramatycznej stały się warszawskie teatry rządowe. Dla nich napisała ,,Żabusię'' czyniąc znamienne ustępstwa ideologiczne i artystyczne.

Gdy i ten podbój się nie udał, wystawiła w teatrach ogródkowych „Małkę Szwarcenkopf", napisaną na kolanie, w ciągu kilku tygodni, bez poprzedniego przygotowania powieściowego i — zdobyła „absolutny rekord powodzenia ogródków": 129 przedstawie w latach 1897-1901. Raszewski wymownie ukazuje do jakiego stopnia Zapolska dowiodła tym utworem, że jest „pilną uczennicą pozytywizmu". Równie frapujące jest stwierdzenie, że przed „Małką" nie było w literaturze „jidisz" (nie mówiąc już o polskiej) „dramatu ujawniającego w tej skali sytuacje i konflikty przenikające warszawski proletariat", chociaż Zapolska zużytkowała tutaj obserwacje zebrane we wszystkich trzech zaborach, a nawet — we Wrocławiu.

Nie mniej interesująco oświetlono okoliczności powstania drugiego dramatu żydowskiego „Jojne Firułkes". Raszewski nazywa go „wypracowaniem na temat zadany przez powodzenie". Pokazuje, że rogata choć tak bardzo kobieca dusza Zapolskiej umiała tworzyć tylko w pasji, w ogniu, pisała szybko, byle jak, ale z błyskami olśniewającej intuicji i głębokim wczuciem się w teatr. Nie była właściwie nigdy literatką, cyzelatorką wypracowującą swoje utwory przy biurku, była żywiołową pisarką teatralną, dostarczycielką scenariuszy dla aktorów. Zresztą na prowincji grała sama tytułowe role w prawie wszystkich swoich wczesnych dramatach.

Już ten pierwszy tom krytycznego wydania „Dramatów" wybranych Zapolskiej jest rewelacją. Udostępnia to co najważniejsze z jej dramatopisarstwa w świetle epoki, całej twórczości, burzliwego życia osobistego. Przynosi tekst nareszcie autentyczny.

Rewelacyjność i waga tej edycji będzie wzrastała w miarę ukazywania się dalszych tomów. Nie ma żadnej przesady w powiedzeniu, że oczekujemy ich z niecierpliwością.

Tymon TERLECKI

Powieść o somnabulikach

Trzydziestopięcioletni Elemire Zolla uchodzi słusznie we Włoszech za najwybitniejszego esseistę młodego pokolenia. Przed dwoma laty ogłosił niezmiernie inteligentną książkę *Eclissi dell'intellettuale,* która mimo że napisana *for the unhappy few,* miała ogromne powodzenie i bodaj trzy wydania. Jej smutnym bohaterem był *l'uomo-massa* (człowiek-masa), ostatni produkt ludzki (a raczej podludzki) cywilizacji maszyn, który „żyje w nierealnym stanie otępienia i koszmaru, przyjmuje

fakty zarówno kolektywne jak indywidualne życia codziennego nie spostrzegając ich już więcej. Fundamentalna obojętność panuje między osobą i osobą, gdyż wszystkie odruchy są już skoordynowane przez siły z zewnątrz, przeważnie anonimowe. Człowiek stracił bezpośredni smak życia, a jednak szuka go rozpaczliwie''.

Wkrótce potem Zolla opracował niewielką antologię *I moralisti moderni,* zawierającą urywki z pism Tomasza Manna, Kafki, Freuda, Prousta, Gide'a, Crocego, Simone Weil, Eliota, Adorno, Paula Valéry, Musila, Pasternaka i Hofmannsthala, z przedmową Moravii. Była w tej przedmowie diagnoza zgonu tradycyjnego moralizmu, który jest nie do pomyślenia bez dwóch pojęć: bez pojęcia humanizmu, i bez pojęcia dobra i zła. A gdzież miejsce dla humanizmu w naszej epoce hitlerowskich komór gazowych i systematycznej dehumanizacji sztuki? Gdzież, z drugiej strony, miejsce dla pojęcia dobra i zła w świecie tak z natury swojej optymistycznym? ,,By wierzyć w dobro i zło — pisał Moravia — trzeba być dostatecznie pesymistą i wierzyć, prócz dobra, także w zło. A tymczasem świat współczesny wierzy, lub co najmniej zdaje się wierzyć, tylko w dobro. Ten optymizm, poświadczony przez bezmierne rzezie dwóch wojen światowych i niezliczonych rewolucji (jedynie optymiści czyli rewolucjoniści i reformatorzy zdolni są rozlać tyle krwi), wyklucza wszelki moralizm. Marx i Freud wyjaśnili nam i zaręczyli że to co nazywamy złem nie istnieje, to znaczy nie posiadła istnienia autonomicznego, niezniszczalnego i pierworodnego, lecz może być usunięte i unicestwione zarówno przez rewolucję społeczną i polityczną jak przez kurację psychoanalityczną. Zło (i naturalnie także dobro) moralistów tradycyjnych było natomiast złem nieuleczalnym, odciśniętym w charakterach ludzkich jak grymas w masce lub instynkt zwierzęcy, bądź zobiektywizowanym w postaci diabła; złem które można było badać do dna, kontemplować z poczuciem absolutnego dystansu, opisywać w każdym szczególe bez obawy że zamieni się w swoją przeciwstawność. Było to zło nieruchome, jak nieruchome było dobro. Łatwiej wówczas zrozumieć że, jak zauważa Zolla, to zło nieruchome i nieuleczalne inspirowało pogardę, fundament i praźródło moralizmu. W samej rzeczy, można pogardzać tylko jeśli się jest całkowicie pewnym że pogardzany nie zasługuje na współczucie lub litość, że jest naprawdę i nieodwołalnie człowiekiem godnym pogardy a nie ofiarą uwarunkowań społecznych lub kompleksów podświadomości''.

W samej antologii Zolla poprzedził wszystkie fragmenty wypowiedzi i pism wybranych przez siebie autorów krótkimi wstępami. Autora *Procesu* i *Zamku* zaprezentował czytelnikowi przez pryzmat *Rozmów z Kafką* Gustawa Janucha, młodego Czecha który zebrał w ciekawym tomiku wspomnienia ze swoich przechadzek z Mistrzem. ,,Nie ma zdarzenia odbywającego się przed Kafką, by nie spojrzał on na nie zaraz na dystans, by nie poddał go procesowi odkupicielskiemu. Sąd banalny jest

wzbroniony w tej grze, liczy się tylko wynalazek moralny. Istota zła, samobójstwo, pochód robotniczy, gazeta, kino, miłość, oto tematy podsunięte przez spacery mistrza i ucznia, i reguła gry wymaga by wszystkie preteksty wyszły z rozmowy przeobrażone, by z codziennych faktów stały się szrankami w walce między miastem Boga i miastem demona. Świat się ożywia, wydobywa się z szarzyzny, i przybiera świętą i groźną postać zapasów światła z gwałtownymi cieniami. Nigdy nie osłabiać własnej uwagi, oddalać od siebie by przyjąć w siebie, gardzić by objąć potem w szerszych ramach tragedii moralnej — tego nauczył się Januch od Kafki".

Pierwsza przytoczona w antologii zasada Mistrza głosi: „Ludzie stają się źli i winni, gdyż mówią i działają nie przedstawiając sobie skutków swych słów i postępków. Są somnambulikami, a nie niegodziwcami".



Bez tego przydługiego wprowadzenia trudno należycie zrozumieć i ocenić powieść, którą Zolla napisał w latach 1957-58 a wydał dopiero teraz (1).

Jest jasne, że pisał ją równocześnie z książką o *l'uomo-massa,* i że w tym samym okresie przygotowywał także do druku wybór moralistów współczesnych. Chwilami *Cecilia albo Nieuwaga* robi wrażenie zbeletryzowanego esseju, który żywymi postaciami i opowiadanymi wypadkami posługuje się jak okazami, próbkami, dla zilustrowania wykładu. I gdyby chodziło tylko o objaśnienie powieści, można by się ograniczyć do naszej ekspozycji utkanej z cytatów: każdy z nich jest w *Cecilii* rozwinięty, i w każdym — *vice versa* — mieści się jak w zwięzłej formułce osobna partia narracji powieściowej; przy czym uwadze Kafki o somnabulikach należałoby wyznaczyć rolę motta całości.

Rzecz dzieje się w Turynie w ciągu jednego dnia. Jest to Turyn trochę widmowy, ale inną widmowością niż ta którą stolicy Piemontu nadał w swoich opowiadaniach Cesare Pavese: u autora *Tra donne sole* było to oglądanie konkretnego miasta przez mgłę, czasem sentymentalną, a czasem naprawdę tragiczną i poetycką; u autora *Cecilii* (mimo że posługuje się często w dialogach narzeczem piemonckim) jest to widmowość anonimowego miasta nowoczesnego — jakby akwarium o grubych szybach, na które patrzy się w jarzącym blasku neonu pod sufitem, — równie bezimiennego jak Mediolan w filmie Antoniniego *La notte.* O bohaterce powieści Zolla powiada w pewnej chwili tak: „To prawda — jest wolna i sama, wolna na świetlistej pustyni którą przemierza podobna do widma bez cienia".

(1) Elemire Zolla. *Cecilia o La Disattenzione*. Romanzo, Mediolan, Garzanti, 1961, str. 184.

A o Turynie: ,,W rzeczywistości kto śmiałby przypuszczać że ma sens konwersacja, przyzwoite życie którego pamięć przekazują książki, w mieście takim jak to? Dionigi idzie ulicą Cernaia: wszystko jest przezroczyste, oto miasto z bajki gdzie domy posiadają tylko fasadę i żadnego wnętrza. Zbiorowisko zadżumionych, do tego stopnia podejrzliwych, że mają się na baczności by nie powiedzieć sobie nawzajem nic innego poza 2+2=4; ich język jest udawany z nadmiaru nienawiści. Jadają w restauracjach Fiata, jeżdżą samochodami Fiata, wyprawiają się na narty pod egidą Fiata, kupują lodówki Fiata, spędzają wakacje w hotelach Fiata, uprawiają sport pod kontrolą Fiata, wdychają sadzę Fiata, śledzą losy drużyny piłkarskiej Fiata, chodzą do kin Fiata, czytają gazetę Fiata, założywszy że nie pracują u Fiata; a Fiat nie istnieje, nie ma twarzy ludzkiej (choćby to nawet była twarz tyrana), jest wykresem, wahadłem, nieprzerwanym ruchem, jest mózgiem swoich niezliczonych i bezbronnych niewolników o których ocierasz się na tych ponurych ulicach''. Znajdujemy się zatem w samym centrum świata zamieszkałego przez *l'uomo-massa,* gdzie ,,fundamentalna obojętność panuje między osobą i osobą, gdyż wszystkie odruchy są już skoordynowane przez siły z zewnątrz, przeważnie anonimowe''. Najgorsze, że w tym świecie wymaga się od człowieka by był ,,robotem sentymentalnym''. Dokoła, zewsząd — ze sklepów, z fabryk, z restauracji, ze słupów ulicznych — powódź taniej muzyczki. ,,Sztucznie tuczone gęsi i kury nie tylko znoszą ciągłe światło, które nie pozwala im spać, nie tylko uderza w nie nagły wstrząs prądu elektrycznego jeśli się ruszają, ale — aby ich nic nie odciągało od nieustannego dziobania ziarna — z głośników płynie bez ustanku muzyczka, która odwraca uwagę od hałasów z zewnątrz''. Na ulicach widuje się przechodniów z aparacikami radiowymi w ręku: ,,Ta potrzeba akompaniamentu muzycznego pochodzi z przyzwyczajenia do kina; aby się czuć widmowymi, czyli żywymi, także oni domagają się godności cieni z ekranu, własnej taśmy dźwiękowej''.

Bohaterką powieści jest młoda nauczycielka w szkole plakatu reklamowego, właśnie Cecilia. Ma ona rozstrzygnąć problem czy poddać się zabiegowi spędzenia płodu. Kto doradzi jej właściwy krok? Wszyscy z jej otoczenia — kochanek, rodzice, przyjaciele — są głusi: albo milczą, albo przemawiają językiem komunałów w stylu zmodernizowanego *Bouvarda* i *Pècucheta.* Głucha też i niezdolna do aktu refleksji jest sama Cecilia. Jej (i wszystkich dokoła) grzech główny polega na nieuwadze. Pierwszy rozdział kończy się bardzo dobrym opisem. Po wizycie u ginekologa, który potwierdza ostatecznie ciążę, Cecilia wstępuje do baru. Wrzuca żeton do maszyny z płytami i odczuwa ulgę gdy odzywają się znajome słowa piosenki: *Six o'clock stop seven o'clock stop.* ,,Sączy napój ani cierpki ani słodki, ledwie musujący od gazu. Nazwą produkującej go firmy wytapetowany jest lokal, i to nadaje sens i usprawiedliwienie piciu: szeptany rozkaz, któremu jest się posłusz-

nym przez nieuwagę. Wychodzi w końcu, znowu uprzątnięta i czysta: wyszarpnięte z niej strzały, które przyniosły ją z jakiejś mrocznej dali; nawet jeśli inne przelatują obok niej dalej z furkotem, już ich nie zauważa, a może i tak, ale na sposób ryby, którą niepokoi światło ślizgające się na powierzchni wody i która uderzeniem płetwy opuszcza się w dół, gdzie ciemność jest nietknięta i doskonała, gdzie izolowane od siebie inne ryby tego samego gatunku trwają w bezruchu, wyjąwszy od czasu do czasu krótki dreszcz płetwy".

W tym zdehumanizowanym świecie nie istnieje pojęcie dobra i zła, poza resztkami martwej konwencji. Jest optymistyczny, gdyż nie myśli nigdy o jutrze, gdyż jego mieszkańcy „mówią i działają nie przedstawiając sobie skutków swych słów i postępków", są somnambulikami. Gdybyż posiadali choć odrobinę wyobraźni moralnej! Ale nie. Porozumiewają się znakami: „Są to znaki nieznanego języka, wszyscy usiłują przybliżyć to co dalekie za pomocą psychologii, najsmutniejszej ze sztuk, która szafuje hojnie nazwami, lecz nie pozwala widzieć i żyć". Jak ognia boją się wszelkiej „dramatyzacji". Nie dramatyzujmy! — powtarzają na każdym kroku niby zaklęcie odczyniające złe uroki za trudnej do zrozumienia rzeczywistości. Kim więc i czym jest Cecilia albo Nieuwaga? „Symbolem. Nadchodzącą godziną która zabroni nam sądzić, która zmusi nas do przyjęcia bez sprzeciwu wszystkiego co już zastane".

W tak pomyślanej powieści, jeśli chce ona uniknąć ześlizgu w stronę dysertacji podyktowanej obsesją, zbyt jawnie polemicznej i mimo wnikliwości poszczególnych sądów tendencyjnej, ważne są trzy rzeczy: styl, dystans i poczucie humoru. Zolla wychodzi na ogół obronną ręką z tej potrójnej próby. Ton jego narracji przypomina lekcję ichtiologa uzbrojonego w długą pałeczkę, który objaśnia słuchaczom w akwarium osobliwości zachowania się różnych gatunków fauny morskiej. A częste i zabawne przebłyski humoru w *Cecilii albo Nieuwadze* każą pamiętać, że Kafka czytał swoje manuskrypty przyjaciołom śmiejąc się (nic to że z bolesnym grymasem na twarzy) i rozśmieszając ich do łez.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

"Ani wojna, ani pokój"

Właściwym autorem formułki „Ani wojna, ani pokój" jest Lew Trocki. On to bowiem, zrywając na początku 1918 roku rokowania brzeskie z Niemcami, wystąpił z koncepcją, by zakończyć działania wojenne bez

zawierania formalnego pokoju. Wówczas jednak nikt nie brał poważnie dziwacznej formułki Trockiego. Dziś, po czterdziestu paru latach, wybitny uczony brytyjski używa jej jako tytułu książki, omawiającej historię powojennego świata (1). Stwierdza, że od przeszło 15 lat, od zakończenia działań wojennych przeciwko Niemcom i Japonii, cały świat znajduje się w takim właśnie stanie. Działania wojenne w skali światowej prowadzone nie są, jednocześnie jednak nigdzie nie odczuwa się ostatecznej stabilizacji pokojowej. Wszędzie mamy stan ,,ani wojny, ani pokoju".

W okresie Drugiej Wojny Światowej wszyscy, a w szczególności społeczeństwa bezpośrednio objęte działaniami wojennymi, marzyły o nowym — lepszym — układzie stosunków ,,po wojnie". Niestety, wśród zwycięskich mocarstw zabrakło jedności: dwa najpotężniejsze z nich wystąpiły z dwoma odmiennymi rozwiązaniami sprawy powojennego ,,nowego ładu". ,,Ameryka — pisze prof. Seton-Watson — zalecała liberalną demokrację. jednocześnie utrzymując, że jest ona niemożliwa bez prywatnego kapitalizmu i zachowania zasady gospodarowania dla zysku. Rosja zalecała coś, co nazywała 'socjalizmem', utrzymując, że może on być osiągnięty tylko po przez monopartyjne państwo, siłą dławiące wszelkie objawy krytyki".

Zarówno liberalna demokracja jak i socjalizm — a często i jedno i drugie razem — miały w powojennym świecie swoich licznych zwolenników. Zapały ich jednak były w wielu wypadkach ostudzane przez owe warunki dodatkowe, rzekomo organicznie i nierozłącznie związane z obu ideałami.

Profesor Watson stwierdza, że w końcowym okresie wojny w Europie przewaga techniczna i ekonomiczna była całkowicie po stronie Zachodu i nie ma wątpliwości, że gdyby wówczas doszło do zbrojnego konfliktu pomiędzy Wschodem i Zachodem, zwycięstwo przypadłoby Zachodowi. Konflikt ten jednak był wówczas niemożliwy, gdyż zachodnia opinia publiczna widziała w Rosji ,,bohaterskiego sprzymierzeńca i przyjaciela". Opinię tę — pisze prof. Watson — podzielały również zachodnie rządy, pomimo iż poczynania sowieckie w Polsce i krajach naddunajskich budziły już pewne ich zaniepokojenie. Natomiast rząd sowiecki zawsze uważał mocarstwa zachodnie za wrogów w stopniu nie mniejszym niż hitlerowskie Niemcy, aczkolwiek zbrojnie walczył tylko z ostatnimi. To spowodowało, że, po zakończeniu działań wojennych i zdemobilizowaniu wojsk na Zachodzie, rząd sowiecki siłą narzucił swoje rozwiązanie krajom Europy środkowo-wschodniej, ustanawiając tam rządy swoich agentów. Następnie opanowanie przez komunistów Chin oraz postępy techniczne Sowietów w dziedzinie broni rakietowej i jądrowej zmieniły zasadniczo początkowy stosunek sił pomiędzy Wschodem a Zachodem.

Zdaniem prof. Watsona, nie tylko, prowadzona w rónyżch okresach z różnym natężeniem, ,,zimna wojna" pomiędzy mocarstwami anglo-saskimi a Sowietami powoduje w całym świecie ów dziwaczny stan ,,ani wojny, ani pokoju". Przyczyniają się do tego również inne kryzysy i konflikty, pośrednio tylko z ,,zimną wojną" związane. Świat w połowie XX w. różni się zasadniczo nie tylko od XIX-stowiecznego, lecz także i od

(1) Hughes Seton-Watson, *Neither War nor Peace*. The Struggle for Power in the Postwar World, New York, Praeger, 1960.

świata z okresu międzywojennego dwudziestolecia. Kryzysy i konflikty, które wówczas dopiero się zarysowywały, dziś wystąpiły w całej pełni i one to, w istocie rzeczy, określają oblicze świata dzisiejszego. Ziarna społecznej walki klasowej pomiędzy biednymi i bogatymi oraz nienawiści narodowościowej i rasowej wydały bujny plon na wszystkich kontynentach. Żerują na tym totalne ustroje komunistyczne, wówczas gdy ustroje demokratyczne, mniej lub więcej rozsądnie i skutecznie, usiłują znaleźć pokojowe środki rozwiązania narastających konfliktów rewolucyjnych.

Książka prof. Seton-Watsona ma układ dość niezwykły. Jej części pierwsza i ostatnia (piąta) są współczesną historią świata. Omawiają zdarzenia, jakie w ciągu ostatnich 15 lat miały miejsce w Europie, w świecie arabskim, w Azji i w Afryce, oraz w Ameryce Północnej i, przede wszystkim, w Południowej. Natomiast trzy środkowe części książki mają charakter zupełnie odmienny. Poświęcone są zagadnieniom, które autor uważa za decydujące dla doby współczesnej. Część II, zatytułowana „Siły rewolucji", mówi o zagadnieniach społecznych na wsi i w miastach, o roli inteligencji w społeczeństwach opóźnionych w rozwoju, oraz o technice współczesnych rewolucji, coraz rzadziej dokonywanych przez „atak od frontu", a coraz częściej robionych „od tyłu", czy nawet wręcz przy pomocy obcych wojsk. Część III, poświęcona totalizmowi, rozważa jego genezę i cechy charakterystyczne oraz strony słabe i mocne w porównaniu ze społeczeństwami wolnościowymi, jak również politykę zagraniczną państw totalnych. Wreszcie część IV omawia różne formy imperializmu zarówno zachodnio-europejskiego jak i sowieckiego, stosunek nacjonalizmu do imperializmu oraz różne przejawy rasizmu, zarówno anty-kolorowego jak i anty-białego. Tak w częściach historycznych jak monograficznych książka przynosi wiele ciekawego i na ogół mało znanego materiału faktycznego z różnych części świata i kręgów kultury. Po jej przeczytaniu rozumie się znacznie lepiej wypadki współczesne, w książce Seton-Watsona jeszcze nie omówione, jak np. sytuację w Kongo.

W dobie obecnej zagadnieniem kluczowym i właściwie luźno tylko związanym z „zimną wojną" jest sprawa nierównomiernego rozdziału dóbr materialnych wśród ludzkości. Prof. Watson stwierdza, że dobra te są w znacznej mierze skoncentrowane w „północno-zachodnim rogu świata" — w Północnej Ameryce i Zachodniej Europie. Korzysta z nich w najlepszym razie ćwierć ludzkości. Pozostałe zaś trzy ćwierci żyją wciąż w nędzy, na granicy głodu. Co gorzej, w ostatnim okresie rozpiętość w poziomie życia nie tylko nie ulega wyrównaniu, lecz raczej się powiększa. Główną tego przyczyną jest nadmierny przyrost naturalny. Dzięki polepszeniu się w całym świecie warunków higienicznych i zdrowotnych, w społeczeństwach bardziej prymitywnych przyrost ludności ostatnio wciąż wyprzedza przyrost dochodu i bogactwa narodowego. A tymczasem społeczeństwa te zaczynają sobie zdawać sprawę, że stan, w jakim żyją, w wielu wypadkach urąga godności ludzkiej. W szczególności miejscowa inteligencja, często osobiście dobrze znając warunki życia na Zachodzie, specjalnie ostro odczuwa upośledzenie mas własnego społeczeństwa. Zdaniem prof. Watsona, inteligencji tej przypada doniosła rola przywódcza w rewolucyjnej walce o narodową niepodległość i polepszenie warunków bytowania opóźnionych w rozwoju ludów. Ponieważ zaś poziom tej inteligencji nie zawsze jest dość wysoki, niekiedy przyjmuje ona na wiarę twierdzenia komunistów o posiadaniu przez

nich niezawodnej recepty osiągnięcia w szybkim tempie dobrobytu i szczęścia dla wszystkich. Jednocześnie zadawnione urazy do europejskich ,,kolonizatorów'' powodują, że ich argumenty demokratyczne często są traktowane z nieufnością.

W związku z tym konieczne stają się nie słowa, lecz czyny. Bogate społeczeństwa w swoim własnym interesie powinny nieść pomoc uboższym. Prof. Watson wylicza wielomiliardowe sumy wydatkowane na ten cel w ciągu ostatnich 15 lat i stwierdza, że wielokrotnie przewyższają one tak szeroko reklamowaną ,,pomoc'' ekonomiczną, z jaką ostatnio występować zaczęły również państwa bloku sowieckiego. Wszystko to jednak nie wystarcza, gdyż nie daje natychmiast odczuwalnych rezultatów. Napięcie trwa i nawet rośnie. W dodatku namiętności klasowe, narodowościowe i rasowe są pobudzane przez nieodpowiedzialną i przez prof. Watsona surowo potępianą politykę typu południowo-afrykańskiego.

W tej sytuacji zadania i obowiązki demokratycznych polityków i mężów stanu nie są łatwe. Prof. Watson kończy swoją, pisaną przed amerykańskimi wyborami, ciekawą, choć nie zbyt optymistyczną książkę stwierdzeniem, że szarym zwykłym ludziom pozostaje tylko się modlić, aby wybrani przez nich przywódcy wykazali w przyszłości więcej politycznej mądrości i odwagi, niż w ciągu ostatnich 15 lat.

Wiktor SUKIENNICKI

Zjednoczona i Europa i jej szanse

Profesor Maurice Allais, znany jest nie tylko jako wybitny ekonomista, ale też jako zwolennik idei europejskiej i tradycji liberalnych. Nic więc dziwnego, że jego ostatnia książka (1) nie jest zwykłym apelem do Unii europejskiej. Jest to wykład doktryny, w której korzyści gospodarcze, polityczne i społeczne Zjednoczonej Europy wynikają logicznie i nieuchronnie z systemu proponowanego gospodarki rynkowej.

Dla Maurice Allais, Zjednoczona Europa winna gwarantować przede wszystkim stworzenie wspólnego rynku przez swobodną wymianę towarów i wolny przepływ kapitałów i pracujących. Decyzje gospodarcze powinny być podejmowane w sposób zdecentralizowany, na podstawie cen kształtujących się swobodnie na rynku. Jego zdaniem, tylko utrzymanie własności

(1) Maurice ALLAIS, L'Europe Unie, route de prospérité (Grand Prix de la Communauté Atlantique (Zjednoczona Europa, źródło dobrobytu — Praca odznaczona Wielką nagrodą Wspólnoty Atlantyckiej), Collection Liberté de l'esprit dirigée par Raymond ARON, Calman-Lévy Editeur, Paris 1960, in 8, 368 stron.

prywatnej pozwoli na realizację tego systemu, którego głównym motorem jest stała presja wolnej konkurencji.

Według obliczeń autora, realizacja Wspólnego Rynku w Europie zachodniej pozwoliłaby na podwojenie wydajności pracy i co za tym idzie stopy życiowej. Możliwość osiągnięcia optymalnej wydajności społecznej przedstawiona jest zarówno teoretycznie, jak i praktycznie na przykładzie Stanów Zjednoczonych. Z pewnym zdziwieniem dowiadujemy się, że wydajność i stopa życiowa dwukrotnie wyższe w Stanach Zjednoczonych w porównaniu z Francją, nie są rezultatem większej intensywności kapitału, ani lepszej jakości pracy. Bogatsze zasoby naturalne Stanów Zjednoczonych odgrywają również rolę drugorzędną. Głównym powodem przewagi amerykańskiej jest system wolnej konkurencji rzeczywiście stosowany i praktycznie nie kwestionowany na rozległym obszarze. Dochodzą do tego lepsze szanse awansu społecznego. W każdym systemie społeczeństwo musi wybierać pomiędzy lepszą wydajnością pracy i obroną przywilejów przedsiębiorców lub gwarancji stałości zatrudnienia pracujących. System amerykański wybrał zdecydowanie wyższą wydajność pracy. Wysokie płace oraz postęp nauki i techniki, są tylko wynikiem obranego systemu.

Profesor Allais nie przeczy bynajmniej istnieniu wielu przeszkód na drodze realizacji Wspólnoty Europejskiej. Najważniejsze trudności widzi w zwalczaniu zaburzeń powstałych ze zmiany lokalizacji i specjalizacji przedsiębiorstw. Mniej ważne, lecz istotne są również przeszkody wynikające z różnic poziomu życia, intensywności kapitału lub z ustawodawstwa poszczególnych krajów. Zaburzenia te należy jednak traktować tak jak zaburzenia wynikające z postępu technicznego, łagodząc straty poniesione przez jednostki i wprowadzając dosyć długi okres przejściowy.

Cały szereg argumentów używanych przeciwko wspólnocie europejskiej jest jednak nie do przyjęcia. Spotyka się często zdania, że warunkiem wspólnego rynku winno być uprzednie zrównanie warunków produkcji. Argumenty używane przez poszczególne kraje są zresztą sprzeczne ze sobą. Kraje zamożne skarżą się na niskie płace ich konkurentów, a kraje nie dosyć rozwinięte, na zbyt wysoką wydajność pracy partnerów. Byłoby jednak zupełnie błędnym zrównywanie poziomu płac i natychmiastowe podnoszenie go do poziomu najwyższego. Różnica w płacach wynika z różnicy w wydajności pracy. Ustalając kurs wymiany pieniądza na poziomie umożliwiającym równowagę bilansu płatniczego, można ominąć trudności wynikające ze zbyt wielkiej przewagi danego kraju w dziedzinie wydajności pracy. Wymiana międzynarodowa będzie możliwa, ponieważ w poszczególnych gałęziach, wydajność pracy jest wyższa lub niższa od przeciętnej; wspólnota jako całość może więc tylko zyskać na takiej wymianie.

Aby swobodna wymiana pomiędzy poszczególnymi krajami była możliwa, nie można stosować dwóch różnych systemów: wolnego rynku na zewnątrz i gospodarki planowej na wewnątrz. Wolny Rynek europejski jest więc nie do pogodzenia z systemem centralnego, autorytatywnego planowania. Synteza liberalizmu i socjalizmu winna polegać na planowaniu struktur w obrębie których byłoby możliwe skuteczne funkcjonowanie gospodarki rynkowej połączone z bardziej sprawiedliwym podziałem dochodu społecznego.

Ostatni rozdział książki poświęcony jest ocenie dotychczasowych wyników polityki zjednoczenia Europy. Wspólnota Węgla i Stali odegrała

rolę pozytywną, ale wyniki jej są nader skromne. Pomimo pomyślnej koniunktury nie była ona w stanie sprowokować zmian zasadniczych w strukturze produkcji. Stało się jasne, że nie można stworzyć wspólnego rynku dla poszczególnych towarów, zaniedbując wysiłki niezbędne dla stworzenia wolnego rynku dla całości. Realnym postępem było więc podpisanie traktatu rzymskiego o Wspólnym Rynku. Traktat ten przewiduje niestety zbyt wiele ograniczeń, szczególnie w wymianie produktów rolniczych oraz w przepływach kapitałów i ludności pracującej. Projekt brytyjski strefy wolno-celnej spotyka się z zasadniczą krytyką. Przyjęcie tego projektu pozwoliłoby Wielkiej Brytanii na kontrolę Wspólnego Rynku, bez poddania się jego prawom, oraz uzyskanie podwójnej korzyści, wynikającej z brytyjskiej wspólnoty i ze wspólnoty europejskiej.

Aspiracje Profesora Allais wybiegają w rzeczywistości poza Wspólnotę europejską. Jedynie wspólny rynek atlantycki, pozwoliłby na odpowiedni postęp gospodarczy, umożliwiając skuteczną rywalizację pokojową z krajami bloku sowieckiego. Trudności realizacji takiego wspólnego rynku nie byłyby większe, aniżeli trudności stworzenia rynku europejskiego. Przewaga liczebna Europy zachodniej uchroni ją również od ewentualnej supremacji amerykańskiej.

W rozważaniach swych autor bierze stale pod uwagę gospodarkę światową jako całość oraz wyniki dwóch przodujących państw, Stanów Zjednoczonych i Rosji Sowieckiej. Opublikowane w załączeniu statystyki porównawcze płac realnych, dochodu społecznego i wydajności pracy Stanów Zjednoczonych, Francji i Rosji Sowieckiej za lata 1913-1957 pozwalają na wyciągnięcie pewnych zasadniczych wniosków dotyczących sprawności poszczególnych systemów. W tym ujęciu, statystyki te opublikowane są po raz pierwszy. Pozwalają one Profesorowi Allais na wyciągnięcie wniosku, że Zachód nie ma bynajmniej powodu do kompleksu niższości wobec systemu centralnego i autorytatywnego gospodarki planowej i że wolna konkurencja w obrębie szerokiego wspólnego rynku międzynarodowego umożliwi jednocześnie wyższą skuteczność gospodarki zachodniej i zachowa szanse utrzymania wolności jednostek.

Można się oczywiście nie zgadzać z poszczególnymi wnioskami Profesora Allais. Trzeba jednak przyznać, że przedstawione tezy stanowią jedną logiczną całość. Po zapoznaniu się z nimi trudno jest oprzeć się pewnemu optymizmowi: postęp gospodarczy, techniczny i społeczny nie musi być uzyskany kosztem jednostki, kosztem podporządkowania jej interesom Państwa czy grupy uprzywilejowanych. Dobrobyt i wolność przyszłych pokoleń nie są predeterminowane istnieniem rzekomych „praw” o pauperyzacji czy kolektywizacji nieuchronnej, a zależą od codziennej akcji społeczności ludzi wolnych.

E. ZALESKI

Nadesłane nowości wydawnicze

POUND (Ezra). *Maska i pieśń.* Antologia poezji. Przełożył Jerzy Niemojowski. Str. 48. (Nakł. Elisabeth Kottmeier i Igora J. Kosteckiego, Monachium, 1960).

BAGRIANY (Ivan). *Le jardin de Gethsémanie.* Roman traduit de l'Ukrainien par G. Alexinsky. Pp. 451 i 1 nlb. (Nouvelles Editions Latines, Paris, 1961.

La realta dell'ottobre polacco. Zebrał K.A. JELEŃSKI. Str. 403 i 5 nlb. (Wyd. Silva Editore, Milano, 1961. Cena brosz. 2200 lit., w opr. płóciennej 3800 lit.).

GARLIŃSKI (Józef). *Dramat i opatrzność.* Str. 184, 8 ilustracji. Barwna okładka. (Wyd. Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1961, cena 18/6).

PIOTROWSKI (St.). *Hans Frank's Diary.* Str. 320 (Indeks nazwisk i indeks rzeczowy). (Wyd. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1961).

FELSZTYN (Tadeusz). *Poza czasem i przestrzenią.* Zjawiska pozazmysłowe. Str. 221 i 3 nlb. Tom VIII serii zielonej „Biblioteki Polskiej". Obwoluta Janiny Chrzanowskiej. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", listopad 1960, Londyn, cena 15 sh.).

MARITAIN (Jakub). *Humanizm integralny.* Zagadnienia doczesne i duchowe nowego świata chrześcijańskiego. Str. 222 i 2 nlb. T. XIV serii niebieskiej „Biblioteki Polskiej". (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn, wrzesień, 1960, cena 18 sh.).

ZAHORSKA (Stefania). *Ziemia pojona gniewem.* Str. 316. Powieść. Tom XVII Londyńskiej Biblioteki Literackiej. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1961).

GROSS (Feliks). *O wartościach społecznych.* Studia i szkice. Str. 211 i 1 nlb. (Wyd. Polski Instytut Naukowy w Ameryce, New York 1961).

ARON (R.) — LEBRET (J.-L.) — PERROUX (F.) — PIETTRE (A.) — SAUVY (A.). *Ekonomia wobec potrzeb ludzkich.* Wybór rozpraw z przedmową prof. F. Perroux. Przełożył Kacper Zabigiwin. Str. 270 i 2 nlb. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, Paryż, 1961).

Gazetka Szkolna. Nr. 1/14. Powielacz. Str. 24. (Wyd. Stow. Polskich Kombatantów, Londyn, 1961).

WULF (Josef). *Vom Leben, Kampf und Tod im Ghetto Warschau.* Str. 108. (Schriftenreihe der Bundeszentrale für Heimatdienst, Heft 32, Bonn, 1960).

The Truth about Communism. A free Russian Voice. Str. 14. Wyd. United Committee Russian Anti-Communist Associations, New York).

RUDNYCKYJ (J.B.). *Antroponimia y toponimia en la version ucrainiana de Don Juan.* Str. 8. Actes et Mémoires du Cinquième Congrès International de Sciences Onomastiques, Vol. II, Salamanca, 1958).

STROBEL (Georg W.). *Der Kommunismus in Polen.* Str. 355-363. Odbitka z ,,Jahrbücher für Geschichte Osteuropas", Band 8, Heft. 3).

STROBEL (Georg W.). *Probleme der wirtschaftpolitischen Neuordnung in Polen.* Str. 667-682. (Odbitka z ,,Europa-Archiv", zeszyt 22/1960).

Piętnaście lat Sarmacji w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Pamiętnik. 1945-1960. Str. 80. (Nakładem Polskiego Klubu Kulturalnego ,,Sarmacja Światowa, Inc., Oddział w Bostonie, USA. Cena dol. 2,-).

ZAJĄC (J.L.). *Spatial Localization of after-images.* Str. 505-522. (Odbitka z ,,The American Journal of Psychology", Vol. LXXIII, N° 4, grudzień 1960). University of Texas, Austin, Tex.).

The Annals of the Ukrainian Academy of Arts and Sciences in the United States. Vol. VIII, 1960. N° 1-2 (25-26). Str. 236. (Wyd. Ukrainian Academy of Arts and Sciences in the U.S., Inc.).

SAWICKI (Wacław dr). *Profesor Krzesiński w ocenie uczonych* (Z okazji 40-lecia jego działalności naukowej). Str. 16. (Wyd. Renaissance Center, Washington, 1960).

PONEDIŁOK (Mykoła). *Sobornyj borszcz.* Str. 400. (Wyd. Julian Serediak, Buenos Aires, 1960).
Kalendar-Almanach ,,Mitła" na 1961 rik. Str. 128. (Wyd. Julian Serediak, Buenos Aires, 1960).

SUBOTIN (Stojan). *Teodor Tomasz Jeż i syrbska narodna poezija.* Str. 236-244. (Odbitka z ,,Prilozi za knyżewnist, język, istoriju i folklor", XXVI, 3-4).

WYNNYCZENKO (Wołodymyr). *Prorok ta newydani opowiadannia.* Str. 108. (Ukrajinśka Wilna Akademia Nauk w S. Sz. A., New York, 1960).

RUDNYĆKYJ (Jarosław). *Dopytannia systematyky Ukraińsko-Kanadskoho Folkloru.* 7. (Zapiski N.T. Sz. Tom. CLXIX, Paryż Winnipeg, 1960 — odbitka).

RUDNYĆKYJ (Jarosław). *Zenon Kuzela jak leksykograf.* Str. 7. (Zapiski N.T. Sz. Tom CLXIX, Paryż-Winnipeg, 1960).

STROBEL (Georg W.). *Die Kapitalismusdiskussion in Polen.* Str. 169-182. (Odbitka z Ost Europa Wirtschaft, zeszyt 2/196).

JUDEK (Stanisław). (Prof. dr University of Ottawa). *Canada's Persistent Unemployment Problem — Labour Surplus Market Areas.* Str. 442-601. (Wyd. The Senate of Canada. Proceeding of the Special Committee of the Senate on Manpower and Employment, Ottawa 1961).

JUDEK (Stanisław). *The St. Lawrence Seaway in Operation.* Str. 11. (Odbitka z ,,The Canada Year Book, 1960". Wyd. Dominion Bureau of Statistics, Information Services Division, Ottawa, 1960).

KOZAK (Jan) (Communist member of the Czechoslovak National Assembly) *How Parliament can play a revolutionary Part in the Transition to Socialism and the Role of the Popular Masses.* Str. 46. (Wyd. Independent Information Centre, London, 1961).

WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.) (University of Ottawa, Canada). *Analytic Philosophers view of Science: An Appraisal.* Str. 194-200. (Odbitka z ,,Proceedings of the American Catholic Philosophical Association". The Catholic University of America, Washington, 1960).

Slovenski Visokosolski Zbornik. III. Letnik 1958-1960. Str. 222. Powielacz. (Wyd. Monachium, 1960).

Nowość

TOM LXIII

BIBLIOTEKI "KULTURY":

BOGDANA CZAYKOWSKIEGO
i BOLESŁAWA SULIKA

POLACY W W. BRYTANII

Książka ta jest pozycją pionierską. Autorzy w ciągu dwóch lat pracy odwiedzili dziesiątki skupisk polskich, rozmawiali z setkami osób, zebrali tysiące faktów.

Książka składa się z dwóch części: reportażowej oraz ogólnej, analitycznej. Część pierwsza zawiera obraz życia polskiego w Londynie, Edynburgu, Glasgowie, Manchesterze, Birmingham i wielu innych miastach i osiedlach, a także rozdziały o hostelach, szpitalach, rolnikach itd. Znaleźć w niej można momenty autentycznego patosu obok groteski.

Część druga zawiera rozdziały o życiu organizacyjnym i społecznym, szkic historii emigracji politycznej, rozdział o młodzieży i dane statystyczne. We wnioskach ogólnych poruszono zagadnienia dotyczące roli historycznej i spoistości społecznej emigracji, postępy asymilacji, stosunek do kraju i perspektywy na przyszłość.

Polacy w W. Brytanii znajdą w tej książce wizerunek ich życia a wielu z nich własne sylwetki!

Dla pisarzy, historyków i socjologów praca ta może stać się niezbędnym dokumentem.

Książka zawiera 560 stron druku plus indeks, obejmujący setki nazwisk.

Cena książki: NF 30; (43/6; dol. 6).

Ze względu na duży koszt wydawnictwa i ograniczony nakład prosimy o wcześniejsze zamawianie książki w Redakcji „Kultury": 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.) — France, lub w przedstawicielstwach.

"ZESZYTY HISTORYCZNE"

Redakcja „Kultury" zdecydowała się na publikowanie corocznie (niezależnie od kontynuowania działu *Najnowsza Historia Polski)* dwóch dużych tomów,, zawierających każdy ok. 240 stron, w serii ZESZYTY HISTORYCZNE. Żeby zapewnić temu wydawnictwu nieźbędną ciągłość chcemy je oprzeć na prenumeracie, z tym że każdy prenumerator „Kultury" będzie otrzymywał te *dwa tomy* za dodatkową opłatą 3 dolarów, (NF 15 — 22 sh.). W sprzedaży księgarskiej cena ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH będzie dwukrotnie wyższa to jest dolarów 3, lub równowartość, *za każdy tom.*

Zgłoszenia na prenumeratę ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH przyjmujemy również od subskrybentów „Politycznej Historii Polski" Wł. Pobóg-Malinowskiego.

Z chwilą zebrania minimum 1000 prenumerat ukaże się pierwszy tom ZESZYTÓW.

Najbliższe tomy ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH będą zawierały m.in.:

1) *Nieznane szczegóły ucieczki marsz. Śmigłego Rydza z Rumunii do Polski* — Pamiętnik uczestnika.

2) Płk. L. Mitkiewicz: *Kulisy Powstania Warszawskiego.*

3) Michał Borwicz: *Inżynierowie dusz* — pierwsza relacja dotycząca polskiego środowiska literackiego we Lwowie w czasie pierwszej okupacji sowieckiej w latach 1939/1941.

4) *Indeks* do trzech tomów „Politycznej Historii Polski" Władysława Pobóg-Malinowskiego.

5) *Sensacyjne dokumenty z okresu dwudziestolecia.*

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmuje Redakcja KULTURY i jej przedstawicielstwa.

Listy do Redakcji

London, Ont. (Kanada) 10.4.1961

Wielce Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

Jako odpowiedź na list-szantażyk p. Nowojorczana zamieszczony w numerze 161 „Kultury" — przesyłam czek za prenumeratę tego pisma na następny rok, oraz pozostałą część przeznaczam na Dom czy też Fundusz „Kultury".

Na przestrzeni swoich kilkunastoletnich dziejów „Kultura" niejednokrotnie otrzymywała podobne listy-straszydła bodajże ze wszystkich stron świata i, na pewno, będzie otrzymywała je nadal — chyba że raptem przestalibyśmy być Polakami (nasiąkniętymi tysiącletnią kulturą zachodnią!) na co jednak, jak dotychczas, żadne znaki ani na niebie ani tym bardziej na ziemi nie wskazują. Pomimo to — została żywą, i ze znanymi rezultatami.

Pan Nowojorczan straszy, że będzie pisał do wszystkich pism w Ameryce, ażeby czytelnicy zbojkotowali „Kulturę". Możliwe. Ja zaś, nie wymieniając swego skromnego nazwiska, przyrzekam, że będę popierał i propagował to pismo tak długo, dopóki starczy mi sił i zdolności. Właśnie dlatego by p. Mieroszewski czy kto inny mógł zamieszczać w nim swoje artykuły, które tak mocno nie podobają się p. Nowojorczanowi zarówno, jak i mnie samemu.

Łączę, Panie Redaktorze, wyrazy najgłębszego szacunku.

K. J.

◆

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł gen. Zająca pt. „Nasze przygotowania do wojny" (Kultura" nr 1/159-2/160) jest ważnym przyczynkiem do historii naszego wysiłku zbrojnego. W szczególności w zakresie lotnictwa autor podaje szereg dotąd nieznanych względnie niewyjaśnionych momentów. Zapewne będę miał możność w innym miejscu powołać się na tę pracę przy omawianiu zasadniczych spraw, tutaj pragnę jedynie omówić kilka drobniejszych spraw, które w naświetleniu autora artykułu mogą wprowadzić w błąd Czytelników mniej obeznanych z lotnictwem.

Gen. Zając zaczął „uczyć się lotnictwa" w 1936 r. zostawszy inspektorem lotnictwa i obrony przeciwlotniczej, popełniając przy tym, moim zdaniem, podstawowy błąd polegający na tym, że zajmował się wszelkimi drobnymi i szczegółowymi sprawami, poczynając od podstawowego pilotażu (który ukończył, zapewne nie bez trudu z uwagi na wiek). Fakt, że wkrótce, bo w 1938 r., wyrobił sobie zdecydowany pogląd na użycie naszego lotnictwa, namiastkę doktryny lotniczej, której oficjalne czynniki nie posiadały nigdy, świadczy o jasności rozumowania i zdolności wyciągania właściwych wnio-

sków. To była właśnie dziedzina na której inspektor OPP powinien się był skupić i do niej ograniczyć. W grudniu 1938 r., spotkawszy mnie przypadkowo w Londynie (byliśmy — oddzielnie — gośćmi R.A.F.), gen. Zając powiedział mi o swojej zasadniczej myśli — tj., że powinniśmy położyć nacisk na lotnictwo myśliwskie. Podzielałem ten pogląd, jednak zdawałem sobie sprawę, że było już za późno na przestawianie naszego lotnictwa i planu rozbudowy.

Nasze kierownicze czynniki nie rozumiały lotnictwa i nie uznawały jego całkowitej odrębności jako broni działającej w innym żywiole. Podobnie jak marynarką wojenną może dobrze dowodzić tylko oficer, który przebył wiele lat w służbie morskiej, od szczebla młodszego oficera, poprzez dowodzenie okrętami i pracę w sztabie kierownictwa, tak i lotnictwem może dobrze dowodzić jedynie lotnik o długoletniej służbie powietrznej. Dowódca nie będący fachowcem będzie odczuwał brak podstawowych wiadomości, będzie szukał, pytał, błądził, odkrywał Amerykę i wyważał otwarte drzwi. Trudno w tych warunkach liczyć na szacunek podwładnych, bez względu na zalety charakteru i umysłu. Stworzenie inspektoratu OPP było spóźnione o dziesięć lat, a mianowanie na stanowisko inspektora, który miał prawo inspekcji jednostek lotniczych, a w czasie wojny miał dowodzić lotnictwem, najpierw gen. Dreszera, kawalerzysty, a potem gen. Zająca, piechura, było przejawem szerzącego się w Polsce kultu niefachowości.

W związku ze studiami prowadzonymi w inspektoracie OPP w latach 1937/38 gen. Zając pisze, że „w tym czasie duży rozgłos zyskała sobie tzw. teoria Douheta", a nieco dalej: „Doszedłem więc do przekonania, że wszelkie tworzenie bombowego lotnictwa strategicznego jest niepotrzebnym marnowaniem wysiłków i pieniędzy". Po pierwsze, teoria Douheta, opracowana w latach 1917/21, była w Polsce znana i dyskutowana od mniej więcej 1926 roku; byłem jako podchorąży w 1927 r. na wykładzie o Douhecie mjr. dypl. Romeyki w 3 p. lot.; sam wygłosiłem odczyt na temat doktryny Douheta w 1932 r. dla Związku Oficerów Rezerwy w Poznaniu. Po drugie, nikt nigdy nie zamierzał w Polsce tworzyć lotnictwa strategicznego; Polska nie mogła prowadzić wojny powietrznej, a tylko do niej potrzebne jest lotnictwo strategiczne; chcieliśmy mieć i powinniśmy byli mieć, pewną ilość średnich bombowców do działań operacyjnych, a więc na polu bitwy. Stąd nasz bombowiec Łoś miał stosunkowo krótki zasięg, co gen. Zając uważa za wadę — w rzeczywistości był to zasięg zupełnie wystarczający dla celów operacyjnych, wynosił bowiem 500 km (to jest promień działania, gdyż zasięg techniczny był około 1300 km).

W związku z bombardowaniem z lotu nurkowego i z lotu koszącego, gen. Zając twierdzi, że „studia nad tymi zagadnieniami trzeba było zainaugurować", a dalej, że po szeregu ćwiczeń „stwierdziliśmy między innymi, że celność bombardowania z lotu nurkowego jest o wiele większa, niż bombardowania z lotu poziomego". Aby dojść do tego wniosku, nasze ćwiczenia nie były wcale potrzebne. Warunki i wyniki bombardowania nurkowego były dobrze znane od lat; teoria była wykładana w szkole podchorążych, pełno było książek na ten temat; nie mogliśmy wykonywać bombardowania nurkowego, gdyż do tego potrzebne są specjalne samoloty; nasi myśliwcy mogli wyrzucać bomby z lotu zbliżonego tylko do nurkowego, a bomby które nasze samoloty mogły zabierać były za małe do niszczenia celów ważnych, które należało bombardować z lotu nurkowego. Niemcy wypróbowali amerykańską teorię w Hiszpanii, rozwinęli specjalne jednostki na specjalnych samolotach (Stukas) — kosztowało ich to drogo w 1940 r., zlekceważyli bowiem w założeniu to, że samoloty bombardowania nurkowego były praktycznie bezbronne wobec myśliwców. Nikt inny na to nie poszedł, na szczęście my również nie; szczególne zastosowanie miały bombardowania nurkowe w zwalczaniu okrętów, co nas nie interesowało.

Bezpodstawne jest twierdzenie, że dopiero od czasu powstania inspektoratu OPP, a więc 1936 r., prowadzono w Polsce doświadczenia i szkolenie w bombardowaniu oraz, że 1-szy pułk warszawski był w dziedzinie lotnictwa myśliwskiego i bombardującego „niejako pionierem". Brałem udział w kilku bombardowaniach doświadczalnych, po raz pierwszy w 1931 r. w Toruniu, gdy brały udział 4 dywizjony liniowe, w następnym roku w Poznaniu prowadziłem z kpt. dypl. Iżyckim czołowy dywizjon w doświadczalnym bombardowaniu lotnisk; szkolenie w bombardowaniu było w pułkach prowadzone systematycznie, aczkolwiek w skromnych ramach z powodu trudności finansowych, od 1930 roku, to samo odnosi się naturalnie do lotnictwa myśliwskiego. Doświadczenia, które były w 1. p. lot. prowadzone i które były nowością, obejmowały właśnie dziedzinę obrony powietrznej, tj. sieć dozorowania powietrznego przy użyciu posterunków radiowych oraz bombardowania doświadczalne rzeczywistych linij kolejowych. Gen. Zając ma słuszność pisząc, że gry wojenne i ćwiczenia prowadzone przez niego dawały „niezmiernie ważne stwierdzenia i ciekawe dyskusje probblemów...", z tą jednak poprawką, że to generałowie i sztaby wojska odkrywali dla siebie nowy świat — dla lotników były to rzeczy znane. Dodać też warto, że wyciągano za daleko idace wnioski z ćwiczeń doświadczalnych, bowiem nasze lotnictwo — mając skromną praktykę i używając śmiesznie małych bomb — nie mogło dokonać zniszczeń nadających się na podstawę obliczeń rozmiarów szkód i czasu napraw (instalacyj kolejowych).

Po szeregu inspekcyj autor doszedł w 1938 r. do wniosku, że „szkolenie podstawowe oficerów zawodowych lotnictwa w naszych warunkach można było skrócić z trzech do dwu lat". Już w 1932 r., redaktor „Przeglądu Lotniczego" ośmielił się drukować artykuł skromnego porucznika z linii (niżej podpisanego), który zawierał szczegółową krytykę programu Dęblina i we wnioskach proponował zniesienie roku unitarnej podchorążówki dla kandydatów do lotnictwa, zastąpienie go trzymiesięcznym kursem w ramach Dęblina i skrócenie szkoły do 2 lat i 2 miesięcy. Wielu starszych oficerów lotnictwa było tego zdania od lat, a opór był jedynie ze strony Ministerstwa Spraw Wojskowych (i zapewne Sztabu Głównego), uważano bowiem za żelazną zasadę, że nie można z cywila zrobić oficera w dwa lata. W zasadzie więc gen. Zając ma słuszność, ale gdy pisze o szczegółach oszczędności czasu w szkoleniu — wykazuje brak zrozumienia zagadnienia.

Zastosowanie arytmetyki do problemu szkolenia w pilotażu prowadzi do wręcz przeciwnych od zamierzonych wyników. Gen. Zając uważał, i widocznie nadal jest tego zdania, że jeśli przeciętnie dla ukończenia podstawowego pilotażu uczeń powinien być w powietrzu 50 godzin, to przy trzech uczniach na instruktora trzeba na ten przedmiot poświęcić 150 godzin, a przy grupach z 9 uczni 450 godzin.Idąc dalej po tej linii rozumowania, najekonomiczniej byłoby przydzielić każdemu instruktorowi jednego ucznia.

Nasz system szkolenia w pilotażu opierał się na najlepszym, od wielu lat wypróbowanym systemie brytyjskim. Liczba 6 do 8 uczni na jednego instruktora nie była wcale rzeczą przypadku, czy naszym wymysłem — jakby wynikało z artykułu gen. Zająca, tj. rezultatem marnotrawstwa czasu. Przeciwnie, była i jest to liczba *najekonomiczniejsza*. Składa się na to kilka czynników z których każdy lotnik zdaje sobie dobrze sprawę.

Po pierwsze, nauczanie pilotażu nie może być skupione w czasie, lecz musi być rozłożone na małe dawki, zwłaszcza w początkowym okresie. Podobnie jak niecelowe byłoby pakowanie dziecku algebry łopatą do głowy po kilka godzin dziennie, aby zaoszczędzić czas i skończyć edukację w miesiąc czy dwa, tak nie można zielonego ucznia-pilota wsadzić do samolotu na kilka godzin przez pierwsze dni i 'odwalać lekcje'. Uczeń musi wpierw oswoić się z powietrzem, potem z samolotem; latanie wywołuje zawsze pewien stan emocjonalny, szczególnie w nowicjuszu, a nauka wyczer-

puje nerwowo i fizycznie bardzo szybko. Każdy pilot, nie tylko instruktor, wie, że dwudzieste z rzędu lądowanie ucznia-pilota będzie z reguły gorsze od szóstego czy dziesiątego. To samo i w większym stopniu odnosi się do akrobacji, lotów bez widoczności ('ślepak'). W miarę postępu szkolenia, czas przebywany przez ucznia w powietrzu zwiększa się, od 5 minut przechodzi się do 20, 30, a potem następują przeloty samodzielne, do 3 lub 4 godzin. Aby doprowadzić ucznia do spokojnego opanowania samolotu, aby dać mu pewność siebie w samolocie, na przelotach, w nawigacji — te 50 godzin przykładowo podane przez autora, muszą być rozłożone na 8 do 10 tygodni. Jeśli więc jeden instruktor będzie miał trzech uczni czy jednego, czy też 6 do 8, każdy uczeń musi w szkole podstawowego pilotażu przebyć od 8 do 10 tygodni. Nie zapominajmy o dużej liczbie teoretycznych przedmiotów, które są dla przyszłego pilota bardzo ważne, bo stanowią podstawę jego wiedzy lotniczej.

Drugim czynnikiem jest sprawa instruktorów. Przy systemie brytyjskim ważna jest oszczędność z uwagi na trudność znalezienia dużej ilości instruktorów, a tych trzeba wyszkolić, co znowu kosztuje dużo czasu (kursy 4 do 6 tygodniowe) i pieniędzy. Weźmy konkretny przykład. Na moim kursie (w 1924 r.) w polskiej szkole było nas 24 uczniów; mieliśmy czterech instruktorów. Szkoła prowadziła równolegle, jak zwykle, drugi, bardziej zaawansowany kurs, 30 uczni — z 5 instruktorami. Razem z szefem pilotażu i dwoma zapasowymi instruktorami (na wypadek choroby, zastępstwo w czasie urlopów itd.), szkoła miała 12 instruktorów, a co miesiąc mniej więcej wypuszczała od 20 do 30 uczni-pilotów. W systemie proponowanym przez gen. Zająca szkoła musiałaby mieć 22 do 24 instruktorów, ale ze względów zasadniczych samej natury latania — wypuszczałaby tę samą ilość uczni-pilotów co miesiąc.

Trzeci czynnik to organizacja lotów. Szkolne lotniska z reguły są małe, wyjątkowo też można liczyć na wystawianie na lotnisku szkolnym więcej niż jednej grupy startowej, praktycznie biorąc najwyżej dwie (np. Dęblin). Dając na jedną grupę startową dwóch instruktorów, szkolimy w tym samym czasie przy jednej grupie 12 uczniów, przy dwu grupach startowych — 24 uczniów. Natomiast w systemie oszczędnościowym gen. Zająca szkoliłoby się tylko od 6 do 12 uczniów. Większego tłoku w powietrzu nad lotniskiem szkolnym robić nie można, ze względów na bezpieczeństwo lotu. Widzimy więc, że również podział czasu na szkolenie z punktu widzenia organizacji lotów przemawia za grupami uczniów złożony z 6 do 8, a nie z 2 lub 3.

Czwarty moment o znaczeniu historycznym: Brytyjczycy i Niemcy spróbowali w pierwszej wojnie światowej skrócić czas pilotażu podstawowego i wyższego. Nie kierowano się wprawdzie wtedy ekonomią (*time and motion studies* przyszły później), ale dużym i pilnym zapotrzebowaniem linii. Doświadczenia skończyły się smutno: więcej pilotów zabijało się i więcej maszyn rozbijano, aniżeli wynosiły straty bojowe.

Częsty kłopot w Polsce był z tym, że chciano wszystko sprawdzić samemu, robić doświadczenia na własnej skórze, zamiast czerpać nauki od innych i wierzyć w rezultaty doświadczeń państw bogatszych w naukę, technikę i pieniądze. Było to fałszywe pojęcie ekonomii.

F. KALINOWSKI

◆

Montreal, 25.3.1961 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł p. płk. Franciszka Kalinowskiego pt. „Konspiracje w lotnictwie polskim (I)", który się ukazał w nr marcowym „Kultury".

Byłbym jednak Panu Redaktorowi zobowiązany, gdyby Pan zechciał umieścić w „Listach do Redakcji" następujące sprostowanie:

Nie należałem nigdy do grupy konspiracyjnej kapitana (później podpułkownika) Mrówki.

Natomiast prawdą jest, że w latach 1925-1926 należałem do innej grupy konspiracyjnej, nie związanej z lotnictwem. Grupa ta interesowała się sprawami bardziej ogólnymi, specjalnie stosunkami politycznymi jakie wówczas istniały w Polsce.

Według moich najlepszych wiadomości, pułkownik Wacław Makowski również nigdy nie był w żaden sposób związany z grupą kapitana Mrówki.

Z poważaniem.

Bogdan KWIECIŃSKI



Johannesburg, Wielkanoc 1961 r.

Drogi Redaktorze!

Artykuł Redaktora zatytułowany „Zbrodnia i wnioski" nasuwa mnie — mieszkającemu od lat w Afryce — szereg krytycznych uwag. Wydaje mi się, że sprawy o których Redaktor mówi, widziane z perspektywy afrykańskiej są bardziej skomplikowane, niż się to Redaktorowi wydaje.

Zgadzamy się, że mord potępiony być musi, ale nie przyjmujemy zarzutu, że za śmierć Lumumby odpowiedzialny jest Zachód. Odpowiedzialność jest tylko pośrednia. Takie sformułowanie jest niebezpiecznym uproszczeniem zagadnienia. Zachód, a w danym wypadku Belgia, popełniła brzemienny w skutki błąd przyznając niepodległość krajowi najzupełniej do tego nieprzygotowanemu. Jak do tego doszło, jak politycy odpowiedzialni za tę katastrofę rozumowali — nie jest jeszcze do tej pory jasne, pewne jest jednak, że działał tu w pierwszym rzędzie paniczny strach, jakie słowo „kolonializm" wzbudza w Europie. Ulegając propagandzie idącej ze Wschodu, Zachód gotów jest dziś zaprzepaścić, cofnąć w barbarzyństwo i kanibalizm całe połacie Afryki, byle tylko zaprezentować się Chruszczowowi w białej katechumeńskiej szacie „anty-kolonialisty".

Odpowiedzialność zatem jest tylko pośrednia. Wykorzystując zwątpienie Zachodu w jego misję cywilizacyjną w Afryce, Rosja pogania marionetkami politycznymi Zachodu przedrzeźniając i wyszydzając ich, aż władzę oddają osobnikom typu Lumumby, którzy dzieło zniszczenia doprowadzają do absurdalnego końca.

Skuteczność swojej propagandy zawdzięcza Wschód brakowi znajomości problemów afrykańskich wśród polityków europejskich. Stąd konflikt Macmillan — Welenski, Rząd Belgijski — Gubernatorowie Prowincji i szereg innych. Tymczasem problemy afrykańskie w niczym Europy, ani Azji nie przypominają. Nie osiągnęliśmy bowiem tu jeszcze stadium nacjonalizmu; jesteśmy po uszy pogrążeni w lojalności szczepowej i nic innego poza nią nie znamy.

W tym stadium rozwojowym mówienie o demokracji jest totalnym nonsensem. Ani Ghana, ani Katanga, ani żadne inne czarne państwo demokracją nie jest i być nią nie może. Utrzymywanie mitu o demokracji, w który nikt nie wierzy, jest hipokryzją. W moich podróżach po kontynencie afrykańskim nie spotkałem jeszcze nikogo (a do rozmówców moich nie zaliczam tylko farmerów i plantatorów) kto by w ten mit wierzył. Murzyn szczepowy jest instynktownie lojalny w stosunku do tego, co reprezentuje *siłę* a nie *prawo*. I inaczej być nie może. A przecież niezbędnym warun-

kiem funcjonowania demokracji jest poszanowanie prawa. O tym poszanowaniu prawa porozmawiamy tu w Afryce w przyszłości — nie dziś.

Obserwując Europę z Afryki trudno oprzeć się wrażeniu, że wy, tam, sprzysięgliście się ze Wschodem, żeby wyplenić z powierzchni kontynentu te wątłe korzonki cywilizacji i chrześcijaństwa jakie tu Europa zasadziła. Wydaje się nam, że z żelazną konsekwencją popieracie to co wiedzie do chaosu, a tępicie to, co temu chaosowi się sprzeciwia. Lumumbę kanonizujecie a Tshombego porównujecie do diabła, dlatego, że pierwszy w 3 tygodnie rozwalił to wszystko co reprezentowało ład, a ten drugi tego ładu pilnuje. Lumumba dla was reprezentuje wcielenie czarnego nacjonalizmu, walczącego o emancypację z jarzma kolonializmu, podczas gdy w rzeczywistości Lumumba nikogo z niczego nie wyzwalał, a dziesiątki swoich współplemieńców pozbawił chleba i wpędził na nowo w kanibalizm i władztwo czarodziejów. Tshombego nazywacie kukłą zbrodniczych kapitalistów, dlatego że zgarnia podatki płacone przez *Union Minière* i za nie buduje szkoły i szpitale. Że nie kazał krzyżować białych, ani gwałcić zakonnic, że pod jego rządami kopalnie idą pełną parą i płace czarnych podniesiono wydatnie. Że krok po kroku przełamuje monopol belgijski w Katandze zapraszając firmy, techników i doradców z innych krajów. Czytając europejską prasę i to nie lewicową, wydaje się nam, że ostrogi władcy murzyńskiego zdobywa się w waszych oczach wyłącznie poprzez trupy białych i chaos. A nie inaczej. I że fakt rzekomej przyjaźni Baudouina z Tshombem dyskredytuje tegoż w waszych oczach. Ha — gdyby Tshombe zjadł Baudouina na pewno zmienilibyście zdanie.

Artykuł Redaktora zawiera szereg ciepłych słów pod adresem Polaków pracujących w Afryce. Istotnie, pole jest ogromne, entuzjazmu również nie brak, przy czym nie jesteśmy, my, Polacy, obciążeni pierworodnym grzechem kolonializmu i stąd mamy zadanie ułatwione.

Zgadzam się z Redaktorem, że zadaniem naszym jest głoszenie idei demokratycznej, wielorasowej społeczności, ale droga do tego ideału nie wiedzie przez gloryfikację Lumumbów, Kenyattów i innych Kashamurów, ale przez odważne podkreślanie tego, co dokonał wysiłek białego, przez stanowcze stwierdzenie, że kolonializm, mimo wielu egoistycznych cech położył podstawy cywilizacyjne, na których będzie można wspólnie budować lepszą przyszłość. I że był on nieodzownym etapem, bez którego nawet wyobrazić sobie nie można dzisiejszej emancypacji kontynentu.

Zrozumcie wy, w dalekiej Europie, że liberalizm i idealizm oparty na nieznajomości stosunków afrykańskich jest najlepszym, choć mimowolnym sprzymierzeńcem komunizmu. Oba bowiem prowadzą w prostej linii do chaosu niezbędnego tym, co na nim budować chcą nową niewolniczą erę Czarnego.

Na zakończenie pragnę zaznaczyć że uwagi moje nie odnoszą się do zagadnień rasowych Afryki Południowej, ale wyłącznie do Afryki Centralnej.

Proszę przyjąć drogi Redaktorze wyrazy głębokiego szacunku.

W. LEDÓCHOWSKI

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal : 2e trimestre 1961

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, Av. de **Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)**
Telefon : **962 19-04**

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Franciszek Socha-Paprocki,** rua Martins Fontes 197, apt. 74, Sao Paulo. Tel. : 34.18.59.		5 dol. am.	9 dol. am.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St.-Louis-en-l'Ile, Paris-4	3,50 NF	19 NF	37 NF
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyc, Holon, Sokolow Nr. 40	£. izr. 1,70	£. izr. 9,15	£ izr. 17,75
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/0 **Polish Voice,** 1089 Queen St. W. Toronto Ont., **K. Krakowska,** 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; **H.R. Radomski,** 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : HU 9-0829; **Andrzej Manteuffel,** 797 Jessie Ave, Winnipeg, Man.; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; **Olgierd Kiersnowski,** 36 Bermuda Ave., Toronto 18., Ont.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U. S. A. : W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, Schenectady, N.Y. ; **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., **L. Dudarew Ossetynski,** 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; **S. Dziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; **M.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,**2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book C°,** 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book Importing C°, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **K Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T.W. 2.0890; **R.J. Sas-Babczynski,** 1819 B.W. Commonwealth Ave, Alhambra, Cal.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, 2, int. 14, Roma. Tél. : 87-87-89.	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy **GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)**

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 3,50 NF